Szkoły bez komórek? • Węgry: teraz albo nigdy • Lasy pełne kasy • Potwór z Tindera
Polska według psychiatry • Architektoniczne hity roku • Wyznania handlarza bronią

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 15 (3559), 8.04–14.04.2026

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

© STUDIO POLITYKI

Polska Partia Trumpa

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Wydanie w sprzedaży do 14.04.2026

ISSN 0032-3500

15

9 770032 350602

eprasa.pl 13da1c51da

RAINBOW

R.pl

CZYM JEST OBJAZD 7+7?

- **Tydzień zwiedzania i tydzień odpoczynku**
  po objeździe wypoczniesz w wybranym hotelu
- **Bilety, hotele, wejściówki**
  wszystko zorganizujemy za Ciebie
- **Polskojęzyczni, doświadczeni piloci**
  pokażemy Ci najpiękniejsze trasy i miejsca

DLA MNIE OBJAZD 7+7

eprasa.pl 13db1c51da

© KLAUS VEDFELT/GETTY IMAGES

10
Dzieci bez sieci?

Temat tygodnia

10 Joanna Cieśla
Szkolny zakaz smartfonów – czy to dobre rozwiązanie?

Polityka

14 Rafał Kalukin
Nasza trupa Trumpa

18 Adam Grzeszak
Czarnek na gorącym dachu

21 Anna Dąbrowska
Jak Lasy rozdawały kasę

Społeczeństwo

24 Joanna Cieśla **Co czwarty Polak cierpi na zaburzenia psychiczne**

28 Martyna Bunda
Nierozstrzygnięty spór o alimenty

32 Violetta Krasnowska **Łowca z Tindera**

34 Rozmowa z **Piotrem Sapieżyńskim**, prezesem firmy Alfa sprzedającej broń Ukrainie

Rynek

38 O rządowym programie mieszkaniowym mówi wiceminister rozwoju i technologii **Tomasz Lewandowski**

42 Marcin Piątek
Dramat wywłaszczonych z gruntów pod CPK

Świat

46 Łukasz Wójcik
Miraże arabskich monarchii

49 Aleksander Kaczorowski
WĘGRY **Czy Péter Magyar wygra z Orbánem?**

52 Mariusz Zawadzki
USA **Bunt Anthropica**

55 Historyk i znawca Rosji **Mark Galeotti** o tym, dlaczego lepiej być wrogiem niż zdrajcą Moskwy

Nauka/projektpulsar.pl

58 Wojciech Mamak
O kolorach widzialnych, iluzorycznych i wyobrażonych

61 Po co nam bogacze, wyjaśnia prof. **Guido Alfani**, historyk gospodarki

64 Agnieszka Krzemińska
Demokracja przed Atenami

Historia

66 Violetta Wiernicka
Pogrzeb bez ciała – o ostatnim pożegnaniu króla Polski i cesarza Rosji Aleksandra I

69 Anna Kalinowska **Jak 350 lat temu w Londynie złodzieje ukradli królewskie klejnoty**

Kultura

76 Mirosław Pęczak
Fakty i filmy, czyli o ekranowym ubarwianiu rzeczywistości

80 Piotr Sarzyński
Finaliści 15. edycji Nagrody Architektonicznej POLITYKI

84 Rozmowa z pisarzem **Radkiem Rakiem**, który właśnie wydał swoją pierwszą książkę dla dzieci

87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

94–97
- **Ciche Kluby Książki**
- **Owocowa miłość**
- **Medyczne Słowo Roku: propozycje**
- **Modernistyczne Brno**
- **Wiosenna sałatka ziemniaczana**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **72** Afisz • **88** Witkowski • **89** Lis
• **90** Koziołek • **91** Passent • **92** Mizerski
• **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 13db1c51da

Groku, czy to prawda?

Bartek Chaciński

W święta najciężej pracowały czatboty sztucznej inteligencji. Odkąd prima aprilis trwa cały rok, bo zewsząd płyną do nas nieprawdziwe wiadomości, cały internet pytaniami w stylu „Groku, czy to prawda?" zadręcza AI. W szkole, w pracy, w tramwaju, pod stołem podczas świątecznego sporu o to, co który polityk naprawdę powiedział. Gdy tylko trzeba coś potwierdzić, AI staje się wyrocznią. Kto wie, być może tę prawdziwość potwierdzają te same centra danych AI, które najpierw służą do produkcji fejków. Nie ma lepszego biznesu niż samonapędzający się biznes.

Zjawisko jest poważne, ale sytuacje, które pozwala nam osądzić pod kątem zgodności z faktami, bywają tak absurdalne, że kiedyś uznalibyśmy je z miejsca za słaby żart. Weźmy wielkanocny lunch w Białym Domu prezydenta USA Donalda Trumpa, który w długim i błądzącym tematycznie wystąpieniu oświadczył, że „opowie wszystkim, jak bardzo jest wielki" (Groku, czy to prawda?) albo „mój przyjaciel Macron, którego żona traktuje bardzo źle, wciąż dochodzi do siebie po prawym sierpowym w szczękę" (trudno uwierzyć, ale tak dziś wygląda dyplomacja).

W tym samym świecie jeden z francuskich senatorów opisuje administrację Trumpa tak: „Antyszczepionkowiec i były heroinista jest ministrem zdrowia, klimatosceptyk szefem Agencji Ochrony Środowiska, prezenter telewizyjny i alkoholik – ministrem obrony, była agentka Kataru szefową Departamentu Sprawiedliwości, a miłośniczka Putina szefową wywiadu". Co jest pewnym uproszczeniem, ale jednak ma oparcie w rzeczywistości. I trochę się zdezaktualizowało, bo Pam Bondi, która faktycznie była kiedyś lobbystką pracującą na rzecz Kataru, została zwolniona z funkcji. Trudno się zorientować, który z tych nowatorskich politycznych kierunków najbardziej się podoba na polskiej prawicy, ale ta nie wychodzi spod uroku amerykańskiego prezydenta – piszemy o tym na s. 14.

Poprzednia dymisja w gabinecie Trumpa to Kristi Noem, szefowa Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, konserwatystka słynąca z twardych poglądów obyczajowych, niegdyś np. autorka listu upominającego się o zakaz występów drag queens na kampusach uczelni. Usunięta ze stanowiska po ujawnieniu jej długotrwałego romansu pozamałżeńskiego, a już po dymisji zaskoczona publikacją „Daily Mail" o tym, że jej mąż też od dawna prowadził podwójne życie: dokonywał podbojów erotycznych w sieci w stroju kobiety z obfitym biustem. I proszę nawet nie pytać Groka, czy to prawda, oszczędzajmy energię na sytuacje mniej oczywiste niż hipokryzja obyczajowa konserwatystów, swoich i obcych.

Można zaoszczędzić ten czas czatbota po to, żeby sprawdzić, czy prawdziwa jest rozsyłana masowo w te święta złośliwa piosenka o prezydencie Nawrockim z tekstem „Wybraliśmy prezydenta z unikalnym w świecie CV". Albo żeby sprawdzić, czemu aktywista prawicy Cezary Krysztopa, który niedawno gratulował prezydenckiego weta przeciwko „uzależniającemu Polskę kredytowi SAFE", teraz grzmi, że „PZL Mielec wykluczają z SAFE" (nie wykluczają, po prostu zakład jest kontrolowany przez koncern z USA, a program daje pierwszeństwo europejskim firmom). I żeby zweryfikować najnowszy fikołek piarowy PiS: wpisy czy krótkie wideo, czyli rolki o tym, że obniżka cen benzyny na stacjach wprowadzona przez pakiet CPN rządu Tuska to „efekt Czarnka".

Nie trzeba za to sprawdzać, czy rację ma były prezes Orlenu Daniel Obajtek wieszczący, że zabraknie nam w związku z tym paliwa. Bo z sumiennością bota, ale zręcznością człowieka odpowiada mu regularnie biuro prasowe jego byłej firmy: „Przypominamy, że do tej pory jedynym momentem, kiedy w Polsce zabrakło paliw, był okres przedwyborczy 2023". Pamięć to najbardziej deficytowy towar w tych czasach. Podobno ze względu na olbrzymie potrzeby serwerowni AI.

To rolkowe życie w sieci i rolkowa polityka są intensywne, ale też wyczerpujące. Wiemy już dobrze, że źle wpływają na nasze zdrowie psychiczne. Sądy próbują nawet za to pociągać do odpowiedzialności koncerny technologiczne, a ustawodawcy z różnych krajów – bronić przed social mediami dzieci. U nas mamy pomysł ustawowego zakazu używania smartfonów w podstawówkach. Inicjatywa MEN wydaje się ambitna, ale czy ma sens? Nie trzeba pytać Groka – opisujemy to na s. 10. Dość powiedzieć, że raport, na którym ministerstwo opiera swój pomysł, głosi coś odwrotnego: tego typu instytucjonalne zakazy wcale nie służą skutecznej edukacji cyfrowej.

To samo ministerstwo, które chce zakazać używania smartfonów, zachęca nastolatki, by wypowiedziały się o tym, jak nie oglądać rolek internetowych. Zachęta ma postać konkursu na… najlepszą rolkę. To przypomina sytuację sprzed miesięcy, gdy MEN zintensyfikował tworzenie rolek i przekonywał w tej formie samych nauczycieli do swoich działań. „Ciało pedagogiczne może czuć się wyrolkowane – przepraszam – docenione" – komentował wtedy gorzko Paweł Lęcki, nauczyciel z sopockiego liceum.

Oczywiście trudno dziś uciec od formy komunikowania się poprzez rolki. Również w POLITYCE to robimy, wiedząc, że i tam gdzieś jest uwaga naszych czytelniczek i czytelników. Gdyby ten tekst był rolką, pewnie nawet rozszedłby się w sieci szerzej. Ale zakazy ministerialne pachną bardziej tematem na sociale niż realną zmianą społeczną. Ta zacznie się, kiedy odłożą smartfony także dorośli, gdy ograniczymy dostęp sami sobie. Jeśli ktoś nie wierzy, może (przed odłożeniem smartfona) zapytać Groka.

eprasa.pl 13db1c51da

Albatros travel

Albatros 40 lat

Zagadki Peru i Chile

Od Machu Picchu po Wyspę Wielkanocną

Odkryj jedne z najbardziej tajemniczych miejsc na Ziemi – opuszczone miasto Inków, Machu Picchu oraz Wyspa Wielkanocna z jej milczącymi posągami.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Limy. **Dz. 2** Zwiedzanie starego miasta, kościoła San Francisco i muzeum archeologicznego Larco. **Dz. 3** Lima – Cuzco – Święta Dolina Inków – Ollantaytambo. **Dz. 4** Ollantaytambo. Wycieczka pociągiem do Machu Picchu. **Dz. 5** Ollantaytambo – Písac, ruiny Inków. Zwiedzanie starego miasta w Cuzco łącznie z katedrą. **Dz. 6** Cuzco. Świątynia Coricancha i ruiny Sacsayhuamán. Po południu czas wolny. **Dz. 7** Cuzco – Santiago. Zwiedzanie Santiago. **Dz. 8** Santiago. Wycieczka do Valparaiso. **Dz. 9** Santiago – Wyspa Wielkanocna. **Dz. 10** Wyspa Wielkanocna. Posągi moai i wulkany. **Dz. 11** Wyspa Wielkanocna. Wulkan Rano Kau, kult człowieka ptaka, kamienne miasto Orongo, Hanha Roa. **Dz. 12** Wyspa Wielkanocna – Santiago. Wolne przedpołudnie na Wyspie Wielkanocnej i przelot do Santiago. **Dz. 13** Wylot do Polski. **Dz. 14** Powrót do Warszawy.

NOWOŚĆ

14 dni
Wyloty z Warszawy
11/11 2026,
22/02 2027

od **30.998,-**

Wyspy Owcze – zielony raj

Zapraszamy do krainy owiec i maskonurów, z soczyście zielonymi wzgórzami, urokliwą stolicą Thorshavn, majestatycznymi klifami Vestmanna i najpiękniejszymi krajobrazami.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa - Wyspy Owcze. Przyjazd do Thorshavn i zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 2** Thorshavn. Rejs łodzią pośród majestatycznych klifów Vestmanna i spacer po Thorshavn. **Dz. 3** Thorshavn. Wycieczka fakultatywna „Atrakcje Północy"- 6 wysp w jeden dzień" lub czas do własnej dyspozycji w Thorshavn. **Dz. 4** Thorshavn. Całodniowa wycieczka po wyspie Eysturoy z fascynującą przyrodą i historią. **Dz. 5** Wyspy Owcze - Warszawa. Wizyta w wiosce Gásadalur i wodospad Múlafossur, widok na strome klify Tindhólmur i Drangarnir. Powrót do Polski.

5 dni | Wyloty z Warszawy 03/07, 15/07, 10/08 2026 | od 7.998,-

4 degustacje wina w cenie

Smaki Francji – Szampania i Burgundia

Wspaniała wyprawa szlakiem francuskich winnic, wybornej kuchni i historycznych miast przez Burgundię i Szampanię.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Paryża. Spacer po Reims i wspólna kolacja w restauracji. **Dz. 2** Wizyta w Épernay i Hautvillers. **Dz. 3** Reims – Troyes – Beaune. Z Szampanii do Burgundii. Zwiedzanie Troyes. **Dz. 4** Gastronomiczna wędrówka po Dijon i winnicach Côte d'Or z degustacją wina. **Dz. 5** Burgundia i urocze miasto Beaune. Spacer po średniowiecznym Beaune. **Dz. 6** Wizyta w miasteczku Chablis i degustacja wina, Auxerre i powrót do domu z Paryża.

6 dni | Wyloty z Warszawy 03/06, 13/09, 04/10 2026

od **6.398,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL12**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 13db1c51da

Złapał Kozak Tatarzyna

Na prima aprilis prezydent Karol Nawrocki przyjął ślubowanie od dwojga sędziów wybranych przez Sejm do Trybunału Konstytucyjnego: **Magdaleny Bentkowskiej** i **Dariusza Szostka**. Wybrał sobie ich według własnego gustu z szóstki sędziów, od których powinien przyjąć ślubowanie. Jak wyjaśnił na konferencji prasowej szef jego kancelarii Zbigniew Bogucki, ich życiorysy najbardziej się prezydentowi spodobały. W szczególności dlatego, że nie zabierali publicznie głosu w sprawie kryzysu konstytucyjnego wywołanego podczas rządów PiS. W przypadku Magdaleny Bentkowskiej jest to prawda co najwyżej częściowa, ponieważ w latach 2016–23 broniła pro bono w procesach politycznych. Politycy Koalicji widzą zaś w tym zaprzysiężeniu chęć skłócenia koalicjantów, ponieważ zaprzysiężeni byli kandydatami zgłoszonymi przez PSL i Polskę 2050.

Prezydent nie ma ani konstytucyjnego, ani ustawowego prawa weryfikować wyboru sędziów TK dokonanego przez Sejm. To naruszenie art. 7 konstytucji mówiącego, że władza działa „na podstawie i w granicach" prawa. Ale prezydent Andrzej Duda też naruszył konstytucję, odmawiając odebrania przysięgi od sędziów – i kto mu co zrobił? Na polityków straszak odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu nie działa.

Bogucki pytany, czy prezydent zamierza odebrać przyrzeczenie od pozostałej czwórki sędziów, nie powiedział wprost, że nie, ale zagroził, że jeśli złożą zastępczo przyrzeczenie przed innym organem, to – w myśl ustawy o TK będzie to potraktowane jako odmowa złożenia przyrzeczenia przed prezydentem, co jest równoznaczne ze zrzeczeniem się urzędu sędziego TK. Twierdzenie o „odmowie" złożenia ślubowania jest absurdalne w sytuacji, gdy wszyscy wybrani sędziowie wystąpili pisemnie do prezydenta, że chcą je przed nim złożyć i czekają na jego zaproszenie. Jednak narracja o odmowie złożenia ślubowania może dać PiS-owi i prezydentowi argument na rzecz nieuznawania ważności wyboru czwórki sędziów, którzy złożą przyrzeczenie wobec Sejmu i marszałka. Narracja jest dziś bowiem ważniejsza od prawa.

Obsadzenie dwóch wakatów w TK to zawsze lepiej niż nieobsadzenie żadnego. Pytanie, czy ci sędziowie będą mogli orzekać w spokoju, czy też prezes TK Bogdan Święczkowski będzie im wyznaczał sprawy z dublerami w składzie, a jeśli odmówią orzekania – ścigał dyscyplinarnie za niewypełnianie obowiązków.

Cokolwiek by pisać, sytuacja z Trybunałem jest dziś z gatunku „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma". Obie strony mają swoje na sumieniu: PiS-owi w dużej mierze udało się zniszczyć praworządność, strona demokratyczno-liberalna wybrała w 2015 r. sędziów na zapas i nie obsadzała wakatów w TK, gromadząc je, by zyskać większość, i nie publikuje żadnych wyroków TK od 2024 r. Teraz, dla przywrócenia normalnego działania Trybunału, potrzebne byłoby zawieszenie broni i kompromisy. To akurat wydaje się niemożliwe.

EWA SIEDLECKA

Histeria po liście biskupów

Na Konferencję Episkopatu Polski wylewa się niespotykana fala prawicowego hejtu. To reakcja na list biskupów na 40. rocznicę pierwszej wizyty papieża w synagodze. Atak jest wymierzony w głównego autora – arcybiskupa krakowskiego kard. **Grzegorza Rysia**. Niektórzy porównują to z nagonką po liście „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie" z 1965 r.

Przykład: „Nie jestem teologiem – pisze Krzysztof Bosak (Konfederacja) – więc nie oceniam, ile w tym liście prawdy, a ile herezji (...), ale sam fakt, że te pytania musimy sobie zadawać, jest żenujący. Ekscelencje, ogarnijcie się! (...) Co nam dał gest papieża sprzed lat? Nic".

13 kwietnia 1986 r. Jan Paweł II przekroczył próg rzymskiej synagogi, nazwał Żydów „starszymi braćmi", mówił o Holokauście, potępił antysemityzm. Było to możliwe dzięki ogłoszonej 20 lat wcześniej na Soborze Watykańskim II deklaracji „Nostra aetate", która zapoczątkowała dialog międzyreligijny i uznała, że także inne religie „odbijają promień Prawdy". Odrzuciła zbiorową winę za śmierć Jezusa, potępiła prześladowania. Papież Polak mógł zatem w murach synagogi mówić na głos to, co zapisano już w kościelnych dokumentach. Ale jego przemówienie i tak stwarzało nową rzeczywistość w relacjach chrześcijan z Żydami.

Obecny list biskupów przypomina nauczanie Kościoła, zachęca do odwiedzenia synagogi. Nie można się łudzić, że z jego treścią zgadzają się wszyscy proboszczowie. A wpisów podobnych do zacytowanego, komentarzy, oświadczeń jest dziś w internecie całe mnóstwo.

Do głosu doszły antysemityzm i niechęć wobec „nowości" soboru. Promowane za ministra Przemysława Czarnka czasopismo naukowe „Pedagogika katolicka" opublikowało zdjęcie kard. Rysia z doklejonymi pejsami. Poparcie dla niego wyrazili natomiast – wobec ogólnego milczenia – metropolita lubelski abp Stanisław Budzik i rektor KUL ks. prof. Mirosław Kalinowski.

Krytyka listu biskupów wyszła także ze strony liberalnej – niektórzy odczytali go jako polityczne poparcie dla Izraela w jego obecnej wojnie. W zestawieniu z prawicową nagonką ma to jednak wymiar inteligenckiej anegdoty.

– *Takie rzeczy ludzi w Kościele umacniają* – ocenia całą sytuację Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny kwartalnika „Więź". – *Kard. Ryś pokazał charakter.*

A to, jak wiadomo, w episkopacie towar deficytowy.

JAKUB HALCEWICZ

© MARYSIA ZAWADA/REPORTER, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, BEATA ZAWRZEL/REPORTER, SEBASTIAN FREJ/GETTY IMAGES

eprasa.pl 13db1c51da

Atak kandydata

Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii

Z chwilą obsadzenia przez PiS Przemysława Czarnka w roli kandydata tej partii na premiera rozpoczęła się de facto kampania przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi. Nawet jeśli ktoś, powołując się na przepisy kodeksu wyborczego, będzie twierdził, że do tej chwili został jeszcze ponad rok, to będzie to tylko przejaw prawniczego formalizmu. W miesiąc po rozpoczęciu przez Czarnka objazdu kraju widać już pierwsze sondażowe efekty jego działań. PiS nie tylko przestało tracić w badaniach opinii publicznej, ale też zaczyna powoli odzyskiwać utracone pozycje.

Czarnkowi sprzyjała widoczna powolność rządu w reagowaniu na kryzys bliskowschodni. Najpierw – mimo że Trump zapowiadał operację przeciwko Iranowi przez kilka dobrych tygodni – nie postawiono w stan gotowości i nie wzmocniono kadrowo polskich służb dyplomatycznych w krajach Zatoki Perskiej. Później zaś, gdy USA i Izrael rozpoczęły atak, zwlekano z przyjęciem przepisów mających zahamować wzrost cen paliw. Wszystko to bezlitośnie wykorzystał Czarnek, chwaląc się, że to jego presja zmusiła rząd do działania.

Czarnkowi sprzyjała też sytuacja wśród prawicowej konkurencji. Braun pod koniec lutego ogłosił w europarlamencie zawiązanie polsko-indyjskiej koalicji gospodarczej, a jego prawa ręka, poseł Roman Fritz, wyraził nadzieję, że „Polska stanie się bardziej atrakcyjna dla indyjskich pracowników". Niedługo później lider Korony udał się z kolei do ambasady Iranu, aby złożyć tam kondolencje i rzucić hasło: „Teheran–Warszawa – wspólna sprawa!". Na koniec zaś opublikował wspólne zdjęcie z Januszem Walusiem i Stanem Tymińskim, dając w ten sposób do zrozumienia, że widzi ich – podobnie jak Monikę Jaruzelską – na listach wyborczych swojej partii. Wszystko to, jak się wydaje, nie tylko zahamuje odpływ dotychczasowych zwolenników PiS w kierunku Korony, ale też może wywołać odwrotny proces.

Korzystnie dla pisowskiego kandydata na premiera kształtowała się też sytuacja w Konfederacji, gdzie nasila się podskórna rywalizacja między Nową Nadzieją Mentzena a Ruchem Narodowym Bosaka. Jej najnowszym przejawem stało się przejście popularnej na prawicy europosłanki Ewy Zajączkowskiej-Hernik z tej pierwszej formacji do drugiej. Towarzyszyły temu zakulisowe ataki na Mentzena, sugerujące, że byłby on w następnym Sejmie gotowy do zawiązania koalicji z partią Donalda Tuska. To także będzie próbował wykorzystać Czarnek, od dawna próbujący jakoś załagodzić napięte stosunki między Kaczyńskim i Mentzenem.

Czarnek będzie też w najbliższym czasie starał się zbudować w Sejmie możliwie szeroki front poparcia dla złożonego wspólnie przez posłów PiS i Konfederacji wniosku o wotum nieufności dla ministry Pauliny Hennig-Kloski. Jednak to nie wynik pojedynczego sejmowego głosowania, ale kolejne populistyczne hasła rzucane przez Czarnka mogą się okazać prawdziwym wyzwaniem dla rządzącej koalicji. Zwłaszcza jeśli jej kierownik będzie, zamiast wyprzedzać jego ruchy, nagrywał kolejne infantylne filmiki, co i tak nie pomoże mu w pozyskaniu głosów tiktokowej publiki.

Szwed is bad

Po raz pierwszy od 2014 r. piłkarska reprezentacja Polski nie zagra na mundialu. Dwuetapowe baraże, które musiała pokonać w drodze do północnoamerykańskich mistrzostw świata, miały paradoksalny przebieg. Najpierw Polacy wygrali u siebie 2:1 z Albanią mecz, który powinni byli przegrać, bo w drugiej połowie rywale zmarnowali świetne okazje na prowadzenie. Ze Szwecją na wyjeździe biało-czerwoni zagrali z pomysłem, tempem i polotem w ofensywie, spychali gospodarzy do desperackiej obrony „Częstochowy", ale i tak więcej goli stracili, niż strzelili. Skończyło się na 3:2.

W obu spotkaniach, jeśli chodzi o grę reprezentacji Polski, zgadzało się jedno: obrona była dziurawa jak sito, właściwie każdy składny wypad rywali pod naszą bramkę siał ciężki popłoch w defensywie, a Szwedzi z czterech sensownych akcji uszyli trzy gole. Selekcjoner Jan Urban ewidentnie stawia na grę „na tak", uwolnił kreatywny potencjał zawodników takich jak Sebastian Szymański, Nicola Zalewski i Jakub Kamiński, ale ta do połowy pełna szklanka nie zagwarantowała sukcesu, gdyż nie została zrównoważona grą „na nie": nieco brudną, ofiarną, w zwartych szeregach. Z drugiej strony trudno stawiać Urbanowi zarzut, że ustawia zespół tak, by strzelał bramki, i nie jest winą selekcjonera, że duet podstawowych obrońców Bednarek-Kiwior, teoretycznie rozumiejących się w ciemno (grają razem w FC Porto) popełnia szkolne błędy.

Nieobecność na mundialu wywołała debatę: czy lepiej grać ładnie, ale ryzykownie, czy jednak murować bramkę i ograniczać się do mitycznych kontrataków, trwać heroicznie do rzutów karnych, jednym słowem mordować futbol, jak miało to miejsce na poprzednim mundialu w wykonaniu reprezentacji dowodzonej przez Czesława Michniewicza. Na taką grę nie dało się patrzeć, no ale, powiadają cynicy, teraz w ogóle nie będzie kogo oglądać. Brak awansu oznacza konkretne straty finansowe (minus 10,5 mln dol. dla PZPN, bliżej nieokreślony, ale również idący w miliony minus od reklamodawców dla TVP) i prawdopodobnie również osobowe, gdyż kapitan **Robert Lewandowski**, lat 38, daje sygnały, że zamierza niebawem zejść z pokładu. Łajbę Urbana ma pociągnąć głównie wspomniane trio pomocników, a zadanie na przyszłość to lepiej wyważyć proporcje między obroną i atakiem. Tak, by nie trzeba było w meczach gonić, ale mieć komfort ucieczki. MP

eprasa.pl 13db1c51da

NATO na celowniku

Ze wszystkich szkód w trwającej już ponad miesiąc wojnie najbardziej strategiczna nie dotyczy Bliskiego Wschodu. Donald Trump zakwestionował przydatność NATO dla USA i w praktyce uzależnił ją od pomocy w odblokowaniu cieśniny Ormuz. W orędziu na temat operacji „Epic Fury" nie wycofał jednak USA z Sojuszu, nawet o nim nie wspomniał. Zdołał za to tak pogorszyć transatlantycki klimat, podważyć zaufanie i obniżyć wiarygodność Ameryki, że spór o inwazję na Irak w 2003 r. za George'a W. Busha – choć między sojusznikami iskrzyło – wydaje się miłym wspomnieniem. Trump nie tylko obraził sojuszników, ale też werbalnie wypowiedział zobowiązania.

Najnowsze jego groźby o wyjściu z NATO Europa przyjęła jednak na chłodno. Najwyraźniej nie traktuje go już poważnie, choć chce rozmawiać o misji w gardłowej cieśninie. Po telefonie prezydenta Finlandii i partnera od golfa Alexandra Stubba Trump spuścił z tonu. W tym tygodniu w Waszyngtonie jest jego inny przyjaciel, sekretarz generalny NATO Mark Rutte. Medialne pokrzykiwanie może się skończyć jak z Grenlandią – uzgodnieniem większej obecności NATO na Bliskim Wschodzie. Dla Sojuszu to nie pierwszyzna, choć zmniejszy zasoby do obrony przed głównym zagrożeniem – Rosją.

Po stronie USA topnieją one z dnia na dzień, co pokazują zdjęcia spalonych samolotów. Amerykańska flaga i litery OK na stateczniku pionowym, ale oderwany od kadłuba ogon i zerwany talerz radaru jednej z najbardziej ikonicznych maszyn latających na świecie – samolotu wczesnego ostrzegania **Boeing E-3 Sentry**, tzw. AWACS-a. Maszyna została trafiona na saudyjskim lotnisku irańskim dronem lub rakietą. Kolejny atak na tę samą bazę, w którym ucierpieli również amerykańscy żołnierze i zaparkowane tankowce KC-135, to porażka Pentagonu, mimo bombastycznej retoryki. Ubytek jednego z 16 we flocie samolotów to utrata ponad 6 proc. zdolności.

Wojna z Iranem pochłania ponad miliard dolarów dziennie w kosztach operacyjnych i zużyciu środków bojowych: rakiet, pocisków i bomb. Szybko topnieją najcenniejsze zapasy: uderzeniowych Tomahawków, produkowanych w dziesiątkach sztuk rocznie, i rakiet przechwytujących do Patriotów (500 szt. rocznie), na które popyt ma NATO i Ukraina. Pentagon chce zwielokrotnienia zamówień i gigantycznego budżetu (1,5 bln dol.), ale uzupełnienie ubytków potrwa latami, a sojusznicy będą musieli poczekać. Co będzie, jeśli wojna, wedle Trumpa, potrwa kolejne trzy tygodnie? Co, gdy jeszcze dłużej?

Straty w sprzęcie latającym zaczęły się już w drugiej dobie działań, gdy obrona powietrzna Kuwejtu zestrzeliła trzy myśliwce F-15E Strike Eagle. Ich dwuosobowym załogom nic się nie stało, ale strata trzech samolotów przez pomyłkę jest bolesna. F-15E to zmodyfikowany do precyzyjnych bombardowań myśliwiec przewagi powietrznej – duża i kosztowna maszyna, w tej wersji już nieprodukowana, tak samo jak AWACS.

„Friendly fire" to przykra norma dużych operacji powietrznych i Amerykanom też zdarzało się strącać własne maszyny. Ale coś najwyraźniej nie zadziałało – elektronika, komunikacja, wyszkolenie lub współpraca z sojusznikami z Zatoki, którzy zapewne nie wiedzieli o zamiarach Donalda Trumpa. Ludzki błąd w siłach powietrznych USA najprawdopodobniej spowodował zderzenie w powietrzu dwóch tankowców, z których jeden rozbił się z całą sześcioosobową załogą.

Jeszcze większe straty Iran zadał USA, biorąc na cel radary i ich słabo chronione załogi w polowych kontenerach. Radar wczesnego ostrzegania w Katarze to miliard dolarów, a antybalistyczny sensor systemu THAAD w Jordanii to 300 mln. Słabsze wykrywanie zagrożeń z powietrza dało Iranowi szansę na ostrzał odwetowy krajów Zatoki Perskiej i Izraela, zanim uderzenia lotnicze ograniczyły irańskie trafienia.

Jeszcze większym zaskoczeniem było ostrzelanie trudno wykrywalnego samolotu F-35 przez prosty pocisk rakietowy ziemia–powietrze, naprowadzany na podczerwień, czyli na ciepło silnika. Podobną broń odpalono przeciw pokładowemu F/A-18 Super Hornet, choć dowództwo zaprzecza, by maszynę trafiono. Skuteczniej Iran radzi sobie z amerykańskimi bezzałogowcami rozpoznawczo-uderzeniowymi. Zestrzelić miał już 16 MQ-9 Reaperów, po kilkanaście milionów dolarów za sztukę.

Nie zawsze jednak szkody wyrządza ogień nieprzyjaciela. Potężną komplikacją okazał się pożar na najnowszym i największym amerykańskim lotniskowcu USS Gerald Ford, który musiał zostać wycofany z działań. Ford to chluba US Navy, ale ma już złą sławę zatkanych toalet, niedziałających pryszniców i spania na podłodze. Wiele usterek wynika z tego, że okręt nie był w porcie od niemal roku. Decyzją Trumpa został zawrócony z ćwiczeń NATO do operacji na Karaibach, a potem na Morze Śródziemne, do bombardowań Iranu. Remont i naprawa mogą kosztować dziesiątki milionów dolarów, co wpłynie też na dostępność innych lotniskowców (z 11 w służbie w morzu jest zwykle najwyżej pięć). A Trump jeszcze nie skończył. Ameryka i NATO będą się podnosić z kosztów długo po jego odejściu.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 13db1c51da

Kreml siłuje się z internetem

Wyłączenia mobilnego internetu stają się już w Rosji nagminne. Przestają działać komunikatory, a np. serwisy YouTube są celowo spowalniane. To kolejna odsłona wojny Kremla z siecią. W Rosji dostęp do niej ma 136 mln osób, czyli blisko 95 proc. społeczeństwa. A tutejsi użytkownicy korzystają ze 106 mln kont w mediach społecznościowych – jak wynika z najnowszych danych Datareportalu. Większość Rosjan korzysta właśnie z internetu mobilnego – generuje on ponad połowę ruchu. Wyłączenia tłumaczone są względami bezpieczeństwa. Ma chodzić m.in. o ochronę przed atakami ukraińskich dronów, a także o zabezpieczenie się przed werbowanymi przez komunikatory internetowe dywersantami. Jednak tak naprawdę Kreml chciałby zwyczajnie kontrolować przepływ informacji w sieci, która staje się dla Rosjan ważniejszym źródłem wiadomości od telewizji i oficjalnych mediów.

Te niezależne zostały po 2022 r. zmuszone do emigracji i są dostępne wyłącznie przez internet. Władze oczywiście blokują ich strony. Dlatego w Rosji powszechnie używa się VPN – to zaszyfrowany przekaz, który ukrywa dane użytkownika i sprawia, że połączenie wygląda, jakby było wykonywane z zagranicy. W 2023 r. z takich możliwości korzystał co trzeci użytkownik internetu w Rosji. „Będziemy robili wszystko, by ograniczyć korzystanie z VPN" – zapowiada Maksut Szadajew, minister rozwoju cyfrowego. Niewykluczone, że władze nakażą operatorom radykalne zwiększenie opłat dla użytkowników, którzy przekroczą miesięczny limit danych (mówi się o 15 GB). Już wcześniej władze zakazały reklamowania VPN, a w kampanii propagandowej tłumaczono, że narzędzie to służy zachodnim firmom do wykradania danych.

Kreml blokuje zagraniczne komunikatory – urzędy i przedsiębiorstwa mają zakaz ich używania do kontaktów z klientami. Ostatnio wziął się za jeden z najpopularniejszych, czyli Telegram. Jednocześnie rozwija własny komunikator Max – tylko za jego pomocą da się załatwiać sprawy urzędowe. Internauci narzekają, że jest niedoskonały i przezroczysty dla służb. Wszystkie te ograniczenia utrudniają życie – gdy trwa blokada, nie da się zamówić taksówki, zapłacić za zakupy telefonem czy skorzystać z nawigacji. Działają tylko strony z „białej listy", zaaprobowane przez władze. Spowodowane wyłączeniami straty biznesu liczone są w miliardach euro.

Wydaje się, że operacja ograniczania internetu to czyszczenie przedpola przed zaplanowanymi na jesień wyborami do Dumy. Społeczeństwo przyjmuje utrudnienia bez entuzjazmu, jednak protesty nie są duże – pod koniec marca zatrzymano w związku z nimi 20 osób. (PR)

Kto ukradnie Księżyc?

Rzeczywistość dogania fikcję z powieści Kornela Makuszyńskiego. Jackiem i Plackiem są Stany Zjednoczone i Chiny, ścigające się o opanowanie Srebrnego Globu. Amerykańskim wstępem jest misja Artemis 2. Między 1 a 10 kwietnia **czwórka astronautów ze Stanów i z Kanady** powinna okrążyć Księżyc, by sprawdzić, czy da się na niego bezpiecznie posłać ludzi i ściągnąć ich z powrotem. Człowiek nie latał poza orbitę i nie lądował na Księżycu od 1972 r. Tym razem nie chodzi (jak w dawnym programie Apollo) jedynie o „zatknięcie flagi i ślady stóp", mówił przed startem Jared Isaacman, szef agencji kosmicznej NASA. Teraz „celem jest pozostanie". Chyba na długo, skoro Isaacman zapowiada, że „Ameryka nigdy nie odda Księżyca". Harmonogram ustalił prezydent Donald Trump, miłośnik przejmowania nowych terenów: lądowanie w 2028 r. (w stulecie wydania „O dwóch takich, co ukradli księżyc"), pierwsza baza dwa lata później.

Amerykanie prowadzą w wyścigu, choć ich przewaga zdaje się topnieć. Program Artemis nie toczy się płynnie, bo NASA też podlega wyborczym cyklom. W obecnej kadencji Trump wprowadził ją w stan rozchwiania skutkujący spadkiem morale, odejściami tysięcy ekspertów i pogłębieniem związków z prywatnymi firmami. Co ma zmniejszać koszty i dynamizować działania agencji, ale wiąże się z uzależnieniem od chimerycznych dostawców. Trump ograniczył komponent naukowy, zwłaszcza programy badania klimatu Ziemi. Postawił na spektakularne misje załogowe, także w kierunku Marsa. Próbował też ściąć czwartą część tegorocznego budżetu, co powstrzymał Kongres.

Natomiast Chińczycy realizują wieloletnią strategię i nie robią przerw. Planują lądowanie w 2030 r. Bazę, zbudowaną z cegieł z księżycowego pyłu, mają postawić w 2035 r. „Możemy się spóźnić", przyznaje Isaacman. Reszta stawki mocno odstaje. Obecne możliwości Indii, sprawnie rozwijających własną branżę kosmiczną, sprowadzają się do wysyłania misji bezzałogowych. Rosja nie umie nawiązać do tradycji sowieckiej kosmonautyki i na odcinku księżycowym pozostaje partnerką w chińskich projektach.

Kto zainstaluje się jako pierwszy, narzuci ton podboju. Prawdopodobnie Księżyc stanie się polem drapieżnie zawłaszczonym przez ziemską politykę. Czekać go może rabunkowa eksploatacja złóż, wyznaczanie stref wpływów i uzbrojenie. Kanadyjczyk Jeremy Hansen, pierwszy nieamerykański astronauta, który znalazł się tak blisko Księżyca, powiedział podczas lotu, że „ludzkość po raz kolejny pokazała, do czego jest zdolna". Oby nie. (JW)

© AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK, NASA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 13db1c51da

Kciuki w górę

JOANNA CIEŚLA

Ustawowy zakaz używania smartfonów w podstawówkach, który ma wejść w życie od września, to jedna z najbardziej oczekiwanych zmian w polskich szkołach. Tylko czy poprawi to samopoczucie dzieci i ich stopnie na świadectwach?

O tym, że od września w podstawówkach mają zamilknąć smartfony, szefowa MEN powiedziała 18 marca, na konferencji w Olsztynie. Barbara Nowacka powołała się na wnioski z opracowanej na zlecenie jej resortu „Diagnozy Młodzieży 2026". Według raportu ponad 70 proc. nastolatek i nastolatków uważa się za uzależnionych od telefonów. Prawie trzy czwarte dzieci w wieku 12–14 lat wie, gdzie znaleźć pornografię w internecie, a połowa tych

eprasa.pl 13db1c51da

w wieku 13–16 lat natknęła się na brutalne treści w mediach społecznościowych.

Zgrzyt w przekazie ministry był jeden: w żadnym miejscu ponad 400-stronicowej diagnozy autorzy nie wysnuwają wniosku, by wprowadzić zakazy. Piszą odwrotnie: instytucjonalne zakazy używania telefonów w szkołach nie są skuteczną metodą edukacji cyfrowej.

Jakby zamieszania było mało, tydzień po olsztyńskiej deklaracji Nowackiej jej resort rozesłał do dyrektorów szkół prośbę, by zachęcić dziewczynki w wieku 13–16 lat (czyli również uczennice podstawówek) do udziału w konkursie na kręcenie rolek – o tym, jak nie oglądać rolek. Dla porządku: chodzi o filmiki na TikToku, Instagramie lub Facebooku, do których dostęp, na mocy innych przepisów, ma być ograniczony dla dzieci poniżej 15. roku życia. Konkurs organizuje estoński Krajowy Ośrodek Koordynacji, w Polsce wspiera go Ministerstwo Cyfryzacji i na jego prośbę MEN rozdystrybuował zachęty. Kto nie nadąża za obranym przez rząd modelem poprawy kondycji dzieci oraz ich relacji z urządzeniami, nie jest sam.

Barbara Nowacka, do niedawna zdystansowana wobec centralnych zakazów, ostatnio wspominała, że apele, by odgórnie ograniczyć użycie telefonów, powracają w jej rozmowach z nauczycielami na spotkaniach informacyjnych o reformie Kompas Jutra w różnych częściach Polski. Ale decyzja o wprowadzeniu zakazu zapadła już we wrześniu po rozmowie szefowej MEN z premierem Donaldem Tuskiem. Projekt w kilka dni został udostępniony do konsultacji społecznych. Zgodnie z deklaracją ministry, „by nie naruszać autonomii szkół", w planowanych przepisach nie ma określonych metod, jakimi mają być egzekwowane zakazy (czy tworzyć specjalne półki, kieszonki na telefony, czy po prostu nie pozwalać ich wyjmować z plecaków). Konsultacje potrwają do 23 kwietnia. A skoro premier zaangażował się w temat, ustawowy zakaz korzystania z telefonów zapewne stanie się faktem.

AI, aj

Ta perspektywa cieszy Krzysztofa Puściana, dyrektora małej podstawówki w Manowie w Zachodniopomorskiem. – *Chodzi głównie o rozmowy z rodzicami.* W szkole w Manowie kilka lat temu przeprowadzono ankietę, jakich regulacji dotyczących urządzeń cyfrowych ojcowie i matki chcieliby na terenie szkoły. 85 proc. poparło zakaz korzystania ze smartfonów na lekcjach. Całkowity, obejmujący też przerwy, nie przeszedł. – *Ale przez pół roku po tej decyzji dzieci faktycznie prawie wcale nie przynosiły do szkoły urządzeń. A potem zaczęło się to zmieniać.* W tej chwili, przyznaje dyrektor, 90 proc. uczniów ma ze sobą telefony lub smartwatche. Gdy ktoś używa telefonu na lekcji i urządzenie jest mu odbierane, ojciec lub matka muszą po nie przyjść. I często robi się z tego awantura. Rodzice mają pretensje, że ich dziecko nic złego nie robi, a telefon musi mieć i kropka.

Podobnie w dużej podstawówce w Małopolsce, gdzie pracuje Hanna. – W *statucie zapisano, że dzieci nie mogą używać na terenie szkoły smartfonów i smartwatchów. Większość przestrzega tych zasad. Ale nawet jeśli nauczyciele widzą telefony w rękach uczniów, to tylko proszą, żeby je schowali. Nie wyciągają konsekwencji, bo do tej pory była to sprawa przegrana. Część rodziców uważa, że zakaz to napaść na wolność ich dzieci. Robią dzikie afery, wypisują do kuratorium itd.* Jak dodaje Hanna, w ostatnim roku w ich szkole narosło fermentu i zagrożeń. Raz uczeń nagrał głos uczennicy i za pomocą AI przerobił nagranie tak, że wyszło, jakby dziewczynka wyrzucała z siebie stek bluzgów. Kto inny nagrał nauczyciela i podmienił głos. – *Szkoła zorganizowała spotkania z policją dla uczniów i rodziców i sytuacja się poprawiła, ale nie na długo* – podsumowuje nauczycielka. Ona też liczy na to, że odgórne regulacje choć trochę ułatwią jej pracę.

Z badania „Edukacja Cyfrowa" przeprowadzonego przez fundację GrowSPACE w 2025 r. wynika, że zasady dotyczące korzystania z telefonów wprowadziło w statutach już 90 proc. szkół. W ponad połowie formalnie działa całkowity zakaz używania urządzeń w czasie lekcji lub na terenie szkoły.

Ministra Nowacka zaznacza, że od września telefony nie zostaną całkowicie wyrugowane. Będzie można ich używać decyzją nauczycieli „w procesie edukacyjnym". Tak też jest już obecnie w wielu miejscach, na przykład w warszawskiej podstawówce 11-letniej Marysi. Nauczyciele proszą dzieci, by wyjęły telefony, żeby np. zrobić na lekcji test na platformie Kahoot. Ale Marysia i oprócz niej jeszcze jeden chłopiec w klasie nie mają smartfonów. Więc kiedyś na czas Kahoota pani pożyczyła im własny telefon. W trakcie gry przyszła i automatycznie otworzyła się wiadomość od męża nauczycielki: „Ja jebię, ale napierdala" (akurat padało). Niedawno w szkole Marysi – jednej z tych 50 proc. objętych zakazem – wybuchł skandal, gdy wyszło na jaw, że na przerwach w kącie boiska szóstoklasiści pokazują trzecioklasistkom zdjęcia porno.

Zakaz w modzie

Opanowanie zamętu kojarzonego z inwazją nowych technologii w życie dzieci cały świat zgodnie uznaje za jedno z najpoważniejszych współczesnych wyzwań. Kilka dni temu nastąpił przełom – sąd w Los Angeles jako pierwszy w historii uznał technologicznych potentatów za winnych szkód na czyimś zdrowiu psychicznym. Proces wytoczyła 20-latka, oskarżając Metę i Google o wywołanie u niej uzależnień w dzieciństwie, w wyniku celowej strategii koncernów. Sąd orzekł karę łącznie 3 mln dol. Być może to początek szerszej zmiany podejścia do odpowiedzialności gigantów technologicznych za wpływ ich produktów na zdrowie ludzi. Kolejne sprawy sądowe są w toku, powszechnie już porównuje się je do batalii obywateli z koncernami tytoniowymi sprzed dekad.

Posłanka Monika Rosa z KO, przewodnicząca sejmowej komisji dzieci i młodzieży – sama sceptyczna wobec zakazu używania smartfonów w szkołach jako głównej odpowiedzi na zagrożenia – rozumie decyzję o przyspieszeniu w Polsce konkretnych ustawowych rozwiązań jako podążanie za pewnym międzynarodowym trendem. Faktem jest, że centralne zakazy korzystania z urządzeń w szkołach przyjmują w ostatnich miesiącach nawet kraje, w których regulacje oddolne poszczególnych placówek sprawdzały się nieźle, np. Finlandia.

A pionierką była Francja, która już w 2018 r. wprowadziła ogólnokrajowy zakaz używania smartfonów, z wyjątkiem celów edukacyjnych. Aktualnie uczniowie do 15. roku życia muszą oddawać telefony na cały szkolny dzień. Według krajowych raportów bez urządzeń na zajęciach lepiej się koncentrują, więcej rozmawiają, rzadziej też dochodzi do cyberprzemocy. Ale wymykanie się zakazom wciąż się zdarza, no i nie poprawiły się wyniki nauczania. ▶

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 13db1c51da

▶ Podobne umiarkowanie optymistyczne wnioski płyną z działającego od kilku lat zakazu korzystania ze smartfonów w australijskich szkołach. Na lekcjach jest spokojniej, uczniowie dogadują się lepiej, ale na lepsze oceny nie przekłada się to zbyt wyraźnie. Ani na stan zdrowia psychicznego. I jeszcze dane brytyjskie. Naukowcy z Uniwersytetu w Birmingham sprawdzali wpływ zakazu używania telefonów na samopoczucie, zachowanie i jakość snu uczniów, w badaniu z udziałem 1,2 tys. nastolatków z 30 szkół średnich. Na łamach prestiżowego czasopisma „The Lancet" opublikowano wnioski brzmiące niemal identycznie jak już wspomniane: zakaz używania smartfonów w szkołach nie wiąże się z lepszym samopoczuciem ani z lepszymi ocenami.

W uzasadnieniu do projektowanych w Polsce przepisów Ministerstwo Edukacji przytacza wyniki innych badań, które zwykle opisują specyficzne sytuacje w pojedynczych krajach lub regionach, jak hiszpańska Galicja (nie wiadomo, dlaczego akurat te przykłady zostały wybrane). Najbardziej interesujące wydaje się – skupione na uczennicach – badanie norweskie. Jak piszą autorzy uzasadnienia, materiał udowadnia, że wprowadzenie omawianego zakazu nie tylko obniża poziom dręczenia, ale też zwiększa średnią ocenę uczennic. Tyle tylko, że w czasie prowadzenia badań w Norwegii nie działał zakaz krajowy, a oddolne, negocjowane w szkołach rozwiązania.

O polskich realiach urzędnicy MEN piszą mało, oświadczając, że resort „nie zbiera danych, w ilu szkołach obecnie jest wprowadzony zakaz korzystania z telefonów komórkowych. Sytuację nad Wisłą w materiale MEN opisują głównie sondaże, m.in. CBOS, z marca 2025 r.: 71 proc. respondentów preferuje, aby „we wszystkich szkołach w Polsce obowiązywały takie same zasady dotyczące korzystania przez uczniów ze smartfonów".

Działa słabo, za to szybko

Skoro centralne zakazy używania smartfonów w szkołach nie przynoszą długofalowych, spektakularnych rezultatów, dlaczego kolejne kraje decydują się na ten krok? Trochę dlatego, że krótkofalowy, pierwszy efekt pojawia się szybko. Na lekcjach – gdy zakaz jest respektowany – robi się spokojniej. Na przerwach uczniowie więcej rozmawiają. W dodatku taka zmiana jest omawiana w mediach, kosztuje mało i odpowiada na społeczne zapotrzebowanie. Bo zdroworozsądkowa logika podpowiada, że „odłączenie dzieci" od sieci choć na kilka godzin dziennie musi im pomóc. Wreszcie trochę dlatego rozprzestrzenia się centralny zakaz, że „inni tak robią, więc i my tak zróbmy".

Dr Magdalena Śniegulska, psycholożka rozwojowa z Uniwersytetu SWPS, podkreśla, że nauka nie dostarcza obecnie jednoznacznych dowodów na to, by izolacja od urządzeń na terenie szkoły była najskuteczniejszą formą wsparcia rozwoju dzieci. – *Zamiast skupiać się na walce z narzędziem, powinniśmy skierować uwagę na przyczyny, dla których młodzi ludzie tak intensywnie w nie uciekają. W debacie publicznej często zapominamy o różnorodności potrzeb uczniów. Dla wielu z nich, zwłaszcza tych z trudnościami w nawiązywaniu relacji czy przeciążonych szkolnym hałasem, chwila ze smartfonem na przerwie jest formą regulacji napięcia. Możliwość napisania do zaufanej osoby w trudnym momencie bywa czynnikiem, który pozwala dziecku przetrwać dzień w szkole.* Nagłe odebranie tego „cyfrowego podwórka" bez zaproponowania alternatywy – bezpiecznej przestrzeni czy wsparcia psychologicznego – może paradoksalnie nasilić poczucie osamotnienia i lęku.

Współcześni eksperci zajmujący się dobrostanem cyfrowym uważają, że dużo większe szanse na realne i trwałe zmiany przyniosłoby odejście od narracji opartej na kontroli na rzecz podmiotowości ucznia. – *Prawdziwa zmiana zaczyna się tam, gdzie młodzi ludzie mają głos w tworzeniu regulaminu korzystania z technologii* – kontynuuje dr Śniegulska. Kiedy uczeń staje się współautorem zasad, zaczyna rozumieć ich sens i bierze za nie odpowiedzialność. – *Powinniśmy zrezygnować z nadużywania słowa „uzależnienie". Zamiast straszyć, szkoła powinna uczyć, jak budować zdrową relację z technologią i wykorzystywać ją również do budowania więzi.* Celem nie powinno być „wyczyszczenie" szkół z ekranów, ale stworzenie w nich warunków, kiedy telefon przestaje być jedynym dostępnym źródłem ulgi i wsparcia.

Zdaniem dyrektora biura Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty Marka Pleśniara centralny zakaz smartfonów w szkołach nie przyniesie radykalnych zmian. Po pierwsze dlatego, że ogólne regulacje wprowadzono już prawie wszędzie, a sposobu egzekucji nowych przepisów i tak nie będzie w ustawie (co akurat dyrektorzy oceniają pozytywnie). – *Jesteśmy za tym, żeby nie zakazywać, tylko regulować i edukować. Ale nie będziemy protestować przeciwko tym przepisom. Może przydadzą się tym, którzy nie zauważyli, że smartfony pojawiły się w szkołach.* Marek Pleśniar podkreśla jeszcze jedno: co do zasady nauczyciele, z lepszym lub gorszym skutkiem, nie pozwalają na lekcjach korzystać z telefonów na pewno niedłuższy czas. – *To nie pod naszą opieką dzieci się od nich uzależniają.*

> Uczniowie mówią, że chcieliby jasnych zasad. Jeśli jest zakaz używania telefonów, to niech każdy, kto go łamie, dostaje uwagę. A nie tylko ten, kto wejdzie z telefonem pod nogi wkurzonej nauczycielce.

eprasa.pl 13db1c51da

Przychodzą rano do szkół z czerwonymi oczami, bo scrollowały lub oglądały coś przez pół nocy w telefonie w swoich domach, pod opieką rodziców.

Z przywoływanej już publikacji „The Lancet" o wpływie zakazu używania smartfonów w szkołach – czy raczej braku tego wpływu – na samopoczucie i oceny uczniów płynie jeszcze jeden wniosek. Pogorszenie ocen, samopoczucia i jakości snu wiąże się dużo wyraźniej z ogólnym czasem spędzanym z telefonem w ręku i w mediach społecznościowych w ciągu doby. Czyli poza szkołą.

Zasady dotyczące korzystania z telefonów wprowadziło w statutach już 90 proc. szkół. W ponad połowie formalnie działa całkowity zakaz używania urządzeń w czasie lekcji lub na terenie szkoły.

Żeby się udało

Jeśli wprowadzać w szkołach twarde zakazy, można to robić tak, jak opowiada Jagoda, polska nauczycielka pracująca w gimnazjum w Niemczech, we Frankfurcie: – *Na początku roku szkolnego dyrektor skierował do rodziców list wyjaśniający, dlaczego wprowadzamy zakaz i jak będziemy go egzekwować. Rozmawialiśmy o tym na wrześniowych zebraniach, od rodziców padało wiele pytań. Potem każdy z nich podpisem potwierdzał, że przyjmuje do wiadomości list dyrekcji.* W szkole Jagody urządzeń nie można wyjmować z plecaka (chyba że do pracy na lekcji). Jeśli ktoś korzysta z telefonu, zostaje zapisany na specjalnej liście. Po dwóch adnotacjach trzeciej nie ma – urządzenie idzie do depozytu, zgłosić do szkoły musi się rodzic. Skoro każdy podpisał, buntu nie ma – choć może to specyfika niemieckiego podejścia.

Ale w Polsce respektowanie zasad też się udaje. W szkole, w której pracuje Renata, w podwarszawskiej miejscowości, zakaz telefonów obudowano wprowadzeniem tzw. aktywnych przerw. W otwartych salach gimnastycznych, pod okiem wuefistów dzieciaki mogą np. pograć w koszykówkę. Oprócz tego na szkolne korytarze wstawiono piłkarzyki, cymbergaje, zestawy jengi, szachy. Jest co robić. – *Nie wykluczam, że ktoś potajemnie grywa w toalecie w Robloxa, ale na pewno nie ma masowego sprzeciwu wobec zakazu* – ocenia nauczycielka. Z koleżankami same się dziwią, że zmiana przeszła dość gładko. Choć prosta logika potwierdza, że gdy się komuś coś się zabiera, łatwiej to zniesie, dostając co innego w zamian.

W rozmowach z uczniami różnych szkół można usłyszeć, że chcieliby – tylko i aż – jasnych zasad. – *Jeśli jest zakaz używania telefonów, to niech każdy, kto go łamie, dostaje uwagę albo przynajmniej ochrzan. A nie tylko ten, kto wejdzie z telefonem pod nogi wkurzonej nauczycielce, gdy cały korytarz gra* – apeluje Michał, 14-latek z warszawskiej podstawówki. W jego szkole zakaz wprowadzono dwa lata temu, ale jest mocno dziurawy.

Tym, co w polskich warunkach jest najbardziej potrzebne na start (bo premier sam przyznaje, że zakaz w szkołach to tylko łatwy start) walki o higienę cyfrową i zdrowie psychiczne dzieci, jest podejście do tematu serio. Na razie wygląda to tak, że dorośli mają świadomość, że wyzwanie jest poważne, ale ich pomysły na to, jak mu sprostać, już takie nie są. Są chaotyczne, wzajemnie sprzeczne, motywowane doraźnie rozumianym interesem politycznym. Centralny zakaz używania smartfonów przyniesie jeszcze mniej dobrego, niż może, jeśli nie będzie obowiązkowej edukacji zdrowotnej, z rozbudowanym modułem o tym, jak zdrowo żyć w codzienności z urządzeniami.

– *Sensowna zmiana to nie jest sam zakaz używania telefonów* – podkreśla dr Karol Dudek-Różycki, przewodniczący Stowarzyszenia Nauczycieli Przedmiotów Przyrodniczych i działacz społeczny. – *To jest obłożenie wysokim podatkiem koncernów takich jak Meta i włączenie ich we współodpowiedzialność za stan psychiczny dzieci. To jest edukacja rodziców i kampanie na wszelkich możliwych kanałach pod hasłem „Nie dawaj dziecku telefonu, nie puszczaj mu bajek, nie narażaj go na ekrany". Chodzi o stworzenie systemu otulającego z różnych stron obszar korzystania z technologii.*

Ważną częścią tego systemu są też, opracowywane przez Koalicję Obywatelską, regulacje o blokadzie dostępu do social mediów dla osób do 15. roku życia (obowiązek weryfikacji wieku użytkowników spadłby na platformy internetowe). Ale wszystko to będzie się rozłazić, jak długo będzie dotyczyć ograniczeń wyłącznie wobec dzieci i młodzieży. Magdalena Śniegulska uważa, że większe szanse na realne zmiany przyniosłoby przekształcenie szkół w przestrzenie wolne od rozrywkowego korzystania z urządzeń cyfrowych. Nie tylko dla dzieci – także dla dorosłych, w tym nauczycieli. Żeby uczniowie nie oglądali także ich scrollujących na przerwach – albo na lekcjach, gdy sami uczniowie mozolą się z klasówką.

Rzadsze oglądanie dorosłych przyklejonych do telefonów, również w domach, przyniosłoby najwyraźniejszą poprawę higieny cyfrowej. W badaniach nikt tego nie sprawdził, pewnie trudno znaleźć chętnych uczestników. Ale fakt, że jedną z najskuteczniejszych metod edukacyjnych jest żywy przykład, potwierdzają setki lat dorobku pedagogiki i psychologii. Rozwiązania takie jak szerszy czy węższy zakaz używania smartfonów to wciąż eksperyment o nieznanym dokładnie wyniku. Nawet jeśli ten eksperyment realizowany jest na skalę światową.

JOANNA CIEŚLA

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 13db1c51da

Iran, Ameryka, Izrael i kwestia polska. Wojna na Bliskim Wschodzie podzieliła naszą prawicę na trzy konkurencyjne obozy. Linię podziału wyznacza dzisiaj przede wszystkim stosunek do Donalda Trumpa, chociaż równie dobrze można się pospierać o polską bombę atomową albo żydowskiego antychrysta.

Fani Donalda

RAFAŁ KALUKIN

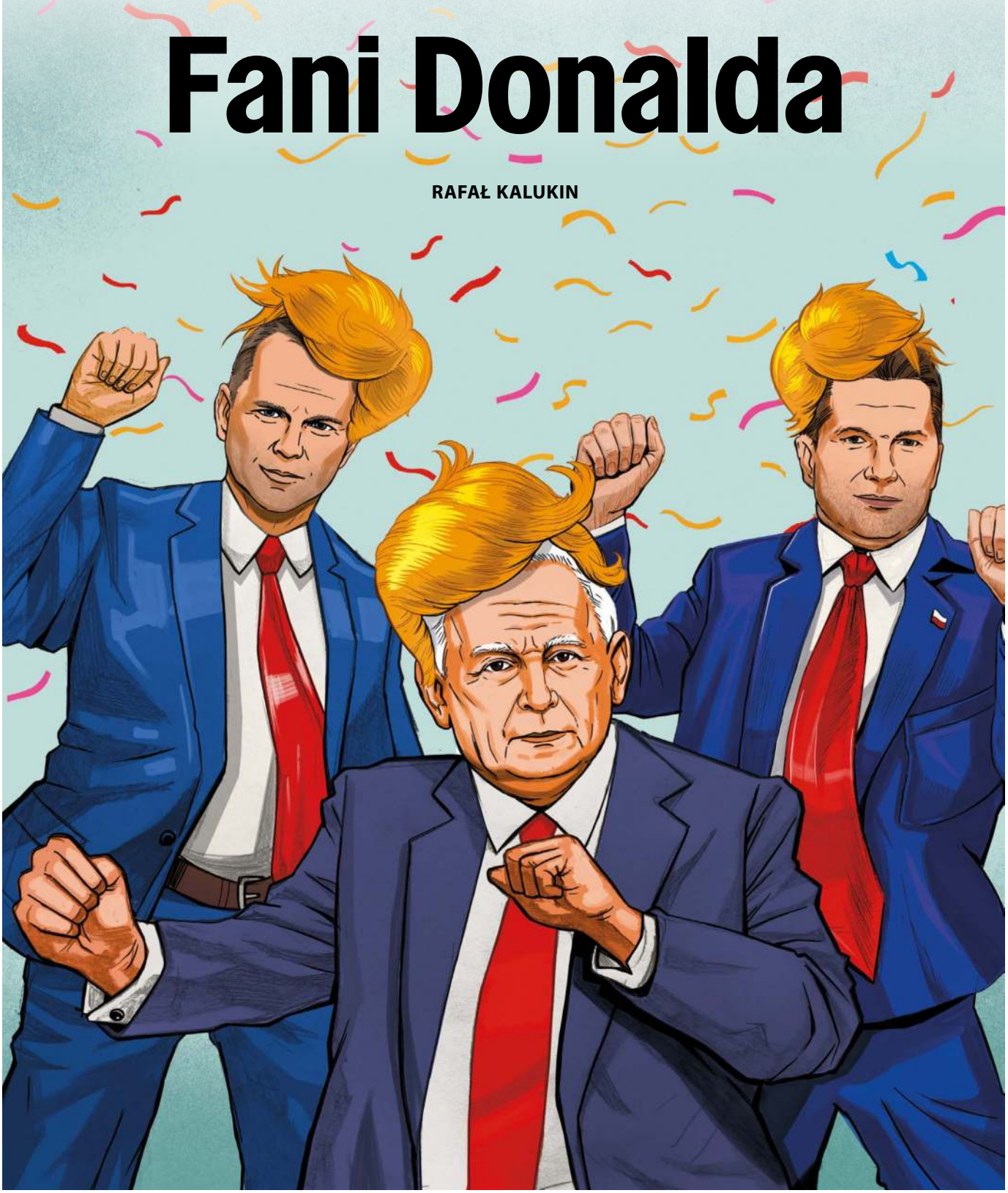

ILUSTRACJA ADAM WÓJCICKI

eprasa.pl 13db1c51da

Donald Trump nie jest ostatnio łaskawy dla swoich fanów znad Wisły. Jego absencja na konferencji CPAC w Dallas postawiła bowiem Karola Nawrockiego w dość kłopotliwym położeniu. Jego ludzie musieli później odpowiadać na pytania, po co właściwie było odwiedzać środowiskowo-partyjną imprezę ruchu MAGA. Skądinąd Nawrocki był tam jedynym przywódcą państwa.

A już w stan niemalże zawałowy musiała wprowadzić pałacowy personel i ten z Nowogrodzkiej ubiegłotygodniowa pogróżka Trumpa o porzuceniu NATO. Przez wiele godzin krążyły domysły, co ostatecznie ogłosi amerykański prezydent w zapowiedzianym orędziu. Wyjdzie? Nie wyjdzie, ale postawi twarde warunki? Ograniczy obecność amerykańskich wojsk w Europie? A może przesunie na wschodnią flankę, co akurat byłoby ożywczą dawką tlenu w zapchanych ostatnio komunikacyjnych aortach PiS? Na koniec okazało się, że Trump zdążył „zapomnieć" o NATO.

Nieobojętna na jego chaotyczne ruchy pozostaje również konkurencja z obu konfederackich rytów, tyle że akurat tam oczekiwania są inne. O ile na początku prezydentury Trump bywał jeszcze integrującym całą polską prawicę symbolem globalnej ofensywy wojującego konserwatyzmu, o tyle dzisiaj jego agresywna polityka międzynarodowa głęboko dzieli prawicowy front. Kiedy więc Nowogrodzką ogarnia niepokój, liderzy alternatywnych nurtów przeważnie zacierają ręce.

Im dłużej trwa operacja w Iranie, tym większym obciążeniem staje się Trump dla PiS i Nawrockiego. Ubiegłotygodniowy sondaż CBOS przyniósł wyniki wręcz dramatyczne. 77 proc. badanych uznało atak za niesłuszny, a blisko połowa – za niebezpieczny dla Polski. Wojna nie budzi entuzjazmu nawet w elektoracie PiS, gdyż raptem co piąty wyborca tej partii uważa, iż jest uzasadniona. Podobnego zdania jest 10 proc. zwolenników Konfederacji oraz 4 proc. popierających partię Grzegorza Brauna. Tyle że konfederaci i brauniści mają ten luksus, że mogą Amerykę krytykować, podczas gdy PiS go nie ma.

„Nie jestem specjalistą od polityki międzynarodowej i naprawdę nie sądzę, żeby to było dzisiaj clue naszej dyskusji. (...) To nie jest temat, który powinniśmy w Polsce rozwijać. Polska tej wojny nie wywołała" – wił się jak piskorz prominentny polityk PiS Jacek Sasin, kiedy na samym początku operacji w Iranie zadano mu proste pytanie: kto rozpoczął atak? Bardziej komunikatywny okazał się Stanisław Karczewski, który przewidywał, że „ceny ropy na pewno pójdą do góry, ale pokój i demokracja nie mają ceny". Najwyraźniej wyszedł jednak przed szereg, gdyż związek pomiędzy wojną i rosnącymi kosztami tankowania na stacjach benzynowych to akurat dla jego obozu kwestia wyjątkowo delikatna, o której nie wolno wspominać.

Komunikacyjna niezborność pokazywała, że PiS zostało zaskoczone wojną na Bliskim Wschodzie. Podaje to w wątpliwość późniejsze tłumaczenia współpracowników Nawrockiego, że akurat polski prezydent – w odróżnieniu od premiera – był przez Amerykanów uprzedzony. Nie po to jednak Kaczyński obstawił Pałac Prezydencki swoimi ludźmi, żeby tak ważna informacja do niego nie dotarła.

Z czasem PiS ustawił narracyjne szyki. Dzisiaj od liderów tej partii trudno wyciągnąć komentarz na temat samej wojny. Cała uwaga została przesterowana na krajowe podwórko, na którym formacja Kaczyńskiego z Przemysławem Czarnkiem w roli frontmana stara się rozliczać rząd z braku interwencji na rynku paliwowym. Premier Tusk długo się opierał presji na obniżenie opodatkowania, ale ostatecznie uległ przed Wielkanocą.

I na razie trudno rozstrzygnąć, kto politycznie wygrał tę rozgrywkę. PiS mógł na koniec stwierdzić, że to jego naciski skruszyły lodowate serce premiera, tylko że ostatecznie decyzję podjął rząd, a problemu w ogóle by nie było, gdyby bóstwo zza oceanu nie rozpętało niepotrzebnej wojny. Co politycy rządzącej koalicji na każdym kroku podkreślają, a jeszcze chętniej robi to Konfederacja, która w pierwszej kolejności to właśnie PiS obwinia za problem paliwowy. Jak w popularnej internetowej rolce Sławomira Mentzena, na której zestawiono widok pylonu stacji benzynowej oraz posłów PiS skandujących na sali sejmowej nazwisko amerykańskiego prezydenta.

W mediach sprzyjających PiS dominuje robienie dobrej miny do złej gry. Sama wojna komentowana jest w sposób, delikatnie mówiąc, jednostronny. I tak w „Sieciach" Piotr Gursztyn zaczyna od nazwania Iranu „jednym z najbardziej odrażających reżimów świata", z czym oczywiście trudno się nie zgodzić, tylko że moralizowanie rozprawy z tym reżimem mocno się rozmija z realnymi intencjami Trumpa oraz jego sojusznika Beniamina Netanjahu.

Ale to tylko wstęp pozwalający następnie skierować uwagę na „szajbę polskiego lib-leftu", któremu publicysta zarzuca „antyamerykańskie wzmożenie". Tymczasem akurat komunikacja rządzącej koalicji jest bardziej niż ostrożna, bo nikomu nie zależy na drażnieniu Trumpa. „Propaganda polskich liberałów starannie pomija najważniejsze fakty. Przecież to Donald Trump wyrządził najwięcej wymiernych szkód Władimirowi Putinowi" – przesądza Gursztyn, przezornie pomijając problem cen energii oraz ich wpływu na rosyjski budżet, zawieszonych sankcji na rosyjską ropę, zawirowań w dostawach broni dla Ukrainy oraz ogólnego odpuszczenia przez USA politycznej presji na Kreml.

W „Gazecie Polskiej" na początku operacji zapanowała wręcz euforia. Jeden z autorów wieszczył Trumpowi, że wkrótce dołączy do panteonu amerykańskich bohaterów, obok Roosevelta i Reagana, którzy rozprawili się z faszyzmem i komunizmem. Dzisiaj wrogiem jest islamski radykalizm, który „epicka furia" już za chwilę połamie niczym zapałkę. Rozmach ataków wzbudził zresztą na łamach „GaPola" niekłamany zachwyt. Towarzyszyły mu fantazje o sparaliżowanych strachem na taki pokaz siły irańskich sojusznikach z Moskwy i Pekinu. Jak stwierdził Dawid Wildstein, Chiny okazały się „papierowym smokiem".

Tym bardziej my sami powinniśmy się teraz trzymać poły amerykańskiego płaszcza, do czego namawia większość autorów. W tym Tomasz Łysiak, który przekonuje, iż „wojna z Iranem pokazała, po raz kolejny zresztą, to, co dla niektórych jest oczywiste, a dla innych jakby mniej: na świecie jest ciągle jeden i ten sam hegemon militarny". Problem w tym, że powinien się jednak trochę bardziej wykazać, żeby Łysiak i inni nie musieli zaraz świecić oczami.

Czego naczelny pisma Tomasz Sakiewicz najwyraźniej już zaczął się obawiać, dając sygnał do większej ostrożności w stawianiu tez: „Polacy nie mogą obrażać się na rzeczywistość. USA, mimo swoich mankamentów, spełnia cechy sojusznika". Niby zgodnie z dotychczasową linią, ale chodzi właśnie o „mankamenty". Najbardziej przeszkadza Sakiewiczowi zbyt mało „stabilna" ▶

eprasa.pl 13db1c51da

▶ polityka USA wobec Polski. Oczywiście należy zachować proporcje, bo nagrzeszył głównie Joe Biden, który miał być wręcz prawdziwym sprawcą obalenia rządu Mateusza Morawieckiego, niemniej „republikanie też nie zawsze przywiązują wagę do swoich sojuszników, woląc potem naprawiać błędy". Tymczasem byłoby lepiej, gdyby próbowali zawczasu im zapobiegać.

„To nie jest nasza wojna" – stwierdza z kolei z absolutnym przekonaniem naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki w tytule swojego wstępniaka. Z pewnością nieprzypadkowo pożycza sobie konfederackie hasło z mediów społecznościowych. Uważany przed laty za umiarkowanego konserwatystę Lisicki dziś zdaje się nawet bliższy jej wersji braunowskiej niż mentzenowo-bosakowej. Był zresztą gościem niedawnego kongresu Korony.

Paweł Lisicki

Kiedy Trump wprowadzał się do Białego Domu, redaktora „Do Rzeczy" ogarnęła ideologiczna euforia. W internetowych pogawędkach ze swoim stałym partnerem Wojciechem Cejrowskim obaj obwieszali się flagami amerykańskimi i symbolami ruchu MAGA niczym strachy na wróble. Ale entuzjazm dawno minął, bo Trump nie spełnił pokładanych nadziei. Miał pokazać całemu Zachodowi, jak orać lewactwo, a zamiast tego wdał się w wojenne awantury.

Lisicki stracił więc złudzenia. Jego zdaniem sojusz z USA już od ponad dekady nie służy polskim interesom. Zaczęło się psuć jeszcze na ukraińskim Majdanie w 2014 r., kiedy Amerykanie postanowili zainwestować w ukraiński nacjonalizm, podczas gdy „renesans banderyzmu jest przecież ostatnią rzeczą, której Polska mogłaby chcieć". A teraz mamy atak na Iran, którego efektem jest światowy chaos, szok paliwowy, zagrożenie terroryzmem i migracją. Stosunek tygodnika do konfliktu streszczają same tytuły poświęconych mu analiz: „Konflikt na Bliskim Wschodzie uderza w portfele", „Najgłupsza wojna XXI wieku", „Kremlowski szampan dla Trumpa".

Ale prawdziwe bingo Lisicki zostawia na koniec: „Amerykanie podpalili Bliski Wschód dla Izraela. (...) Jaki ma w tym interes Polska? Nie widzę żadnego. Gorzej. Tak całkowite podporządkowanie polityki amerykańskiej Izraelowi sprawia, że można domniemywać, że w każdej sytuacji konfliktu między Polską a środowiskami żydowskimi Waszyngton będzie po stronie tych ostatnich". Podobny ton rozczarowania znajdziemy zresztą również u Cejrowskiego: „Trump prowadzi tę wojnę bardzo sprawnie, ale nie potrafi uzasadnić, czemu to robi. Ludziom rozumującym prosto i zwyczajnie wychodzi więc jedno: Żydzi kazali, to zrobił".

Ale jak to się mogło stać, że izraelski ogon macha amerykańskim psem? Ta kwestia jest od jakiegoś czasu przedmiotem poważnych publicystycznych analiz oraz trochę mniej poważnych rozkmin w internecie. Ogólnie rzecz biorąc, jest to skutek podziału wewnątrz ruchu MAGA, który składa się z dwóch frakcji. Ta słuszna, czyli katolicka, początkowo dominowała, dbając o właściwy izolacjonistyczny kurs. Początkowo Trump chciał zatem wygasić toczące się wojny, a następnie dogadać się z Rosją i Chinami co do podziału świata na strefy wpływów. Co publikujący również na łamach „Do Rzeczy", a politycznie bliski Braunowi Adam Wielomski o dziwo uważa za korzystne dla Polski, chociaż do meandrów takiego rozumowania jeszcze powrócimy.

Tymczasem powinniśmy zwrócić uwagę na drugą odnogę MAGA, tym razem niesłuszną, która niestety wzięła górę. To ortodoksyjni protestanci, o których tenże Wielomski pisze, że na ich tle „irańscy ajatollahowie to wolterianie, wolnomyśliciele i religijni sceptycy". Ale zapewne to nie religijny dogmatyzm tak naprawdę zgorszył największego nad Wisłą apologetę reakcyjnego konserwatyzmu, lecz przypisywane owej frakcji praktykowanie „chrześcijańskiego syjonizmu", który bierze się z dosłownego odczytania biblijnego cytatu z Księgi Rodzaju o bożej obietnicy oddania „narodowi wybranemu" całości ziem między Nilem i Eufratem.

Publicznie faktycznie nawiązywał do tych słów sekretarz obrony (i protestant) Pete Hegseth, a przypadki religijnej indoktrynacji w takim właśnie duchu w szeregach US Army odnotowały też amerykańskie gazety. W prawicowej narracji urosło to jednak do rangi zasadniczego konfliktu, który niestety wygrało prożydowskie lobby protestantów, żeby następnie wepchnąć Trumpa w łapy sprytnego Netanjahu i ruszyć wspólnie na Iran.

W istocie jest to bowiem wojna religijna, chociaż w pierwszej kolejności to nie Ameryka ją toczy. Stawką jest „Wielki Izrael", który ma powstać po zagarnięciu całego Bliskiego Wschodu, co samo w sobie jest już wizją zatrważającą. Ciąg dalszy zależy od inwencji i odwagi autorów. Ci z tradycyjnych łamów jeszcze się miarkują, ale w internecie można więcej. Braunista Tomasz Piekielnik i jemu podobni przewidują więc już dzisiaj, że zapewniając sobie hegemonię w regionie, Izrael przystąpi do kolejnej rozgrywki, tym razem o panowanie nad światem.

Ta narracja ma również swoją wersję mistyczną, która cieszy się szczególnym wzięciem na TikToku. Otóż w Izraelu od dawna rzekomo trwają przygotowania do odbudowania „trzeciej świątyni" zburzonej dwa tysiące lat temu z woli Chrystusa. I zgodnie z żydowskim proroctwem ma ona stanąć na irańskiej ziemi. A kiedy już do tego dojdzie, na świat przyjdzie żydowski Mesjasz, czyli Antychryst. „Fałszywego Mesjasza" przewiduje już nawet słynny „jasnowidz z Człuchowa", przechwytujący złą energię płynącą z fotografii Trumpa. Zasięgi jego proroctwa lawinowo skoczyły, kiedy potwierdziła się inna z przepowiedni wróżbity – o tym, że w meczu piłkarskim Polska–Szwecja wydarzy się w końcówce coś nieoczekiwanego.

W sieci najlepiej widać skalę wizerunkowej katastrofy Izraela, do której doprowadził swoją polityką rząd Beniamina Netanjahu. Polityki Tel Awiwu bronią praktycznie już tylko pojedynczy autorzy w rodzaju Tomasza Lisa, Konstantego Geberta bądź Jana Hartmana. Strona liberalna zasadniczo odrzuca współczesny izraelski nacjonalizm z powodu jego skłonności do agresji oraz bliskich związków z Trumpem, podczas gdy lewicowa reprezentuje optykę propalestyńską.

PiS ma z tym wyraźny problem, gdyż prawicowy wyborca najczęściej swoje o Żydach już wie, a zarazem należałoby ich jakoś bronić, bo ambasador USA Thomas Rose tego oczekuje. W tej sytuacji najlepiej nie ryzykować i nie wymawiać złowieszczej nazwy „państwa na I". Za to dalej na prawo zaczyna się już obszar niczym niehamowanego antysemityzmu, obficie podlanego teorią spiskową. Do młodego głównie odbiorcy płyną stamtąd seryjnie produkowane materiały, najczęściej przez sztuczną inteligencję. To jednak szczególne modele AI, które najwyraźniej

eprasa.pl 13db1c51da

trenowano wyłącznie na „Protokołach mędrców Syjonu" i innych tego rodzaju publikacjach. I jest tego tak wiele, że propaganda z Marca '68 może się schować. Można się tylko domyślać, jak ponurym cieniem położy się to na relacjach polsko-żydowskich w najbliższych latach.

Treści antysemickie kolportowane są niemal wyłącznie przez konta Konfederacji Korony Polskiej oraz jej sympatyków. W tym zakątku prawicy sympatia jednoznacznie lokowana jest zresztą po stronie Iranu. „Teheran–Warszawa – wspólna sprawa" – obwieścił już w pierwszych dniach wojny sam Braun, składający następnie kurtuazyjną wizytę w irańskiej ambasadzie. A jego przyboczny Włodzimierz Skalik złożył hołd nieżyjącemu ajatollahowi Alemu Chameneiemu jako „wrogowi numer jeden syjonistów", wyrażając przy tym nadzieję, że zastąpi go przywódca równie wybitny.

Wojciech Cejrowski

Internetowe boty powielały w tym czasie narrację o tradycyjnej przez wieki przyjaźni polsko-perskiej, pomocy udzielonej armii Andersa, zadbanym polskim cmentarzu w Teheranie. Mniej sentymentalny, a bardziej pragmatyczny był „Najwyższy Czas!", którego autor apelował o nawiązanie bliskiej współpracy, również politycznej i wojskowej, albowiem „(...) Iran dysponuje bardzo nowoczesnym i bardzo profesjonalnym systemem obrony, który jest owocem irańskiego przemysłu zbrojeniowego. To z kolei każe patrzeć na Teheran jako na potencjalnego partnera w zbrojeniach".

Takie umizgi w wykonaniu ludzi, którzy nie tak dawno rozsiewali islamofobię, mogą dziwić, ale po nasyconym rozmaitymi indywiduami ruchu Brauna nie należy oczekiwać spójności. Skądinąd tradycję budowania politycznych relacji z ambasadami państw bliskowschodnich zapoczątkował jeszcze w latach 80. narodowo-komunistyczny Grunwald, który śmiało można uznać za jednego z antenatów Konfederacji Korony.

Spójna nie jest również narracja. Sam Braun pozostaje konsekwentnie antyzachodni, wzywając do wycofania się z Unii Europejskiej i NATO. W zamian oferuje idylliczną wizję autarkii, która pokojowo żyje ze wszystkimi sąsiadami i kwitnie dzięki wymianie handlowej. Wspomniany już Wielomski dodaje, że Rosja niczego od nas tak naprawdę nie chce, bo już dawno wygrała geopolityczną batalię o panowanie nad Rusią. Jeśli więc nie będziemy się mieszać w jej sprawy, da nam święty spokój. I takie opowieści niewątpliwie są atrakcyjne dla odbiorców, którzy słabo rozumieją mechanizmy rządzące światem. Jak jednego z uczestników niedawnego kongresu KINGS, który zapytał w trakcie debaty geopolitycznej, dlaczego Polska nie mogłaby po prostu ogłosić neutralności i odtąd funkcjonować jak Szwajcaria. Pytanie nie wywołało zresztą na sali większego zdziwienia.

Nie brakuje też jednak na kontach „frontu gaśnicowego" treści radykalniejszych. Ameryka i sam Trump coraz częściej są tam prezentowani jako wysłannicy diabła, a powstrzymać ich może wyłącznie front rosyjsko-chińsko-irański, do którego Polska powinna przystąpić. Sporo w tym eschatologii i specyficznego mistycyzmu, który może się kojarzyć z „eurazjatyckimi" teoriami Aleksandra Dugina. Swoją drogą większość tych treści zaczęło swój żywot na rosyjskim serwisie Telegram.

„Duża" Konfederacja jest równie krytyczna wobec agresji na Iran, ale już bez posługiwania się antysemickim ekscesem oraz kłaniania się Putinowi. Formacja Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka przede wszystkim lansuje ideę suwerenności, której najchętniej używa jako bata na pisowski serwilizm wobec USA. Wcześniej Mentzenowi zdarzyło się stanąć po stronie marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego w jego sporze z amerykańskim ambasadorem, kiedy w swoim stylu komentował: „To jest nasz postkomunista i nikt nam nie będzie mówił, kto ma być marszałkiem naszego Sejmu". Dla Trumpa konfederaci też nie mają taryfy ulgowej, chociaż – inaczej niż Braun – nie uważają go za przeciwnika ideologicznego.

Suwerenność nie jest w ich wykonaniu konceptem jakoś specjalnie wyrafinowanym. Chodzi po prostu o to, żeby się trzymać jak najdalej od konfliktów. „To nie nasza wojna" jest hasłem w zasadzie uniwersalnym, gdyż to samo konfederaci mówili już przy okazji agresji na Ukrainę. Ich fetyszem są „interesy", zawsze jednak kalkulowane w perspektywie doraźnej, tu i teraz, a najczęściej do tego sprowadzane do wymiaru ekonomicznego.

Więcej geopolitycznego rozmachu można odnaleźć u publicystów, którzy sympatyzują z Konfederacją i cieszą się poważaniem wśród jej wyborców. To zresztą znak czasu; autorzy specjalizujący się dotąd w pisaniu o polityce, historii bądź ideach nagle stali się jak jeden mąż specjalistami od stosunków międzynarodowych. Tyle że namiętność do ideologii mimo wszystko im pozostała, więc analizują pod założoną z góry tezę. Z kolei u historycznych metafory lubią występować w roli argumentów.

Powiada więc Rafał Ziemkiewicz, na co dzień związany z „Do Rzeczy", ale tutaj występujący na gościnnych łamach „Sieci": „Nasi wrogowie są dzisiaj słabi. Niemcy przyjęły absurdalne założenia energetyczne, klimatyczne, ideologiczne i migracyjne. (...) Rosja napadła na Ukrainę i ugrzęzła daleko od Kijowa, ponosząc ogromne straty. (...) Jak w 1918 r. potęgi, które nas miażdżą, osłabły. To jest moment na budowanie polskiej siły i naszej pozycji lidera regionu".

Doktryna suwerenności po takim rozwinięciu potrzebuje jednak symbolicznego dopełnienia. W tej roli coraz częściej pojawia się w narracjach alt-prawicy idea własnego programu nuklearnego. Żadne *nuclear sharing* nie wchodzi bowiem w grę, ani amerykańskie, ani tym bardziej francuskie. Problem tylko taki, że zwolennicy polskiej bomby nie mają większego pojęcia o kwestiach technicznych i finansowych, do czego niektórzy nawet się przyznają. Ich tezy coraz śmielej przechwytują już jednak politycy obydwu Konfederacji, dodatkowo zachęceni niedawną sugestią samego prezydenta Nawrockiego. Tylko więc czekać, jak rozpęta się licytacja na to, kto bardziej pragnie bomby.

Ale jest też coś, co nadal łączy wszystkie trzy prawice: odrzucenie Unii Europejskiej. Tyle że stopniowalne, bo PiS oficjalnie niestrudzenie chce ją „zmieniać" (niepomny na kiepskie doświadczenia z lat 2015–23); Konfederacja pragnie korzystać z członkostwa, dopóki się opłaca, a potem w nogi; z kolei Korona – opuszczać natychmiast. Same argumenty przeciwko Unii są już jednak podobne, tak samo jak antyniemiecka obsesja. Jeśli więc ktoś liczył, że zawód Trumpem skłoni chociaż część prawicowej elity do bardziej wyrozumiałego potraktowania opcji europejskiej, czeka go niestety srogi zawód.

RAFAŁ KALUKIN

© AN (2)

eprasa.pl 13db1c51da

Czarnek na gorącym dachu

Przemysław Czarnek, kandydat PiS na przyszłego premiera, ruszył po władzę, obiecując tanią energię z polskiego węgla. Zamierza skończyć z OZE-sroze, czyli z odnawialnymi źródłami energii, i z płaceniem za emisję gazów cieplarnianych. Czy ktoś w to uwierzy?

ADAM GRZESZAK

„Nie mamy żadnego Zielonego Ładu, żadnych OZE-sroze dofinansowanych z dopłat. My mamy nasz miks węglowy. My mamy nasze bogactwa naturalne i wara wam od nich. My mamy nasz węgiel!" – mówił Przemysław Czarnek w swym wystąpieniu programowym po namaszczeniu go na przyszłego premiera, podczas konwencji PiS w Krakowie. Sala przyjęła to owacją na stojąco. To „OZE-sroze" szybko ujawniło niezwykły potencjał memiczny.

Polska bawiła się, gdy wkrótce wyszło na jaw, że Przemysław Czarnek prywatnie jest prosumentem, czyli producentem energii odnawialnej. Na dachu swojego domu w Natalinie na przedmieściach Lublina zamontował panele fotowoltaiczne. Zarzucono mu hipokryzję, więc musiał się tłumaczyć, dlaczego mówi jedno, a robi drugie. Choć sprawny retorycznie, plątał się, tłumacząc, że dzięki panelom wprawdzie płaci mniej za energię elektryczną, ale to i tak marny biznes. Więc kiedy tylko inwestycja się spłaci, „zdemontuje to świństwo". Na razie zdemontować nie może, bo korzystał z dopłat, w tym także z unijnego dofinansowania, które lokalnym prosumentom oferowała gmina Jastków, więc pozbywając się „tego świństwa", musiałby zwrócić otrzymane publiczne pieniądze.

Atom i wiatr

Informacja o panelach fotowoltaicznych na czarnkowym dachu nie zaskoczyła wyborców PiS. W końcu takie instalacje są już na 1,6 mln polskich domów i to głównie na wsiach i w małych miastach, czyli w matecznikach partii Jarosława Kaczyńskiego. Zaskoczeni okazali się za to sztabowcy PiS, którzy formatowali przekaz przyszłego premiera, nie wiedząc, że mają do czynienia z prosumentem.

– *Jest polityczna decyzja, aby mówić o tym, co najbardziej denerwuje Polaków, czyli o cenach energii, które drenują kieszenie ludzi, ale Czarnek już na starcie zaliczył wpadkę* – ubolewa polityk z kręgów Nowogrodzkiej. – *Mętnie się z tego OZE-sroze tłumaczył. Mówił że się boi, czy dach się nie zawali, że zdemontuje, ale najpierw instalacja musi się spłacić. Słabo wyszło* – narzeka jeden ze sztabowców. Tłumaczy, że ta strategia to efekt badań, które zamówiła partia. Wyszło z nich, że koszty energii i paliwa mają dla Polaków duże znaczenie i trzeba to włączyć do strategii kampanijnej. I to właśnie także z tego powodu Mateusz Morawiecki przegrał casting na przyszłego premiera, bo, jak

eprasa.pl 13db1c51da

Memy z Czarnkiem dewastującym fotowoltaikę na własnym dachu podbiły internet. W rzeczywistości jego dom ciągle wygląda jak na zdjęciu poniżej.

mówią w PiS, był za miękki w sprawach Europejskiego Systemu Handlu Emisjami (ETS) i unijnego Zielonego Ładu.

Wrogość wobec energetyki odnawialnej jest elementem DNA partii Jarosława Kaczyńskiego. PiS, idąc w 2015 r. po władzę, w szybko rozrastającym się sektorze energetyki wiatrowej dostrzegł egzystencjalne zagrożenie dla śląskich kopalń i elektrowni węglowych. Antywiatrakową wojowniczką PiS była Anna Zalewska, obecnie europosłanka, do dziś zresztą nieschodząca z barykady. A Kaczyński w swoim stylu tłumaczył, że „za wiatrakami, jak to mówią, chodzą różni ludzie, też musicie o tym wiedzieć. Niekoniecznie są to aniołki".

Zadanie policzenia się z wiatrakami dostał minister energii Krzysztof Tchórzewski. Na branżę wiatrową spadły rozmaite ciężary, a przepisy zmieniono tak, by na terenie Polski nie mogła powstać już żadna nowa elektrownia wiatrowa. W pewnym momencie Polska stała się jedynym krajem, który nie tylko nie rozwijał energetyki wiatrowej, ale zaplanował jej eliminację. By ratować śląskie kopalnie, Tchórzewski wymusił też rozpoczęcie budowy elektrowni węglowej Ostrołęka C. Pomysł był ekonomicznie absurdalny, nawet dla części polityków PiS, więc budowę zatrzymano. Straty sięgnęły 1 mld zł.

Tym, który zaciągnął hamulec, okazał się beniaminek prezesa Kaczyńskiego, ówczesny prezes Orlenu Daniel Obajtek. Słuchając korporacyjnych ekspertów, zdecydował, że Orlen będzie inwestować w wiatraki na morzu i energię atomową, co stało się dla PiS wzorcem transformacji energetycznej. To pod wpływem Obajtka Kaczyński zaczął głosić tezy, jeszcze niedawno uchodzące w PiS za herezje. „Nierentowne kopalnie trzeba zamykać, bo co to za gospodarka, gdzie musimy dokładać z własnej kieszeni. Węgiel ze Śląska jest na ogół średniej, a często słabej jakości" – tłumaczył w 2022 r. Chwalił za to lubelską kopalnię Bogdanka, najbardziej wydajną i rentowną, przekonując, że ma potencjał rozwojowy i płytko leżące złoża.

Rachunek za węgiel

Właśnie dlatego dziś Czarnek – premier in spe z Lublina – mówiąc o powrocie Polski do węgla, najchętniej odwołuje się do lubelskiej kopalni. Obiecuje tanią i czystą energię z polskiego węgla. „Nasze firmy węglowe, nasze kopalnie będą wydobywać węgiel i na nim będziemy bazować" – zapowiada.

– *Powrót do węgla? To jakiś absurd* – dziwi się dr Maciej Bukowski, prezes WiseEuropa, think tanku zajmującego się między innymi transformacją energetyczną. – *To chyba tylko chwyt retoryczny skierowany do najbardziej konserwatywnego i niezorientowanego elektoratu.*

Jakub Wiech, autor podkastu Elektryfikacja, wypunktował bezsensowność programu energetycznego kandydata PiS. „Pan minister Czarnek chce ratować górnictwo. To ja przypomnę: w ciągu ostatnich dwóch lat sektor górnictwa węgla kamiennego wygenerował w Polsce 20 mld zł straty. W Polsce wydobywa się po średnim koszcie 1000 zł za tonę, co jest wynikiem najwyższym na świecie – pan minister zaniżył znacząco ten koszt w swoich wystąpieniach". Przy okazji Wiech wyliczył, że polskie górnictwo zatrudnia obecnie 70 tys. osób i wydobywa 42,3 mln ton węgla, amerykańskie zaś zatrudnia 44 tys. osób i wydobywa 450 mln ton węgla po koszcie średnim 130 zł za tonę. W latach 2022–25 każdy pracujący Polak dopłacił do węgla ok. 1000 zł rocznie. Dlatego Wiech zaapelował do premiera z Lublina, by zamiast ratować górnictwo, ratował Polskę przed górnictwem. Jeśli Czarnek chce skończyć z dopłatami do OZE, to musi pamiętać, że żadne źródło energii nie korzysta dziś z tak wielkich dopłat jak węgiel.

Czarnkowe złoto

Węgiel jest fetyszem polskiej polityki. Dominuje lęk przed gniewem górniczych związkowców. Dlatego każdy polityk zaczyna od strzelistych aktów miłości do węgla. Tak jak prezydent Andrzej Duda, który deklarował, że Polska posiada złoża na 200 lat i dopóki on pełni urząd, nie pozwoli, aby polski węgiel został zamordowany. Podobnie Karol Nawrocki, który dziś zapewnia, że „węgiel jest źródłem stabilizacji, jest polskim surowcem, którego nie powinniśmy oddawać, ulegając pewnym niepokojącym trendom z Europy Zachodniej". Tymi niepokojącymi trendami są według niego Zielony Ład i Europejski System Handlu Emisjami ETS, który sprawia, że energia z węgla jest najdroższa. Bardzo podobne deklaracje składa też Przemysław Czarnek. Widać, że stratedzy PiS mają zapisane w swoich podręcznikach, by każdego kandydata formatować na węglowego entuzjastę.

– *Nie wiem, do kogo skierowany jest ten przekaz, ale czy do górników? Mam z nimi częsty kontakt, współpracujemy, więc widzę, jak rośnie wśród nich świadomość nieuchronności wyłączania kopalń i elektrowni* – przekonuje Michał Hetmański, prezes ▶

© SHUTTERSTOCK AI, JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 13db1c51da

▶ fundacji Instrat. – *Oni oczekują pomocy w procesie transformacji, a nie nierealnych obietnic. Przecież w czasach rządów PiS i nieustannie deklarowanej miłość do węgla, Polska gospodarka przeszła szybki proces dekarbonizacji. W ciągu dekady udział węgla w energetyce skurczył się z 90 proc. do ok. 50 proc. Mam wrażenie, że obecny rząd ten proces nawet spowolnił.*

Po 1989 r. zlikwidowano 47 kopalń, z czego rząd SLD ma ich na koncie 9, AWS – 19, PO – 5, PiS zaś – 14, choć obiecywał, że nie zamknie ani jednej. Dlatego na Śląsku słychać, że drugi raz nie dadzą się nabrać. W końcu rząd PiS, którego ministrem był Przemysław Czarnek, podpisał umowę społeczną gwarantującą pracę górnikom do 2049 r., ale szybko się okazało, że dużo wcześniej węgiel przestanie być potrzebny. Zresztą i dzisiaj polska energetyka węglowa chętniej korzysta z węgla importowanego, tańszego i lepszej jakości. Choć polski węgiel kosztuje najdrożej, to i tak większość kopalń pozostaje deficytowa. Tak więc zapewnienia o taniej i czystej energii z polskiego węgla to klasyczny oksymoron, rzecz kompletnie niewykonalna.

OZE-sroze czy super-OZE?

Skoncentrowanie rządów PiS na walce z wiatrakami sprawiło, że szybko rosła energetyka fotowoltaiczna. Powstawały nie tylko wielkie elektrownie słoneczne, ale także domowe instalacje prosumenckie, takie jak na dachu Czarnka. W 2025 r. fotowoltaika wyprodukowała łącznie 20,4 TWh energii, zapewniając tym samym pokrycie 11,8 proc. rocznego zapotrzebowania na energię elektryczną. Polska dołączyła do liderów UE pod względem mocy instalacji wykorzystujących energię słońca. Fotowoltaiczna rewolucja, jaka się dokonała w czasach PiS, miała także tę zaletę, że oswoiła społeczeństwo z OZE i zdemokratyzowała wytwarzanie energii. Dziś trudno będzie zniechęcać Polaków do OZE-sroze, skoro tak wiele gospodarstw domowych czuje wymierną korzyść z własnej zielonej energii.

Widać to w badaniach opinii publicznej. „Większość Polaków popiera odchodzenie od węgla na rzecz bardziej ekologicznych sposobów produkcji energii" – piszą autorzy badania CBOS „Opinie o zmianach klimatu i transformacji energetycznej" z grudnia 2025 r. W raporcie możemy jednak odkryć tropy, którymi zapewne postanowili pójść sztabowcy PiS. Bo okazuje się, że obecnie poparcie dla OZE sięgające 55 proc. jest jednak najniższe od 2015 r. „W ostatnich latach przybywa osób kładących nacisk na potrzebę rozwoju nieodnawialnych źródeł energii i zmniejsza się odsetek zwolenników koncentrowania się na pozyskiwaniu energii z OZE" – stwierdzają badacze. Ten OZE-sceptycyzm dotyczy szczególnie osób z mniejszych miejscowości, słabiej wyedukowanych i wyborców partii prawicowych.

Ekoterrorystyczni zboczeńcy

Drugim źródłem inspiracji dla sztabowców PiS jest z pewnością Donald Trump, największy negacjonista klimatyczny i wróg energetyki odnawialnej. Prezydent USA szczególnie nie cierpi elektrowni wiatrowych. Dlatego w grudniu 2025 r. wydał zarządzenie o zawieszeniu federalnych umów dzierżawy dla wszystkich dużych projektów energetyki wiatrowej na morzu, które są obecnie w budowie. Powołano się na zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, „zidentyfikowane przez Departament Wojny w niedawno ukończonych tajnych raportach". Jakie to zagrożenie, nie wiadomo. Niektórych inwestorów trzeba było przekupić tak jak francuski koncern TotalEnergies, który otrzymał z federalnej kasy miliard dolarów za porzucenie morskich farm wiatrowych w Nowym Jorku i Karolinie Północnej.

Prezydent uchylił też wszystkie przepisy swego poprzednika wspierające transformację energetyczną. Stara się zahamować proces dekarbonizacji amerykańskiej energetyki . W lutym nakazał Pentagonowi podpisanie umów na dostawy energii elektrycznej z elektrowni węglowych na potrzeby obiektów wojskowych i obronnych. Amerykańscy eksperci są zdania, że wszystkie te działania, w tym także wycofanie USA z porozumienia paryskiego czy zwolnienie ponad stu największych zakładów przemysłowych z ograniczeń ustawy o czystym powietrzu, spowolnią proces transformacji energetyki, ale jej nie zatrzymają. Odchodzenie od paliw kopalnych jest megatrendem globalnym, inwestycje w energetykę odnawialną są coraz tańsze.

Przemysław Czarnek stara się na razie naśladować Trumpa w brutalnym języku. Mówi sporo o systemie ETS, który wymyślili „ludzie, którzy mają ekoterrorystyczne zboczenie ideologiczne". I to ich wina, że w Polsce mamy najdroższy prąd w UE.

Europejski System Handlu Emisjami wymaga, by właściciele największych instalacji przemysłowych i energetycznych emitujących gazy cieplarniane do atmosfery płacili za każdą tonę emisji. Wszystkie kraje UE co roku otrzymują określoną pulę uprawnień. Firmy dostają potem bezpłatnie lub kupują uprawnienia do emisji. Jeśli emitują mniej niż posiadane uprawnienia, mogą je sprzedać, jeśli emitują więcej – muszą dokupić brakujące jednostki. Celem jest nakłonienie największych trucicieli do modernizacji i ograniczania emisji. Dochody ze sprzedaży uprawnień nie wędrują do Brukseli, ale zasilają krajowy budżet. Powinny być wydawane na ograniczanie emisyjności, ale PiS wpadł na pomysł, by wykorzystać je na dotowanie rachunków za prąd, a więc wspieranie energetyki węglowej.

Wszystkie winy PiS

Michał Hetmański nie wierzy, by Czarnek poważnie traktował plan wyjścia Polski z systemu ETS. – *Dopóki Polska jest członkiem UE, wyjście z ETS jest niemożliwe.* Innego zdania jest Grzegorz Wiśniewski, prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej (IEO). Radzi, by nie lekceważyć deklaracji Czarnka o OZE-sroze czy zapowiedzi wyjścia z ETS. – *To cyniczna gra, ale takie hasła przenikają do społeczeństwa i tworzą atmosferę wokół energetyki odnawialnej. To atmosfera niepewności, a na nią wyczuleni są inwestorzy i bankowcy. Banki już dziś potrafią wycofać się z finansowania inwestycji fotowoltaicznych, tłumacząc, że niepewność regulacyjna i polityczna powodują zbyt duże ryzyko* – tłumaczy prezes Wiśniewski.

Przemysław Czarnek dopiero się rozkręca. Musi mieć jednak świadomość, że będzie się musiał tłumaczyć nie tylko z paneli na dachu, ale też z całego dorobku rządu PiS, w którym był ministrem. Dziennikarze zrobili bilans jego inauguracyjnego wystąpienia i doliczyli się piętnastu punktów oskarżenia rządu Tuska, wśród których osiem dotyczyło regulacji wprowadzonych przez rządy PiS. W tym także systemu ETS, który na skutek planu „Fit for 55" stał się bardziej rygorystyczny, co przełożyło się na wzrost cen uprawnień do emisji, a więc cen prądu. Plan zaakceptował Mateusz Morawiecki w 2020 r. podczas szczytu UE w Brukseli.

ADAM GRZESZAK

WSPÓŁPRACA ANNA DĄBROWSKA

eprasa.pl 13db1c51da

Wielki wyrąb

Sprawozdania z audytów w Lasach Państwowych, do których dotarła POLITYKA, ujawniają szokujące i nieznane szczegóły wyprowadzania pieniędzy. Fundusz Leśny działał jak Fundusz Sprawiedliwości, tylko razy dwa.

ANNA DĄBROWSKA

Audyt Krajowej Administracji Skarbowej w Centrum Informacyjnym Lasów Państwowych trwał od kwietnia do końca minionego roku i dotyczył gospodarowania pieniędzmi publicznymi w latach 2022–23. Kontrolerzy prześledzili tysiące dokumentów, wyciągów bankowych i wyjaśnienia pracowników. To wszystko doprowadziło do ustalenia, że w samym tylko CILP w dwa lata w sposób rażąco nieprawidłowy wydano prawie 48 mln zł. Chodziło głównie o sfinansowanie konkursu „Drewno z lasu" na prawie 11 mln zł, konkursów dla klubów sportowych „Sportowa Natura" na ponad 14 mln zł, dla szkół „Klasa z drewna" niespełna 10 mln zł oraz 9,7 mln zł wydane na konkurs dla kół gospodyń wiejskich „Natura od kuchni". Nazwy konkursów maskują ich prawdziwe przeznaczenie.

Te i inne przedsięwzięcia finansowane były z Funduszu Leśnego, według kontrolerów – bezprawnie. Na fundusz składają się poszczególne nadleśnictwa i przekazują na niego przychody ze sprzedaży drewna. Pieniądze te powinny trafiać głównie do tych nadleśnictw, które same nie zarabiają na siebie z powodu trudnych warunków. Fundusz może być również wykorzystywany np. do finansowania wspólnych przedsięwzięć LP, jednak nie na partyjne cele, na które wydawała je poprzednia władza. W ostatnich dwóch latach rządów PiS doszło do olbrzymiego wzrostu środków zgromadzonych w Funduszu Leśnym – z ponad 812 mln zł na początku 2020 r. do ponad 3,2 mld zł na koniec 2023 r. Wzrost został uzasadniony przez dyrektora LP potrzebą ponoszenia kolejnych wydatków. O jakie wydatki chodziło, już wiadomo, a zawiadomieniami w tych sprawach zajmuje się specjalny zespół śledczych powołanych przez prokuratora krajowego.

Żadnych kosztorysów

Powszechnie wiadomo, że Lasy Państwowe za rządów Jarosława Kaczyńskiego zostały oddane we władanie koalicyjnym wówczas ziobrystom w 2020 r., kiedy ministrem środowiska został przyboczny Ziobry – Michał Woś. Prezes PiS poirytowany pisał w liście do Zbigniewa Ziobry, aby nie nadużywał Funduszu Sprawiedliwości w kampanii wyborczej, bo może mieć z tego kłopoty związane z rozliczeniem kampanijnym przez PKW. O tym, co dzieje się w Lasach, Kaczyński też musiał wiedzieć, ale tu pretensji nie zgłaszał.

Dyrektorem generalnym Lasów Państwowych został działacz Solidarnej Polski – śląski radny Józef Kubica, a jego prawą ręką był rzecznik prasowy Lasów Michał Gzowski. Ten w przeszłości był prezesem Solidarnej Polski w okręgu elbląskim, doradzał Ziobrze, był też szefem gabinetu politycznego ministra środowiska Michała Wosia. O rzeczniku zrobiło się głośno, gdy w 2021 r. wyszło na jaw, że syn lidera zespołu Weekend został zatrudniony w Centrum Informacyjnym Lasów Państwowych. Onet informował wówczas, że zatrudnienie syna zbiegło się w czasie z koncertem gwiazdora na weselu rzecznika Gzowskiego. Audytorzy KAS zwrócili uwagę, że zgody na transfery pieniędzy np. do prawicowych mediów czy na przeróżne konkursy każdorazowo wydawali: Józef Kubica, ówczesny dyrektor LP, lub działający w jego imieniu właśnie Michał Gzowski – naczelnik Wydziału Komunikacji Społecznej.

Kontrolerzy KAS stwierdzili, że przedsięwzięcie „Drewno z lasu" tylko dla pozoru przybrało postać konkursu, którego beneficjenci mieli promować Lasy Państwowe i „zwiększać świadomość społeczną na temat zrównoważonej ▶

© SZCZEPAN KLEJBUK/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 13db1c51da

▶ gospodarki leśnej". Rzeczywistym celem mogło być przetransferowanie środków finansowych z Funduszu Leśnego na rzecz parafii w celu pozyskania ich przychylności przed zbliżającymi się wyborami.
Dofinansowanie w pierwszym kwartale 2023 r. (średnio po ok. 100 tys. zł) otrzymało 115 podmiotów, a zdecydowaną większość sumy – 92 podmioty związane z Kościołem katolickim, w większości parafie. We wniosku o te 100 tys. należało tylko opisać, w jaki sposób będą promowane Lasy Państwowe. Proboszczowie zapewniali zamieszczanie informacji o pozyskanym wsparciu na tablicy ogłoszeń, podczas mszy świętych, a pojawił się też pomysł, że zostanie odprawiona msza święta w intencji Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych. O pieniądze było łatwo. Nie trzeba było przedstawiać kosztorysów, wystarczył wniosek i podanie konta bankowego do wykonania przelewu.

Ludzie Lasów z czasu rządów PiS. Od lewej: **minister środowiska Michał Woś, Zbigniew Ziobro, szef Solidarnej Polski, której przypadły pod opiekę Lasy Państwowe.**

Ławki widma

W ramach promocji LP Archidiecezja Szczecińsko-Kamieńska otrzymała 25 tys. zł na renowację podłogi w katolickim liceum w Szczecinie. Proboszcz parafii w Kluczborku wnioskował o 100 tys. zł na „oczyszczenie elementów drewnianych dachu kościoła i postawienie nowego drewnianego płotu". Dopiero na prośbę o wskazanie, jak przy tej okazji będą promowane Lasy, odpisał: „zobowiązujemy się do promocji na stronach internetowych parafii, na Fb. Chcemy zorganizować spotkanie w kościele, podczas którego będziemy promować Lasy Państwowe".

Zdarzało się, już po zmianie władzy w Lasach Państwowych, że audytorzy napotykali w trakcie kontroli duży opór. Proboszcz parafii w Łyszkowicach, który otrzymał 100 tys. zł na remont kościelnych organów, zapewniał KAS, że „wszelkie działania podejmowane przez parafię są realizowane i wykonywane zgodnie nie tylko z prawem Boskim, lecz również z prawem kanonicznym i świeckim". Dopiero po ostatecznym wezwaniu do wyjaśnień złożył stosowne dokumenty, z których wynikało, że pieniądze leżą na koncie parafii, a remont organów jeszcze się nie odbył.

Były też ciekawsze odkrycia, jak to w parafii w Pabianicach. Proboszcz w lutym 2023 r. dostał przelew na 100 tys. zł na akcję promocyjną LP w postaci „założenia w kościele nowych ławek dębowo-modrzewiowych w liczbie 22 po 6 osób w ławce i informacji, że drzewo pochodzi z Lasów Państwowych". Z tym że kontrolerzy wykazali, że ławki te stoją w kościele od 10 lat. Co się stało z pieniędzmi, będzie wyjaśniać prokuratura.

W programie „Klasa z drewna" wybrano 95 spośród 228 zgłoszonych szkół. Termin oczywiście nieprzypadkowy i zbieżny ze szczytem kampanii wyborczej – publikacja listy laureatów 1 września 2023 r. Idealna okazja do wręczania czeków po ok. 100 tys. zł na opracowanie zajęć o lasach, nasadzenie drzewek czy zakup drewnianych ławek lub altanek, bo na to miały być przeznaczone te pieniądze.

W audycie odnotowano, że np. poseł Marcin Kałużny tydzień przed wyborami w 2023 r. wręczył vouchery czterem szkołom, oczywiście w swoim okręgu wyborczym. Pięć dni przed wyborami poseł Norbert Kaczmarczyk wręczał vouchery szkole w Borzęcinie Górnym, bo jak mówił: „Dzieci zasługują na to, co najlepsze" i „Pokazujemy, że nie ma Polski A i Polski B, jest jedna wielka, doinwestowana Polska". Z pewnością doinwestowana była kampania posła Kaczmarczyka, który zresztą zyskał ogólnopolską rozpoznawalność, gdy okazało się, że brat sfinansował mu w prezencie ślubnym zakup ciągnika o wartości 1,5 mln zł. Wójt Borzęcina dziękował posłowi z imienia i nazwiska w lokalnej prasie za „współpracę przy przygotowaniu projektów i późniejszą rekomendację".

Kaczmarczyk, wręczając promesy kołom gospodyń wiejskich, chwalił „że są jak matki, które dbają o swoje dzieci. Tym bardziej cieszę się, że dzięki mojej pomocy dwa koła z gminy Borzęcin zostały dofinansowane". Głosów w Borzęcinie zdobył dużo, mandat w ostatnich wyborach do Sejmu odnowił. Lasy w 2023 r. zwiększyły dotację dla kół gospodyń z 5 mln zł rozdanych w 2022 r. do 10 mln w roku wyborczym, co audytorzy uznali za bezzasadne, ale wiadomo, że kampanijnie uzasadnione.

Po szkołach kampanię z voucherami z Lasów robił też w swoim okręgu wyborczym Marcin Warchoł. Regionalna prasa odnotowała, że „nie szczędził starań, by znaczna część środków w ramach konkursu trafiła na Podkarpacie". A było to prawie milion złotych. W szkole w Suchowoli, oczywiście w swoim okręgu, czek wręczał Marcin Romanowski, a Michał Woś u siebie aż w pięciu szkołach i otrzymał podziękowanie „za wsparcie w pozyskaniu środków".

Droga promocja prasowa

Wyniki audytu: „Promocja Lasów Państwowych w konkursie Klasa z drewna była niecelowa, nieoszczędna i niezgodna z uniwersalnymi zasadami wydatkowania środków publicznych". Podobne wnioski płynęły z audytu trzech pozostałych konkursów dla parafii, gospodyń wiejskich i klubów sportowych, przy czym dla tych ostatnich przeznaczono 14 mln zł. Co ciekawe, sportowe konkursy ruszyły w 2022 r., ale rok przed wyborami nie opłacało się rozdawać wszystkiego, bo ludzie zapomną, od kogo dostali. Pieniądze popłynęły do prawie pół tysiąca klubów (łącznie 4,5 mln zł). Szeroki strumień

© MARIA ZAWADA/REPORTER, TYTUS ŻMIJEWSKI/PAP

eprasa.pl 13db1c51da

Ówczesny dyrektor generalny LP, działacz Solidarnej Polski Józef Kubica i jego prawa ręka, rzecznik prasowy Lasów Michał Gzowski (także działacz Solidarnej Polski)

wyborczych pieniędzy na „promocję polskich lasów przez Kluby Sportowe" popłynął w drugiej połowie 2023 r. – 8,9 mln zł do 893 beneficjentów.

Jesienią 2023 r. Lasy podpisały umowę z rzeszowskim klubem siatkarskim na „promocję Lasów Państwowych, ochrony przyrody oraz społecznych funkcji lasu podczas rozgrywek Tauron ligi, Pucharu Polski oraz Ligi Mistrzów w siatkówce w terminie od 1 października do 17 grudnia 2023 roku". Audytorzy ustalili, że umowa na 100 tys. zł została podpisana jeszcze przed złożeniem oficjalnego wniosku o dofinansowanie przez klub. Przyspieszenie wynikało pewnie z kalendarza wyborczego chcącego odnowić elekcję posła Marcina Warchoła, który walczył tu o mandat. Na uroczystości witano go jako „honorowego patrona", który pomógł podpisać umowę z Lasami Państwowymi. Audytorzy stwierdzili, że i w tym przypadku celem konkursu było tak naprawdę „kreowanie pozytywnego wizerunku instytucji rządowych i partii rządzącej", a nie promocja Lasów Państwowych.

KAS przyjrzał się też, jak Lasy Państwowe wydawały pieniądze w mediach sprzyjających, mówiąc eufemistycznie, partii PiS. „Sieci" wydawane przez Fratrię otrzymały 2,1 mln zł w latach 2022–23 na artykuły sponsorowane. Zazwyczaj odbywało się to tak, że Fratria wysyłała ofertę na teksty, a oferta trafiała do Centrum Informacyjnego Lasów Państwowych, do Nadleśnictw czy do Regionalnych Dyrekcji Lasów Państwowych. Te zwracały się do dyrektora generalnego lasów Józefa Kubicy, działacza Solidarnej Polski, który wyrażał na wszystko zgodę. Zdarzało się, że decyzje były podejmowane ekspresowo. Od podpisania umowy na promocję Lasów za 123 tys. zł (prezentacja logo partnera i wymienienie jego nazwy) do gali urodzinowej telewizji braci Karnowskich, na których Lasy „promowano", minęły zaledwie cztery dni. Złote Kamery za „zaangażowanie w sprawy Polski, rzetelną i uczciwą pracę dla jej dobra, a jednocześnie wnoszące nową jakość do debaty publicznej" otrzymali wówczas minister Marzena Maląg, szef Gabinetu Politycznego Ministra Sprawiedliwości Marcin Sławecki i wiceminister aktywów Andrzej Śliwka.

Za cztery artykuły, które ukazały się w ciągu miesiąca w „Sieci", redakcja otrzymała 120 tys. zł. „Sieci" przekonywało decydentów w Lasach, że „tygodnik posiada wysoką sprzedaż na rynku, dociera do mieszkańców zarówno większych, jak i mniejszych miast (...), co ma wymierne przełożenie na promocję i obronę dobrego imienia Lasów". Nie popierano tych zapewnień żadnymi liczbami.

Audytorzy podkreślili, że w dokumentacji brakowało jakichkolwiek analiz ekonomicznych opłacalności zlecanych promocji, po prostu przyjmowano ofertę i Lasy płaciły. „Zlecenia promocji LP w postaci artykułów prasowych, mecenatu gali, plebiscytów i filmu noszą znamiona nieuzasadnionego transferu środków funduszu leśnego do podmiotów komercyjnych".

Te same wnioski płyną z audytu współpracy z podmiotami powiązanymi z wydawcą tygodnika „DoRzeczy". Tu na przykład za sześć tekstów i ich promocję w mediach społecznościowych płacono 1,1 mln zł. Kontrolerzy KAS uznali, że do wydawcy tego tygodnika popłynęło niezgodnie z prawem 2,8 mln zł.

Wiele pieniędzy przetransferowano też przez Ośrodek Kultury Leśnej w wielkopolskim Gołuchowie, gdzie w 2021 r. dyrektorką została działaczka partii Zbigniewa Ziobry – Ewa Jedlikowska. W zeznaniach pracowniczki tego Ośrodka czytamy, że przechodziły przez nią dokumenty związane z promocją Lasów w mediach. Mówiła, że zwracała uwagę, że kwoty, które płacili za treści w określonych mediach, były jej zdaniem nieadekwatnie wysokie w stosunku do zakładanych efektów czy objętości tekstów. Zeznała, że dyrektor Jedlikowska nie przejmowała się tym zbytnio i kazała płacić, bo sprawy zlecał rzecznik Gzowski.

Gęsto od przestępstw

W sumie KAS w toku audytu stwierdziła, że w sposób nieprawidłowy wydano w Lasach Państwowych z Funduszu Leśnego przez dwa lata (2022–23) aż 245,7 mln zł, ćwierć miliarda złotych! Na pierwszy plan wysuwają się wydatki związane z promocją i utrwalaniem wśród wyborców wizerunku polityków przede wszystkim Suwerennej Polski oraz Prawa i Sprawiedliwości. „Szereg wydarzeń i przedsięwzięć realizowano w trakcie kampanii wyborczej w 2023 r., które sfinansowano z funduszu leśnego z naruszeniem prawa" – piszą audytorzy. Wskazują, że to może stanowić „naruszenie kodeksu wyborczego i nielegalnego finansowania kampanii wyborczej". Ostatecznie PiS przegrał wybory parlamentarne, ale jest wielce prawdopodobne, że m.in. te pieniądze pozwoliły Kaczyńskiemu przegrać nieznacznie.

„Liczymy, że wyniki audytów i kontroli znajdą swoje rozwiązanie we właściwych instancjach weryfikujących możliwość popełnienia przestępstw przez niektóre osoby zatrudnione w Lasach Państwowych" – napisał w dokumencie z podsumowaniem audytów i kontroli w Lasach Państwowych Adam Wasiak, który został dyrektorem w sierpniu 2025 r.

Oby tylko leśne gęstwiny nie przysłoniły widoku wymiarowi sprawiedliwości. Najwyraźniej bowiem hasło: „Lasy wspólnym dobrem narodu" zostało potraktowane przez polityków prawicy bardzo osobiście.

ANNA DĄBROWSKA

eprasa.pl 13db1c51da

Strachy polskie

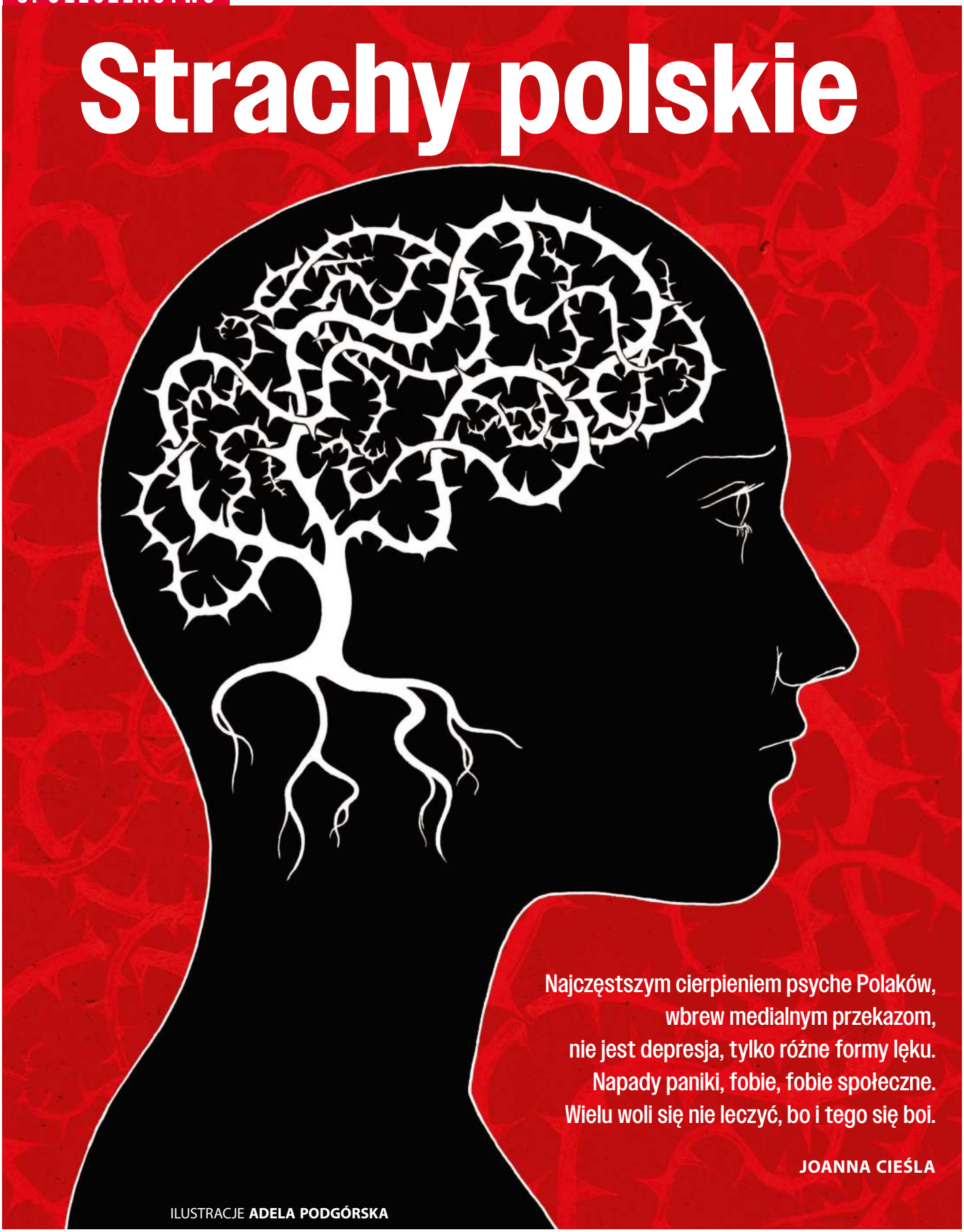

Najczęstszym cierpieniem psyche Polaków, wbrew medialnym przekazom, nie jest depresja, tylko różne formy lęku. Napady paniki, fobie, fobie społeczne. Wielu woli się nie leczyć, bo i tego się boi.

JOANNA CIEŚLA

ILUSTRACJE **ADELA PODGÓRSKA**

eprasa.pl 13db1c51da

Po turbulencjach ostatnich lat Polak wraca do psychicznych ustawień fabrycznych. Za nami trwający ponad pół dekady czas niepewności rozpoczęty wiosną 2020 r., nieznanym wcześniej stresem i szokiem pandemii. A potem tsunami emocji po rosyjskim ataku na Ukrainę – strach, gniew, smutek, empatia wobec napadniętych sąsiadów, która u części Polaków z czasem przepoczwarzyła się w niechęć i rozmaite, nieraz wzajemnie sprzeczne odczucia. Wreszcie frustracje związane z wielką inflacją.

W jakim stanie lądujemy wiosną 2026 r., gdy zewnętrzne napięcia nie wygasły, ale trochę do nich przywykliśmy? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wypadamy całkiem nieźle. Według raportu CBOS sprzed kilku tygodni, co drugi Polak wyznawał, że dzień przed ankietą czuł zadowolenie, radość i szczęście.

Podobnie w publikowanych cyklicznie raportach z badań Instytutu Psychologii Polskiej Akademii Nauk na temat dobrostanu Polaków pod szyldem „Psychologia dla społeczeństwa" (koordynowanego przez dr hab. Martę Marchlewską). Pierwszy plan deklaracji wygląda uspokajająco: dwie trzecie ludzi w naszym kraju jest bardzo zadowolonych ze swojego zdrowia psychicznego. 85 proc. twierdzi, że nigdy nie uzyskało psychiatrycznych diagnoz.

Gdy miliony czują spisek

Ale na zbliżeniu, w szczegółowych pytaniach, wychodzą rysy. Bo również dwie trzecie pytanych w czterech tygodniach poprzedzających badanie zmagało się ze zmęczeniem, słabością i spadkiem wydajności. U połowy przekraczało to granice fizycznego cierpienia – bólów głowy czy zaburzeń snu. Jedna czwarta uczestników badania w ostatnim czasie czuła się psychicznie źle. Prawie 15 proc. – ponad 4,5 mln ludzi – sądziło, że inni przeciw nim spiskują. Prawie co trzeci badany – czyli ok. 9 mln Polek i Polaków miało kiedyś w swoim życiu takie podejrzenia, przeżyło doznania podobne do halucynacji oraz nabrało przekonania, że ktoś kontroluje ich z zewnątrz. Co trzeci przyznaje, że ma trudności związane z nadużywaniem alkoholu.

Jedna czwarta kraju – 8,3 mln ludzi – ma albo miała zaburzenia psychiczne.

Te dokładniejsze wyniki badań z ostatnich tygodni wskazują na to, że nasz aktualny stan jest dość podobny do uchwyconego kilka lat temu, w projekcie EZOP I i II (Epidemiologia Zaburzeń Psychiatrycznych i Dostępność Psychiatrycznej Opieki Zdrowotnej). Największe, kompleksowe badania kondycji psychicznej mieszkańców Polski przeprowadzone były w latach 2010–12, a w drugiej edycji w latach 2018–21, z inicjatywy Instytutu Psychiatrii i Neurologii (IPiN) przy współpracy Harvard University. W każdej z polskich edycji uczestniczyło ponad 10 tys. osób. Wykorzystywany kwestionariusz pozwalał na postawienie diagnozy ponad 30 zaburzeń psychicznych, nawet jeśli osoby dotknięte nimi nigdy nie były u psychiatry czy psychologa albo nie były chętne do swobodnej rozmowy na ten temat. Wyszło, że jedna czwarta kraju – 8,3 mln ludzi – ma albo miało zaburzenia różnego rodzaju: od nerwicowo-lękowych (najczęstsze, dotykały 5 mln osób), przez zaburzenia nastroju (np. depresja – 1,2 mln) albo uzależnienia – 3,6 mln.

Specjaliści potwierdzają: możliwe, że wróciliśmy do punktu wyjścia. – *Nawet duże zewnętrzne wydarzenia, takie jak konflikty zbrojne czy radykalne zmiany polityczne, w dłuższej perspektywie wpływają na kondycję psychiczną ludzi mniej, niż mogłoby się zdawać. I mniej niż sytuacja w ich prywatnych światach* – przyznaje dr Jacek Moskalewicz, obok prof. Jacka Wciórki koordynator badania EZOP II.

Gorzej wygląda kondycja dzieci, może dlatego, że właśnie ich prywatne światy zostały znacznie głębiej przeorane. Młodym Polkom i Polakom trudno rozmawiać, tworzyć przyjaźnie i związki. Samotne wrzuciliśmy je w świat wirtualny i zostawiliśmy bez kół ratunkowych. Według niedawno ogłoszonej „Diagnozy młodzieży" 40–60 proc. starszych nastolatków żyje w chronicznym stresie, ma depresje, lęki i bardzo niską samoocenę (piszemy o tym w artykule o smartfonach na s. 10).

Dary losu są podstępne

Jak to się stało, że stan polskiej psyche ukształtował się właśnie w ten sposób? I dlaczego tak wielu z nas wciąż się boi?

Zaczęliśmy cierpieć, gdy uznaliśmy, że mamy prawo do szczęścia. Masowy start gry o status, z początkiem transformacji – zdaniem prof. Arkadiusza Karwackiego, kierownika Katedry Badania Jakości Życia i Socjologii Stosowanej na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu – to był moment, w którym nowego rodzaju psychiczne cierpienie stało się częścią codzienności Polaków. – *Otworzyła się droga ku wolności, dobrobytowi, powszechna możliwość edukacji wyższej i awansu. Ale ludzie nie byli przygotowani do warunków, w jakich przyszło realizować ten sen.*

Kolejne pokolenia weszły w nowy porządek bez świadomości konsekwencji „zdobywania" i bez umiejętności obsługi swojej psychiki. A obciążeń przybywało. Jak to w życiu bywa, dary losu okazywały się podstępne.

– *Integracja z Unią Europejską, kolejny wielki skok i wejście w cywilizacyjny główny nurt było jednocześnie instalacją wielkiego, trochę krzywego lustra, w którym zaczęliśmy się przeglądać. A potem doszły własne lusterka, noszone przez każdego, w postaci telefonu i mediów społecznościowych, w których szukamy potwierdzenia własnej wartości, skazując się na permanentne porównania i frustracje* – opisuje prof. Karwacki. – *To stałe równanie do..., poczucie, że coś ze mną jest nie tak, skoro moje życie nie wygląda tak kolorowo, ja nie wyglądam tak dobrze jak inni etc.*

Psychiatrzy lokują początek masowych wstrząsów jeszcze wcześniej. Dr Marek Balicki, lekarz, polityk i działacz społeczny – w rewolucji przemysłowej, która w różnych częściach Europy zniosła przewidywalność biegu ludzkiego życia, stworzyła nowe miejsce na niepokój i lęk.

Prof. dr hab. Andrzej Kiejna, psychiatra, współautor badania EZOP I, zwraca uwagę, że Kodeks Napoleona, spisany na początku XIX w. był pierwszym nowoczesnym jak na owe czasy dokumentem, który uwzględniał „zaburzenia umysłowe", określane często jako „obłęd" lub „szaleństwo". Przewidywał między innymi, że osoba dotknięta nimi nie mogła dokonywać ważnych czynności prawnych. – *Przypadki „szału" czy „opętania" dostrzegano od początków ludzkości, ale dopiero brytyjska ustawa o zdrowiu psychicznym z 1959 r. odeszła od sformułowań typu „szaleństwo" na rzecz „zaburzeń psychicznych" czy „chorób psychicznych".* ▶

eprasa.pl 13db1c51da

▶ Pojawiły się też klasyfikacje – International Classification of Diseases (ICD) Światowej Organizacji Zdrowia i Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego – Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders (DSM). – *Rozwój nauki i metod diagnostycznych pozwalał wychwytywać inne problemy niż tylko te, z którymi ludzie trafiali do szpitali, czyli najpoważniejsze i w gruncie rzeczy rzadkie, jak schizofrenia, zaburzenie dwubiegunowe i ciężka depresja. Dotykają one 3–4 proc. ludzi w skali świata* – podkreśla prof. Kiejna.

Jednocześnie, wraz ze wzrostem dobrobytu, rozwojem mediów i popularnej psychologii rozniósł się koncept, że człowiek ma prawo oczekiwać od życia szczęścia. Nie brak głosów, że to właśnie przekonanie przewrotnie napędza masowe poczucie rozczarowania i niesprawiedliwości.

Najbardziej się boimy

Dlaczego właśnie lęk i związane z nim zaburzenia są tym, co najbardziej nęka współczesnego człowieka? Prof. Kiejna tak tłumaczy stojący za tym biologiczny mechanizm: – *Podwyższony przez dłuższy czas poziom kortyzolu, hormonu wydzielanego przy stresie, także tym związanym z codziennymi wydarzeniami, sprawia, że nadaktywne staje się ciało migdałowate w mózgu. Reaguje przesadnie nawet na pozornie neutralne bodźce.*

40–60 proc. starszych nastolatków żyje w chronicznym stresie, ma depresje, lęki i bardzo niską samoocenę.

To nasila poczucie ciągłego zagrożenia. Inna struktura, hipokamp, odpowiedzialna za pamięć i rozumienie kontekstów, pod wpływem kortyzolu działa słabiej, m.in. mniej skutecznie wycisza nieadekwatną reakcję stresową, co utrudnia odróżnienie realnych zagrożeń od wyobrażonych. Praca kory przedczołowej, odpowiadającej za racjonalną ocenę sytuacji też zaczyna szwankować. Trudniej się wyłączyć, łatwiej – nieustająco zamartwiać. I tak osuwamy się w lęk napadowy (nagły, kilkuminutowy atak paniki bez wyraźnej przyczyny, zwykle z kołataniem serca, dusznością, drżeniem ciała i zawrotami głowy) – dotknął ponad 2,2 mln Polaków kiedykolwiek w życiu.

Rozwijamy fobie swoiste (przeżywa je lub przeżywało ponad 1,5 mln ludzi w naszym kraju), np. strach przed pająkami, i jest to uczucie tak silne, że nie sposób zejść do piwnicy, czy fobie społeczne – paraliżującą obawę przed oceną innych wyłączającą z randek, spotkań z obcymi ludźmi i niszczącą życie zawodowe (jest doświadczeniem 0,5 mln Polek i Polaków).

Co zastanawiające, depresja, robiąca medialną karierę jako najczęstsza forma psychicznego cierpienia, w świetle badań dotknęła kiedykolwiek w życiu ponad 1,2 mln Polaków i Polek. To oczywiście dramatycznie dużo, ale w porównaniu z tsunami lęku – wyraźnie mniej. – *Medialny obraz epidemii depresji prawdopodobnie wynika z tego, że ludzie mimo wszystko niechętnie przyznają się do odczuwania lęku czy np. do problemowego picia alkoholu* – ocenia Jacek Moskalewicz. – *O depresji łatwiej mówić. Stała się trochę doświadczeniem statusowym, a trochę wyznaniem „bezpiecznym" przez to, że ostatnimi czasy potocznie określa się w ten sposób wiele zwykłych psychicznych dołków.*

Faktycznie z analiz IP PAN płynie wniosek o nieco częstszych diagnozach depresji niż zaburzeń lękowych, ale to właśnie badanie było oparte na bezpośrednich deklaracjach respondentów. A gdy dopytywano o źródła odczuwanego przez nich zagrożenia, okazało się, że jednym z ich najważniejszych zmartwień jest zdrowie. Niepokoiło ich bardziej niż kwestie bezpieczeństwa, zmiany klimatyczne czy osobista sytuacja finansowa.

Dr Moskalewicz zaznacza jeszcze jedno: – *Zarówno w okresie między badaniami EZOP, jak i w kolejnych latach wyraźnie przybyło zgonów z powodów związanych z alkoholem.* Na podstawie wyników EZOP II oszacowano, że osób z doświadczeniem zaburzeń związanych z alkoholem jest w Polsce 2,3 mln.

Z ostatnich statystyk wynika, że rocznie umiera z tego powodu 61 mężczyzn i 16 kobiet na 100 tys. (w sumie to kilkanaście tysięcy osób rocznie), co lokuje nas w pierwszej szóstce krajów UE o najwyższej umieralności z przyczyn bezpośrednio związanych z alkoholem. To jeden z najwyższych wskaźników w Europie. Porównywalny jest z falą zgonów z powodu syntetycznych opioidów w Stanach Zjednoczonych. – *Przyczyny są złożone, ale jedna z najważniejszych to łatwa dostępność alkoholu oraz niska cena* – zaznacza Jacek Moskalewicz. I dodaje, że to mężczyźni z grup o najniższym wykształceniu częściej niż inni umierają z tych przyczyn, bo ich dochody w ostatnich dekadach zwiększały się najszybciej. Podnoszenie cen np. wódki i piwa w relacji do rosnącej wciąż płacy minimalnej zapobiegłoby kilku tysiącom zgonów rocznie.

Osłabia nas praca i jej brak

Grunt, na którym najowocniej rosną powszechne zaburzenia, to zmęczenie i przeciążenie – najczęstsze w Polsce negatywne doświadczenie życia psychicznego. Badacze z Instytutu Psychologii PAN, używają fachowego określenia: astenia, a definicja jest taka: „stan przewlekłego obniżenia energii i sił witalnych, który nie ustępuje po odpoczynku. Charakteryzuje się ciągłym zmęczeniem, osłabieniem fizycznym, problemami z koncentracją oraz obniżoną wydolnością poznawczą i emocjonalną". Naukowcy podkreślają, że nawet przejściowe objawy astenii mocno obniżają jakość życia i zwiększają ryzyko problemów zdrowotnych. I że banalizowanie tych doświadczeń jest błędem. Także z poziomu systemowego – wczesne wykrywanie i łagodzenie objawów astenii zmniejszyłoby obciążenia systemu zdrowia publicznego.

Prof. Arkadiusz Karwacki zwraca uwagę na konstelację życia współczesnej klasy średniej, przejętej licznymi życiowymi rolami: – *Wiele mówi się o partnerstwie w relacji, ale trudno je realizować, gdy z poprzednich pokoleń nie mamy wzorców. Jak tworzyć taki związek? Ktoś chce być np. mężem zaangażowanym w domowe obowiązki, wspierającym, ale na rynku pracy wciąż jest ogromna nierówność. Żona zarabia mniej, więc on czuje główną odpowiedzialność ekonomiczną za rodzinę.*

– *Czuje też, że wciąż za mało daje w roli rodzica* – dodaje prof. Karwacki. – *I że, choćby nie wiadomo ile nocy zarwał, wciąż za mało stara się w pracy. Albo że zdradza planetę oraz przyszłe pokolenia, bo w sklepie wziął dodatkową foliówkę. I dźwiga na sobie taką presję każdego dnia.*

Z danych wynika jednak, że kondycja Polaków i Polek mniej wykształconych i zamożnych nie jest lepsza. W kolejnym badaniu IP PAN „Status społeczno-ekonomiczny a psyche" ustalono, że to grupa z najniższym kapitałem społecznym zmaga się z najwyższym nasileniem objawów depresyjnych i lękowych. Podobny obraz pokazał EZOP: im słabsza pozycja społeczna, tym więcej cierpienia. – *Zaburzenia psychiczne ujawniły się wśród 20 proc. osób, które*

eprasa.pl 13db1c51da

oceniają swój status społeczny jako wysoki i aż u 40 proc. tych, które umieszczają się w grupach o niskim statusie – relacjonuje dr Moskalewicz. To kolejny paradoks związany z depresją uchodzącą, jak wspomniano, za problem elit, podczas gdy faktycznie dotyka osoby bez pieniędzy, edukacji i życiowych perspektyw. Do tego zniechęconych przez bariery w dostępie do fachowej pomocy.

Nie zgłaszamy się po pomoc ze strachu, że jej potrzebujemy. Według ustaleń PAN ze wsparcia w sytuacjach dyskomfortu psychicznego skorzystało 35 proc. badanych. Reszta „brała się w garść", „zaciskała zęby", ewentualnie „pracowała nad samorozwojem" metodami typu ustawienia Hellingera. Bariery systemowe – długi czas oczekiwania w kolejce na wizytę lub wysokie koszty powstrzymały lub zniechęciły do szukania profesjonalnego wsparcia psychologów prawie połowę badanych. Ale wśród najczęściej wymienianych przyczyn bardzo wysoko znalazły się powody innego rodzaju – przekonanie, że trzeba samemu sobie radzić, nieufność wobec pomocy psychologicznej.

O ile wśród zamożnych i wykształconych korzystanie z psychoterapii funkcjonuje już jako symbol statusu i narzędzie samorozwoju, o tyle siła nieufności i dystansu wobec psychologii wśród Polaków i Polek w gorszej sytuacji materialnej zaskoczyła samych naukowców. 27 proc. dorosłych mieszkańców naszego kraju jest przekonanych, że studia psychologiczne uczą czytania innym w myślach, a co dziesiąty – że psychiatrzy i psychoterapeuci współpracują, by ukrywać niebezpieczeństwa związane z leczeniem psychoterapeutycznym i farmakologicznym. 8 proc. – czyli 2,5 mln osób – wierzy, że terapia psychologiczna ma na celu programowanie ludzi zgodnie z planami pewnych grup.

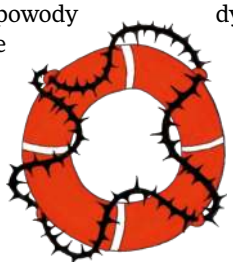

Osób z doświadczeniem zaburzeń związanych z alkoholem jest w Polsce 2,3 mln.

Druga rzecz to stosunek do osób z zaburzeniami psychicznymi. Ludzie, u których nie stwierdzono zaburzeń, wyobrażali sobie sytuację tych, którzy je mają, znacznie gorzej, niż odbierają ją oni sami. Na przykład ponad 70 proc. osób bez diagnozy przypuszczało, że gdyby ją otrzymały, poczułyby ogromny wstyd. Faktycznie takiego uczucia doznało tylko (?) 27 proc. osób z zaburzeniami. Możliwe więc, że sama obawa przed potwierdzeniem, że jest się osobą chorującą psychicznie, zniechęca Polaków i Polki do szukania pomocy.

Błędne koło bliskich relacji

Co zatem robić? Prof. Arkadiusz Karwacki od lat promuje koncepcję Centrów Usług Społecznych, gdzie mieszkańcy najbliższych okolic mogą w rozmaitych potrzebach czy problemach uzyskać niematerialne wsparcie specjalistów. To usługi np. opiekuńcze, terapeutyczne, poradnicze, rehabilitacyjne, świadczone w bezpośrednim kontakcie z klientem. O tym, co jest dostępne w gminie, każdy dowiaduje się w „jednym okienku". Powstające w kolejnych miejscach CUS są otwarte dla każdego. I nie mają szyldu instytucji pomocowej, mogącej zniechęcać do kontaktu tych, którzy do tej pory budowali obraz siebie na niezależności i zaradności. Na razie działa ponad 160 tych instytucji w skali kraju.

– *Jest coś jeszcze prostszego. Wszystkie współczesne badania na ten temat wskazują, że podstawowym warunkiem zdrowego, długiego i szczęśliwego życia są dobre, bliskie relacje z innymi ludźmi* – mówi prof. Karwacki. – *Takie, w których nie trzeba nosić masek, porównywać się statusowo, równać w górę lub walczyć, aby utrzymać swoją pozycję względem innych. Patentem na długowieczność okazuje się zbudowanie relacji, w których człowiek ufa i czuje się akceptowany.*

Jednak działa tu błędne koło, bo zwykle trudno utrzymywać dobre relacje, będąc osobą z zaburzeniem, a bez specjalistycznej pomocy. Lekarzy psychiatrów co prawda powoli przybywa, pracuje ich teraz ok. 4,5 tys., ale to wciąż nie wystarcza. – *Kluczowe jest obecnie nie tyle zwiększanie liczby psychiatrów, ile znaczna poprawa dostępu do konsultacji psychologicznych czy wsparcia psychoterapeutycznego. Właśnie to umożliwi szybsze reagowanie, kiedy czyjś stan zdrowia psychicznego się pogarsza, i ułatwi profilaktykę* – podkreśla dr Marek Balicki.

Dowodzą tego dane z miejsc, gdzie działają inne Centra – Zdrowia Psychicznego (jest ich 117, obejmują połowę kraju). W Punktach Zgłoszeniowo-Koordynacyjnych, które są ich częścią, całą dobę dyżuruje psycholog, psychoterapeuta lub pielęgniarka psychiatryczna. Ustalają, czego potrzebuje potencjalny pacjent, omawiają wstępny plan terapeutyczny, w razie potrzeby umawiają konsultację z psychiatrą (w maksymalnie trzy dni). Dzięki odpowiedzialności terytorialnej za określoną miejscowość lub rejon, zamiast rozliczania z NFZ pojedynczych świadczeń, specjaliści w Centrach mogą spokojnie zajmować się pacjentami.

– *Nawet w kategoriach budżetu to się bardzo opłaca. Zmniejszył się udział schizofrenii w kosztach ponoszonych przez ZUS z powodu niezdolności do pracy, w tym rent inwalidzkich. To jedno z najcięższych zaburzeń – ale zdrowienie jest możliwe* – podkreśla dr Balicki. Zwraca uwagę, że w ostatnich latach najwięcej ZUS-owskich wydatków z tytułu niezdolności do pracy – w 2024 r. 10,2 mld zł, czyli 17,7 proc. wszystkich – było związanych z zaburzeniami psychicznymi. Choć potrzeby są oczywiste, pilotaż, przed upowszechnieniem Centrów Zdrowia Psychicznego, trwa już osiem lat, co stanowi kuriozalny rekord w skali Europy.

Aktualna sytuacja też jest kuriozalna, bo w Polsce działają równolegle dwa systemy – obok nowoczesnego, z Centrami, stary – oparty na szpitalach (jest ich ponad 60 w całym kraju, a także ponad 150 oddziałów psychiatrycznych w szpitalach ogólnych) oraz na poradniach, które choć liczne, na ogół nie są w stanie zapewnić pacjentom konsultacji, a tym bardziej zaawansowanej pomocy w czasie krótszym niż kilka miesięcy do ponad roku.

To, czy osoba szukająca pomocy trafi do „szybkiego" CZP, czy do „tradycyjnej" poradni, nie ma nic wspólnego z pilnością przypadku. Działa geograficzna ruletka: kto mieszka w Warmińsko-Mazurskiem, raczej musi się naczekać, podobnie na Lubelszczyźnie; co do zasady – łatwiej jest w dużych miastach.

Owszem, badania potwierdzają, że dostępność to nie wszystko. Trzeba pracować nad zmianą postaw i wyobrażeń o pomocy psychologicznej i psychiatrycznej. Głośne środowiskowe konflikty i napięcia kompetencyjne, np. między psychologami i psychoterapeutami – nawet jeśli wydają się hermetyczne, na pewno nie sprzyjają tej pracy. Ale tam, gdzie łatwo dostępnej pomocy nie ma, żadnej zmiany postaw nie będzie. Tysiące (dokładnych statystyk nie ma) powstających prywatnych gabinetów i przychodni oczywiście też odgrywają ważną rolę. Jeśli jednak będą w rosnącym stopniu zastępować system publiczny, nierówności tylko się pogłębią. A od tego nie przybędzie nikomu ani zdrowia, ani spokoju.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 13db1c51da

Drogie dzieci

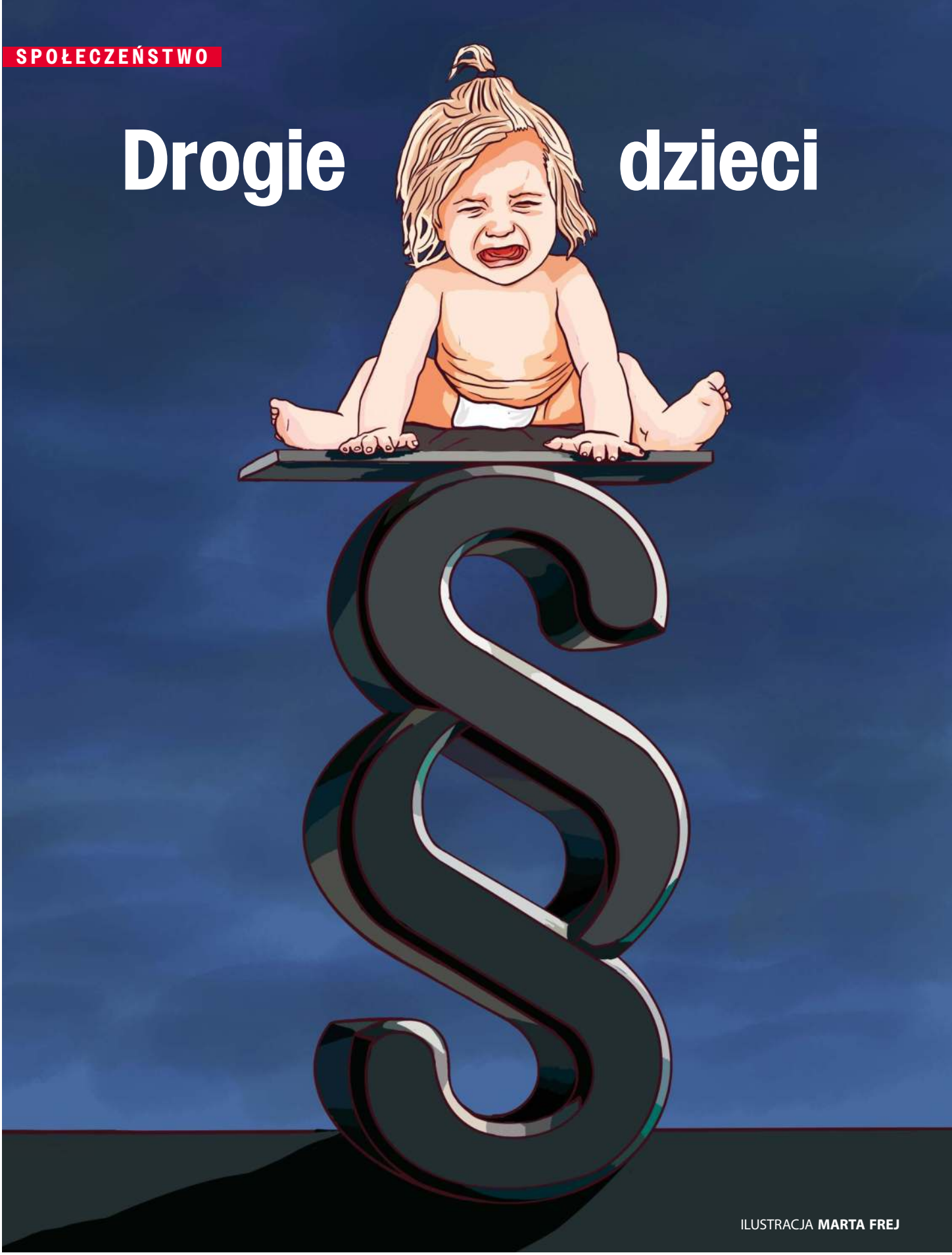

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 13db1c51da

Prawo rodzinne się zmienia, modele życia rodzinnego przechodzą rewolucje. A z alimentami wciąż nie możemy się uporać.

MARTYNA BUNDA

Ile kosztuje dziecko? Coraz więcej – wiadomo. Ale konkretnie? Wedle taryfikatora opracowanego dla sądów w Ministerstwie Sprawiedliwości dziecko miałoby kosztować ok. 1,3–1,8 tys. zł miesięcznie. Takie alimenty miał płacić rodzic, który nie opiekuje się dzieckiem na co dzień (a więc jego wkład finansowy z zasady powinien być większy). Taryfikator miał być punktem odniesienia dla sądów w całej Polsce, żeby wiedziały, ile należy zasądzać.

A jednak gdy w lipcu 2025 r. wiceministra Zuzanna Rudzińska-Bluszcz upubliczniła tabele, rozpętała się burza. Zarzucano, że to stawki drakońskie i oderwane od rzeczywistości, nie uwzględniają, że dziecko na wsi kosztuje mniej niż w mieście. Albo całkiem dosadnie – że „Bodnar oszalał". Po kilkudziesięciu godzinach ministerstwo wycofało się z projektu, a miesiąc później Rudzińska-Bluszcz, przez wiele lat u boku rzecznika praw obywatelskich zajmująca się prawami dzieci, ustąpiła ze stanowiska.

Zaharowane matki

Ministerstwo do dziś nie sporządziło wytycznych. Od miesięcy słychać, że są na ukończeniu, ale każdy kolejny projekt oglądany jest przez lupę, bo każdy niesie ryzyko kontrowersji. W miejsce tabel obiecano ukończenie prac nad wprowadzeniem alimentów natychmiastowych, przyznawanych nie po sądowym procesie, lecz na złożony elektronicznie wniosek, w ciągu 14 dni – ale tych rozwiązań też jeszcze nie ma. Resort pracuje również nad przyznaniem sądom dostępu do baz danych ZUS i bazy pojazdów w celu lepszej weryfikacji majątku dłużników, dzieje się więc bardzo wiele, jednak wynika z tego mało.

A tymczasem alimentowe historie w Polsce biorą kolejny zakręt. O nieudolnym państwie, które od dekad nie umie załatwić tej sprawy, mówią publicznie już nie zrozpaczone matki, ale celebrytki – piosenkarka Paula Ignasiak czy aktorki Joanna Opozda i Monika Mrozowska. Winy alimentacyjne skrupulatnie wytykane są też politykom – od byłego szefa telewizji Jacka Kurskiego, poprzez posła Grzegorza Płaczka, aż po bohatera demokratycznej opozycji Mateusza Kijowskiego.

Podczas gdy w Stanach na sile przybiera ruch Generation Debt (pokolenia porzuconego przez władzę, wychowanego przez zaharowane matki), w polskich i zachodnich telewizjach śniadaniowych najlepszy czas poświęca się obowiązkowi zapewnienia dziecku opieki. Ale raczej nie mówi się o alimentach. I okazuje się, że do kodeksów łatwiej jest wpisywać te najnowsze trendy społeczne niż stare, nudne obowiązki alimentacyjne. Opieka naprzemienna jako standard trafiła do kodeksów, upraszcza się postępowania spadkowe, wyrok Trybunału w Luksemburgu porządkuje nawet aspekty prawne związków nieformalnych, a alimenty wciąż czekają. Podobnie jak zainteresowani. Ponad milion nieletnich nie może się doczekać 17 mld zł – bo tyle wynosi suma polskiego długu alimentacyjnego. Niemal dwa razy więcej niż dekadę temu.

Alimenty, czyli ile?

Kłopoty mamy już na progu: jak i ile liczyć? Pomimo istniejących wyroków Sądu Najwyższego, nakazujących brać pod uwagę nie zarobki płacącego rodzica, a jego możliwości zarobkowe; pomimo wyroków wyjaśniających, że pięćset czy osiemset plus nie może wpływać na werdykt, bo to pieniądze, które mają pomóc dziecku, a nie odciążyć jedno z rodziców; wreszcie wyroków Sądu Najwyższego tłumaczących, że wyliczając wysokość alimentów, należy uwzględniać wyższy standard życia zobowiązanego – przeróżne badania wskazują na zaskakujące dysproporcje w kwotach zasądzanych alimentów.

Wedle raportów Ministerstwa Sprawiedliwości zasądzane kwoty zwykle mieszczą się w przedziale 500–1000 zł (co zresztą, jak w tych samych opracowaniach zaznacza ministerstwo, nie pokrywa realnych kosztów utrzymania dziecka), ale w Warszawie jest to raczej 1,5–2,5 tys. na dziecko; z drugiej strony potrzeby co najmniej 3 tys. dzieci oszacowano na 100 zł miesięcznie, i tyle im zasądzono.

Niezależnie, ile naprawdę kosztuje utrzymanie dziecka, gdy przychodzi do wyrokowania sądy kierują się tym, czym akurat chcą. Często – lokalnym zwyczajem. W opracowaniach Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości mówi się wręcz o geografii alimentacyjnej; miasta zasądzają średnio o 60 proc. wyższe alimenty niż wieś.

W praktyce im sąd mniejszy, tym częściej alimenty są symboliczne, 200–300 zł. Wychodzi się z założenia, że jeśli alimenty będą za wysokie, pozwany zacznie kręcić i kombinować. Ale niemniej często pierwsze skrzypce grają stereotypy czy osobisty światopogląd sędziego; bywa, że Temida poucza matkę – skoro pracuje, zarabia i jest w stanie dziecko utrzymać, to powinna ograniczyć swoją roszczeniowość; skoro ojciec – znany lekarz – mówi, że może płacić po 500 zł miesięcznie, to widać na tyle go stać (w tej sprawie zasądzono 650 zł). Wielkie miasta to raczej rewiry matek. Tam papier jest w stanie przyjąć, że dziecko chodzi w tygodniu na dziewięć różnych, nietanich zajęć pozalekcyjnych, w związku z tym alimenty na poziomie 4 tys. zł od rodzica zarabiającego netto niewiele ponad tę sumę są uzasadnione.

– *A raz zasądzona kwota jest nie do ruszenia* – mówi Gdańszczanin Tomasz Kos, ojciec płacący znacznie więcej niż może. – *Dziecko wożone z zajęć na zajęcia tuż przed datą sprawy sądowej potem już tylko tkwi na kanapie. Trzeba mu kupić buty, ubrania, bo matka każe córce powiedzieć, że potrzebuje. Ale raz wyznaczony przez sąd punkt odniesienia obowiązuje. Można co najwyżej, sądząc się miesiącami, wyszarpać dziesięć, dwadzieścia procent.*

Znaczenie dla zasądzonej kwoty może mieć choćby fakt, z jakiego pokolenia ▶

eprasa.pl 13db1c51da

▶ wywodzi się sędzia. Można wyłapać zależność, że na poziomie okręgu, gdzie rozpoznaje się sprawy o rozwód i zasądza alimenty, kwoty są nieco wyższe. W okręgach siedzą najbardziej doświadczeni, najstarsi stażem i wiekiem sędziowie, których życiowe doświadczenie mówi, że dziecko kosztuje. Gdy z jakichś powodów – na przykład zmiany sytuacji rodziny – sprawa o alimenty trafia do sądu rodzinnego, zwykle do sędziego z młodszego pokolenia, żąda paragonów, oświadczeń i zaświadczeń – a wysokość zasądzanych sum leci w dół.

I tak polska przeciętna – czyli nieco poniżej tysiąca złotych – w największych ośrodkach oznacza 2,5 tys. na dziecko, a w miasteczkach powiatowych – często ledwo piątą część tej sumy. Dla Natana, synka Sławomira spod Poznania, sąd zasądził 400 zł miesięcznie. Po tym, jak matka zniknęła z horyzontu, samotny ojciec musiał odczekać jeszcze rok, żeby stać się oficjalnie wierzycielem swojej dawnej partnerki – tyle to trwało w sądzie. Potem musiał poczekać jeszcze kilka miesięcy, by móc zgłosić się do Funduszu Alimentacyjnego, który płaci dzieciom w zastępstwie rodziców i sam ściąga z nich długi.

Nie rodzic, czyli kto?

Notabene już sama historia Funduszu Alimentacyjnego dobrze obrazuje stosunek państwa do długów wobec dzieci. Instytucja powołana w latach 70. jako część ZUS, przez dekady stanowiła główne wsparcie dla setek tysięcy niepełnych rodzin. Tyle tylko, że z roku na rok ciągnęła coraz więcej z budżetu; w im gorszej kondycji był rynek pracy, tym więcej było alimenciarzy. Długi – spłacane przez państwo – rosły do kwadratu.

W maju 2004 r. w ramach szukania oszczędności fundusz zlikwidowano. Uznano, że wystarczy pomagać najuboższym. Dzieci, których matka wiąże koniec z końcem, jakoś sobie poradzą. W miejsce funduszu wprowadzono symboliczne zasiłki, ale tylko dla najbiedniejszych. A ponieważ wyznaczonych kwot nie waloryzowano – niebawem okazało się, że nawet rodziny żyjące poniżej minimum socjalnego nie spełniają warunków, by otrzymać pomoc. Po latach, pod wpływem ogromnych protestów społecznych przywrócono Fundusz – ale w nieco innej formie, pozostawiając progi dochodowe. Dziś, aby otrzymać świadczenie, nie można przekroczyć ok. 1,2 tys. zł na głowę w rodzinie.

Historia Funduszu meandrowała, a państwo – starając się unikać płacenia za rodziców – od niemal dekady szlifuje przepisy mające dyscyplinować dłużników. Wprowadzano kolejne, bardziej i mniej nowatorskie rozwiązania. Wprowadzano odpowiedzialność karną dla pracodawców pomagających alimenciarzom ukrywać dochody, zwiększano uprawnienia komorników. W 2007 r. wprowadzono nawet zasadę, że niepłacącym od pół roku albo dłużej można zatrzymać prawo jazdy – miała posłużyć za straszak. Dłużników jest ponad 300 tys. Starostwa powiatowe występują z kilkoma tysiącami takich wniosków rocznie; tylko niewielka część postępowań kończy się zatrzymaniem dokumentu. Kropla w morzu.

Podczas gdy państwo wprowadza coraz bardziej nietypowe rozwiązania, środowiska samodzielnych rodziców od dekady forsują bezskutecznie inny, najprostszy z możliwych, akt prawny – alimenty natychmiastowe. Zamiast wieloletniego czekania na proces samotny rodzic mógł złożyć elektronicznie wniosek o przyznanie na dziecko alimentów w kwocie z góry wyznaczonej przez ministra. Sprawy o alimenty trwają w Polsce średnio kilka miesięcy – to i tak długo. Ale zdarza się, że i kilka lat, na przykład gdy jedna strona złoży wniosek o alimenty na dziecko, a druga – wniosek o rozwód i postępowania wzajemnie się blokują.

Ustawa napisana jeszcze przed 2015 r. w 2021 r. już niemal stała się prawnym ciałem – ale na koniec utknęła. Jakby pomyłka o sto złotych w oszacowaniu wielkości takich alimentów miała wysadzić kraj z posad. Projekt ustawy zmarł wraz z Sejmem kończącym kadencję.

Nie ma pracy

Najważniejszą możliwą konsekwencją niepłacenia alimentów jest w Polsce kara więzienia. Z armii ponad 300 tys. dłużników alimentacyjnych za długi alimentacyjne skazuje się ok. 20 tys. osób. Ale i tak większość wyroków skazujących upada w apelacji.

Ostatnich 20 lat skazań to historia gwałtownych skoków i powolnych spadków tych statystyk. Do 2017 r. takich wyroków było relatywnie niewiele, ok. 10–15 tys. rocznie. Aż wprowadzono drobną zmianę w Kodeksie karnym – enigmatyczne sformułowanie o narażeniu dziecka na brak środków do życia zastąpiono konkretem: przekraczającą trzy miesiące zaległością. A jednocześnie dodano tam zapis, że jeśli przesłuchany w tej sprawie w charakterze świadka dłużnik ureguluje dług przed postawieniem mu zarzutów, sprawę się umarza. Policjanci skrupulatnie informowali przesłuchanych o takiej możliwości. I faktycznie, w 2018 r. liczba wpłat do Funduszu Alimentacyjnego wzrosła o 100 proc. Tyle tylko, że jeszcze szybciej rosła liczba skazanych; po zmianie przepisów statystyki wyroków karnych „dla alimenciarzy" skoczyły o 500 proc.

Poprawa statystyk w jednym miejscu w tym wypadku oznaczała zawał w innym. Policja prowadziła coraz więcej spraw, liczby szły już w setki tysięcy – i wtedy się zorientowano, że polskie więzienia nie mają pojemności pozwalającej zamykać alimenciarzy. Z prokuratur szły w dół wytyczne, żeby łapiąc za przestępstwo z art. 209, badać też intencje – może jednak chciałby płacić, tylko nie ma jak? Statystyki skazań znów zaczęły spadać.

Jedno jest pewne; skazania to od dekad wyjątkowo skuteczny sposób, żeby alimenciarz popadł w jeszcze większe długi. Zgodnie z informacjami Służby Więziennej liczba etatowych miejsc pracy dla więźniów jest ograniczona – do 3,8 tys. Do tego pewna pula miejsc u pracodawców współpracujących z więzieniami. Kodeks karny mówi, że pracę zapewnia się przede wszystkim właśnie skazanym zobowiązanym do świadczeń alimentacyjnych, ale nie ma gdzie ich zatrudnić. W praktyce, poza więzienie, do zarobkowej pracy udaje się skierować tylko co drugiego alimenciarza. W dodatku pomiędzy 2022 a 2025 r. więziennictwo straciło większość dostępnych etatów z braku popytu na niewykwalifikowaną siłę roboczą.

Ale jest i druga strona: alimentarze wykręcający się od zatrudnienia. „W wielu jednostkach penitencjarnych dyrektorzy nie wnioskowali do sądów o udzielenie warunkowego przedterminowego zwolnienia, mimo spełnienia przez skazanych przesłanek, co powodowało, że osadzeni pracowali do końca kary" – informuje oględnie POLITYKĘ Służba Więzienna.

Z Ministerstwa Sprawiedliwości dobiegają głosy, że i tę kwestię zamierza się wyprostować. Lista planów jest długa. Tyle że moment ich ogłoszenia od miesięcy odsuwa się w czasie. Nikt nie wie, na jak długo. Poczekamy, jak to na alimenty.

MARTYNA BUNDA

eprasa.pl 13db1c51da

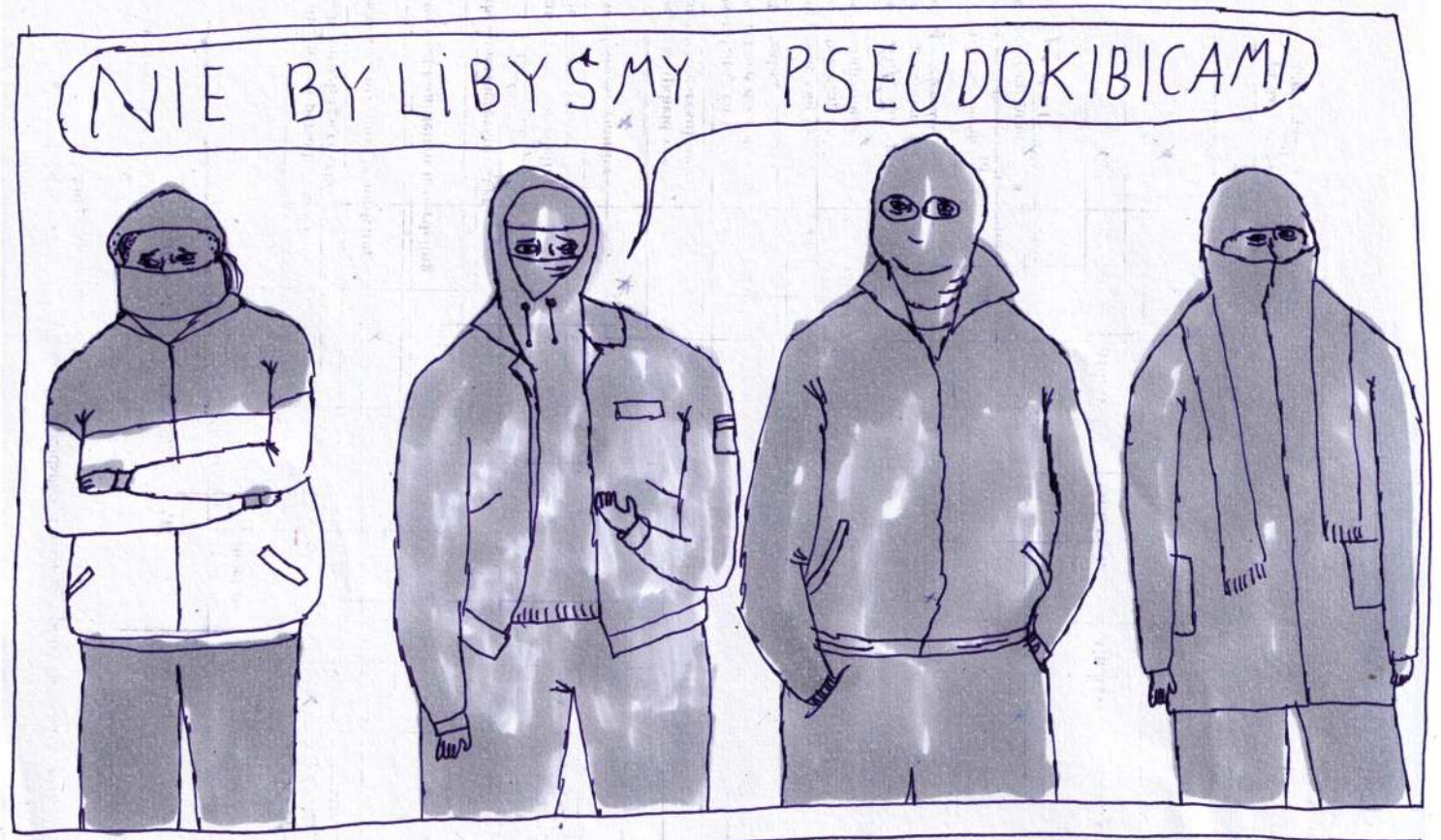

JANEK KOZA DLA tokfm

Na każdy temat z każdej strony
tokfm

eprasa.pl 13db1c51da

Predator z Tindera

Na początku słodki, z czasem zamieniał kobietom życie w koszmar. Szantażował, zastraszał, stosował przemoc, a nawet gwałcił. Przez lata bezkarny. Okazuje się, że policję miał na swoich usługach.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Robert I., lat 48. Wygląda niegroźnie, może nawet sympatycznie. Przeciętny, ani przystojny, ani wysportowany, ale potrafił obsadzać się w roli amanta. I to pomimo że twarz ma pulchną, zakola wyraźne. Ale był pomocny, serdeczny, romantyk rysujący serduszka na piasku. Na początku znajomości. Bo na końcu był już tylko wyrachowanym, pozbawionym uczuć brutalem, który nie miał oporów, żeby bić, a nawet zgwałcić. I na chłodno szantażować kolejne kobiety kompromitującymi materiałami, filmikami, które skrupulatnie nagrywał z ukrycia.

Ten opis może być pomocny, bo mężczyzna ciągle jest na wolności i poluje. Myśliwi powiedzieliby, że poluje na ranne zwierzęta. Szuka majętnych kobiet w kryzysie spowodowanym śmiercią męża, rozwodem czy samotnością. Kradnie tożsamości, używa wielu nazwisk i cudzych wizerunków, które umieszcza jako swoje na portalu randkowym Tinder, gdzie szuka ofiar. Czy na FB, zapraszając do grona znajomych. Tak zrobił z żoną biznesmena, gdy przeczytał, że się rozwodzi. Służył jej pomocą, woził jej córkę na rehabilitację, zabierał na krótkie wypady. Pozował na zamożnego, przyjeżdżał bardzo drogimi samochodami, mówił, że prowadzi firmę budowlaną.

Najpierw poprosił o pożyczenie 45 tys. zł na podatek, potem o 130 tys. zł na naprawę dźwigu. I jeszcze o 150 tys. zł, żeby dokończyć budowę. Pokazywał umowę na 5 mln zł, dlatego wierzyła, że jest wypłacalny. Ale gdy zaczęła domagać się zwrotu, najpierw ją zwodził, a potem zaczął niszczyć. „Zostałam oszukana, okradziona, byłam szpiegowana, zastraszana i zdeptana psychicznie" – mówiła niedawno w sądzie łamiącym się głosem ta twarda niegdyś kobieta.

Ciocia, ratuj!

Na Tinderze jako „Darek" nawiązał kontakt z kobietą załamaną po śmierci męża. Poszukiwała otuchy, a on słuchał, był wrażliwy. W końcu zgodziła się na spotkanie. Gdy zobaczyła, że wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciu profilowym, chciała wyjść ze spotkania. Przekonał ją, że pracuje w służbach i dlatego musi ukrywać się pod wizerunkiem innej osoby. Tak naprawdę jest Robertem. Powiedział, że jest samotny, że chce kogoś poznać. Została.

Przyjeżdżał o każdej porze dnia i nocy, był pomocny, opiekuńczy, zawsze miał dla niej czas. Pomagał w załatwianiu różnych spraw i w opiece nad synem. Przedstawił jej również swoich synów. W kwietniu 2018 r. kobieta odebrała telefon, a w słuchawce usłyszała krzyk jego syna: „Ciocia, pomóż!". Telefon przejął Robert i poprosił o pożyczkę 200 tys. zł, bo ktoś mu grozi pobiciem i porwaniem dzieci i musi zapłacić okup.

Podpisała z nim umowę pożyczki. Omotał ją tak, że za jego namową sprzedała dom. Po czym przekonał ją, że pieniądze za dom powinna wyjąć z konta, założyć skrytkę depozytową w banku i tam je złożyć. Wybrała pieniądze, a on owinął je w czarną folię i na tę jedną noc, zanim trafią do skrytki bankowej, kazał je włożyć do specjalnie zrobionej przez sprowadzonego przez niego stolarza skrytki w mieszkaniu. Po czym zabrał ją i jej syna na mecz do innego miasta. Następnego dnia rano kobieta wyjęła ze skrytki pakunek i zaniosła do banku. Robert I. kazał zapomnieć jej o tych pieniądzach i trzymać je na „czarną godzinę", aby zabezpieczyć przyszłość jej syna. Zresztą kluczyk od skrytki wkrótce zniknął. Potem jeszcze zabrał jej BMW i sprzedał tak jak zegarki jej zmarłego męża o łącznej wartości 100 tys. zł, które miały być pamiątką dla syna po ojcu. Gdy zaczęła domagać się zwrotu pożyczonych 200 tys. zł, samochodu i zegarków, grożąc policją, zaczął zachowywać się agresywnie.

Próbowała się ratować, nagrywając telefonem rozmowę o pożyczce. Bo sama umowa zniknęła. W jej miejscu leżała inna,

eprasa.pl 13db1c51da

Grzegorz Filarowski z ofiary stał się myśliwym. Postanowił odnaleźć Roberta I. (na fot. po lewej) **– przestępcę łowiącego m.in. na Tinderze.**

w której to ona pożycza od Roberta 145 tys. zł. Umowa z jej podpisem, choć nie pamiętała, żeby jakiś podpis składała. Wówczas wyrwał jej telefon z ręki i rozbił o kant stołu. Wybiegając z mieszkania, zabrał jeszcze złoty łańcuch o wartości 40 tys. zł.

I tak love story zmieniło się w thriller. Robert zagroził upublicznieniem jej nagich zdjęć i intymnych nagrań. Wrzucił jej zdjęcia na stronę grupy klasowej jej córki. Mówił, że z życia uczyni jej piekło. Zapis tego znalazł się później w sądowych materiałach. Groził jej „roztrzaskaniem głowy", mówił, że „dojedzie ją i jej syna", że „obleje ich kwasem". Była popychana, przyduszana, kopana, w obecności swoich synów szarpał ją za włosy, aż upadła, uderzył ją otwartą dłonią w tył głowy, w wyniku czego ponownie upadła, a następnie kilkakrotnie kopnął w miejsca intymne.

Gdy w 2019 r. wreszcie kobieta poszła do banku i przy pomocy ślusarza otworzyła skrytkę – zamiast pieniędzy zobaczyła ścinki gazet.

Mama z placu zabaw

Można go też spotkać w realu, w eleganckich kurortach, hotelach, w których zatrzymują się bogaci ludzie. Często bywał tam na przykład ze swoimi synami – wykorzystywał ich, żeby wzbudzać zaufanie kolejnych partnerek – dopóki sąd nie pozbawił go władzy rodzicielskiej.

Poluje nawet na placach zabaw. Tam samotne matki widać jak na dłoni. – *Tak poznał moją żonę, z którą byłem wówczas w trakcie rozwodu. Zaczepił ją na placu zabaw, gdzie poszła z córką* – wspomina Grzegorz Filarowski, wrocławski biznesmen. Filarowski to informatyk, analityczny umysł. Życie obsadziło go też w roli prywatnego detektywa, oskarżyciela posiłkowego, a nawet autora książki o drapieżniku z Tindera. Choć on sam woli określenie Predator – to filmowy kosmiczny myśliwy obdarzony wielkim instynktem łowieckim, dla którego walka, polowania oraz zbieranie trofeów stanowią sens egzystencji. Filarowski stanął z nim do walki. Ale zanim stał się myśliwym, przez chwilę sam był zwierzyną.

– *Robert I. zobaczył duży majątek, na którym będzie mógł położyć łapę. Oplótł moją żonę. Tak ją urobił, że dała adwokatowi, którego wskazał, pełnomocnictwo właściwie do wszystkiego* – opowiada Filarowski. Na jego podstawie ich znajoma komorniczka zajęła mu konto, nie przedstawiając żadnych dowodów na rzekome zobowiązanie. Już wtedy zorientował się, że dzieje się coś złego. A to był dopiero początek. – *Córka przypadkiem znalazła przyczepiony pod stołem w kuchni mikrofon. Ja sam byłem przez niego śledzony, nasłał na mnie policję. Wszystko, żeby zdyskredytować mnie przy sprawie rozwodowej* – opowiada. Sprawy zaszły bardzo daleko.

W maju 2022 r. Filarowski został zatrzymany przez policję. Filarowski opowiada: – *Mówią „rutynowa kontrola trzeźwości". Wydaje mi się to podejrzane, bo tu wrocławska drogówka raczej się nie zapuszcza, ale dmucham w balonik. Wynik „zero". Po chwili policjant mówi: „Musimy zrobić test na narkotyki". Jestem zdziwiony, ale mówię OK. „Ale nie mamy testerów". Jeden z nich pojechał, przywiózł, pobrali próbki śliny. „Ale trzeba też sprawdzić krew, proszę z nami".*

Filarowski w asyście policjantów musiał zawieźć dzieci do domu. – *Policjanci chcieli wejść do domu i zrobić przeszukanie. Odmówiłem, ale dokładnie przeszukali mój samochód, jakby szukali narkotyków. Później zawieźli mnie na komendę. Zabrali telefon, trafiłem na dołek. Wypuścili mnie nad ranem. Po kilku tygodniach wezwał mnie policjant i mówi: „Wyniki są ujemne, więc zwracam panu telefon, zapominamy o sprawie". A ja na to: „Nie zapominamy"* – opowiada.

Zaraz potem Robert I. włamał się do domu jego byłej żony, zaatakował ją, zabrał jej telefon. To wtedy postanowił odwrócić role. Zaczął sprawdzać, kim jest Robert I. Tyle że Robert I. okazał się człowiekiem widmo. – *Nie było go w rejestrze firm, w rejestrze ksiąg wieczystych, nigdzie* – wylicza Filarowski. Okazało się, że nie dość, że nie ma żadnej firmy, to nigdy nie pracował. Ale Filarowski w trakcie tych poszukiwań znalazł jego ofiary. Jego byłą partnerkę i matkę jego synów, która utrzymywała go latami. Ją też podsłuchiwał, zastraszał. Gdy w 2015 r. odkryła podsłuchy założone w samochodzie i w domu, poszła z tym na policję, ale sprawa szybko zakończyła się umorzeniem.

– *Inna kobieta została zepchnięta ze schodów. W wyniku upadku doszło do uszkodzenia kręgosłupa. Kobieta była przerażona i uciekła z Wrocławia. Jej mama namówiła ją, aby nie mieszała się do sprawy, bo bardzo obawiała się o życie dziecka. Inna kobieta została podobnie potraktowana. Także została poszarpana, niemalże spadła ze schodów – sprawa została umorzona. Takich umorzeń było wiele* – mówi Filarowski. Dodaje: *Były zgłoszenia w różnych miejscach w Polsce, z takim samym sposobem działania, z tym samym sprawcą, ale nikt tego nie chciał powiązać, nie widział, że to jest działanie jednego człowieka***.**

Jednak do czasu. Filarowski zainteresował sprawą Prokuraturę Okręgową we Wrocławiu. Nie tylko własną opowieścią. Ale do złożenia zeznań namówił jeszcze kilka kobiet. W maju 2023 r. Robert I. został zatrzymany. Wraz z nim jego telefon. Jak się okaże – kluczowy dowód, a może nawet świadek w sprawie.

Tajemnica telefonu

Złamanie kodów dostępu do telefonu zajęło trochę czasu. Ale to, co znaleziono w jego pamięci było tego warte. Było tam choćby nagranie z zatrzymania Filarowskiego przez drogówkę. Nagrywał sam Robert I. Jakim cudem był akurat w pobliżu? To pytanie do śledczych. Tym bardziej że słychać, jak chwilę wcześniej mówi do telefonu: „Już wyjechał, już jest. Macie go". Całość nagrania kończy ujęcie z radiowozem stojącym już przy aucie Filarowskiego. Jest też nagranie rozmowy, m.in. z pytaniem: „Masz dostęp do wyników jego badań?". ▶

© TOMASZ PIETRZYK/AGENCJA WYBORCZA.PL, KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 13db1c51da

▶W telefonie było wiele innych nagrań. Na jednym z nich słychać rozmowę z policjantem, który dla Roberta I. sprawdza w policyjnej bazie danych informacje o Filarowskim. Nie tylko policja szła na rękę oszustowi. – *W telefonie jest zdjęcie ekranu monitora lekarza z moimi danymi, z moją historią choroby ze szpitala* – nie może wyjść z szoku Filarowski.

Okazało się, że Robert I. wszystko nagrywał. Jest film, na którym ktoś ściąga dla niego na komputer pliki z cudzego telefonu, jak zakłada podsłuchy. Robert I. masowo gromadził też materiały kompromitujące. Nagrywał m.in. mężczyzn uprawiających seks, prawdopodobnie z prostytutkami, w pokojach hotelowych. Nagrania wykonywane są z ukrycia. – *To taki typ, który wychodził z założenia, że nie wiadomo, kiedy co się przyda. I nagrywał osoby, które były lub mogły być przez niego szantażowane. Nagrał nawet własny gwałt na kobiecie* – mówi Filarowski. I dodaje, że zawartość telefonu Roberta I. wymaga śledztwa. Liczy, że uda się ustalić, z kim współpracował Robert I., bo że ktoś jeszcze za nim stoi, nie ma wątpliwości.

Co za Meksyk

Wrocławska prokuratura oskarżyła Roberta I. o przestępstwa wobec siedmiu kobiet. Zarzuty dotyczyły oszustwa, kradzieży i gróźb. W aktach znalazły się umorzone wcześniej sprawy z zawiadomień ofiar Roberta I. Języki rozwiązały się również znajomym oskarżonego. Jedna z jego koleżanek zeznała, że chwalił się, jakie pieniądze można „wyciągnąć" od Filarowskiego. Chełpił się filmikami ze scenami seksualnymi z udziałem swoim i różnych kobiet. Materiału z nawiązką wystarczyło, żeby Roberta I. wreszcie wysłać za kraty. Sąd pierwszej instancji skazał go na 6,5 roku więzienia, ale ten wyrok nie jest prawomocny, jest apelacja. Wiele spraw się jeszcze toczy. Ale właśnie uprawomocnił się wyrok Sądu Okręgowego w Legnicy, który skazał go na rok i 6 miesięcy bezwzględnego więzienia za okradzenie jednej z ofiar. Apelacja ten wyrok podtrzymała, ale żarna sprawiedliwości są powolne.

Tymczasem Robert I. od roku jest na wolności, ponieważ Sąd Apelacyjny we Wrocławiu zgodził się na poręczenie majątkowe w wysokości 100 tys. zł, jakie zaproponował brat oskarżonego, dla którego takie pieniądze to majątek. Sądu jakoś nie obeszło, skąd te pieniądze. Podobnie jak to, że Robert I., wychodząc z więzienia, jako swój adres podał ogródki działkowe. – *Najgorsze w tym wszystkim jest to, że system jest tak dziurawy, że nikt tego nie weryfikuje. Wypuszczają typa i nikt nie sprawdza, czy adres, pod którym on ma rzekomo przebywać, w ogóle istnieje* – denerwuje się Filarowski.

Denerwuje się nie bez przyczyny, bo Robert I. nie próżnuje. Filarowski ma informacje od kolejnej kobiety, której I. próbował zawrócić w głowie. Tym razem to on został nagrany. Nieobecność wywołaną tymczasowym aresztowaniem tłumaczył wyjazdem do Meksyku. Dalej gra bogacza. Mówi, że sprzedaje knajpę na Wybrzeżu, chwali się, że ma wpływowych znajomych, rzuca znanymi nazwiskami.

Czy w końcu trafi do więzienia?

Wiadomo, że stara się, by zamiast do więzienia trafić do Systemu Dozoru Elektronicznego, w którym karę odbywa się w domu. – *Na wolności dalej będzie robił to, co robił* – uważa Filarowski. Apeluje, żeby prokuratura, cały wymiar sprawiedliwości nie lekceważyli podobnych spraw dotyczących stalkingu, bo pod nim zwykle kryją się inne, dużo gorsze przestępstwa. Sam robi to, co robił: nie zapomina i nie odpuszcza.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Kaliber 10 procent

Pomyślałem: „Przyszła wojna, przyszły standardy". Ale było to dosyć naiwne myślenie – mówi Piotr Sapieżyński, prezes firmy Alfa sprzedającej broń Ukrainie.

JULIUSZ ĆWIELUCH, PAWEŁ RESZKA: **– Z pana to taki Wokulski, który też dorobił się na handlu bronią.**

PIOTR SAPIEŻYŃSKI: – Ja się na tę wojnę nie pchałem. To Ukraińcy sami się do mnie odezwali, kiedy wybuchła. Zdaje się, że attaché wojskowy wziął listę wszystkich firm z koncesją na obrót bronią i do wszystkich wysłali wiadomości.

Ale nie wszyscy podpisali pierwsze kontrakty już 22 kwietnia 2022 r. i to od razu na armatohaubice Goździk, na amunicję 122 i wiele innych rzeczy.

Żeby podpisywać kontrakty, trzeba było mieć nie tylko koncesję, ale przede wszystkim towar. A tego towaru w magazynach większości firm nie było. A stamtąd, gdzie był, nie dało się go wyciągnąć, bo była blokada. Węgry i Słowacja nic nie sprzedawały do Ukrainy. Z czasem nawet blokowały transporty sprzętu, choć był to zwykły tranzyt w ramach UE. Zwłaszcza Słowacy wykorzystywali wszystkie kruczki, żeby opóźnić, co się da. Już nie wspomnę, że towar jechał tak zapakowany, żeby nikt się nie zorientował, że tam jest jakiś sprzęt bojowy.

Wyprzedzamy wypadki, prawda?

Wyprzedzamy. Ja w tej branży działam od lat i wiedziałem, co kto ma. Sporo miała Bułgaria. Ale tam była pani wicepremier Kornelia Ninowa, która nie kryła prorosyjskich sympatii. A to ona podpisywała – a raczej nie podpisywała – zgody na eksport sprzętu

eprasa.pl 13db1c51da

Polska haubica Goździk na froncie w Ukrainie

do Ukrainy. Tyle że ja wiedziałem, że rząd upada. Bułgarzy też to wiedzieli i zaczęli być bardziej elastyczni. Dalej się bali zadrzeć z Kremlem, ale kusiły ich pieniądze. Dali sygnał, że jeśli ktoś wyda papiery na „end usera", czyli ostatecznego odbiorcę, to zaczną handlować. Ale nasz MON takich kwitów wystawić nie chciał.

To skąd ten kontrakt?

(*długa cisza*) Pomyślałem, że skoro rząd nie chce, to może jakaś jego odnoga zechce. Przyszła mi do głowy Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych. Poszedłem do nich z tym pomysłem. Jak usłyszeli, że to uderzy w Rosję, to z miejsca się zgodzili. Oficjalnie RARS kupował na własne zapasy. Co dalej z nimi robił, to jego sprawa. A co ja dalej z tym robiłem, to była już moja sprawa. I tak ten mój autorski projekt zadziałał. Były pewne perturbacje z papierami, nawet ustawa była pod to zmieniana. Ale to opowieść na inną okazję, podobnie jak próba blokowania mnie już w kraju. Minister Jakub Kumoch z Kancelarii Prezydenta zainterweniował i problemy się skończyły. Moja firma Alfa jako jedna z pierwszych na świecie zaczęła słać towar do Ukrainy.

Zyski – nomen omen – wystrzeliły.

Pierwsze dostawy do Ukrainy z Alfy poszły jeszcze w marcu: kilkanaście tysięcy kamizelek i hełmów. Ale też pociski rakietowe Bull Spike (RPG22), na czym im szczególnie zależało. Przeważnie dostawy były opłacane z naszych środków albo przedpłacane częściowo na poziomie 20–50 proc. Na pieniądze zresztą czekaliśmy miesiącami. Stąd zapisy w kolejnych kontraktach, żeby była przedpłata, bo już zatykaliśmy się finansowo. Zaczęli się na to godzić, bo im zależało na towarze. Kamizelki, buty, armaty, radiostacje. Ten rynek był jak gąbka.

Kieszenie urzędników też były jak gąbka.

Do korupcji pewnie jeszcze wrócimy, bo nie da się tego tematu ominąć. Chociaż na początku wszystko było jak w tej branży. Nerwowo, na ostatnią chwilę, z niespodziankami, ale w sumie jedna i druga strona były zadowolone. To nie były jednak łatwe pieniądze. Ludzie ciężko harowali, żeby to wszystko pospinać. Ja osobiście do Ukrainy w czasie wojny się nie pchałem. Były takie lata, że bywałem tam po 50 razy. Z Krymu na przykład ściągałem specjalistów do realizacji kontraktu na naprawy w Marynarce Wojennej poradzieckiego sprzętu, w tym ORP „Orzeł". Z Rosji nie można było nikogo wyciągnąć, a z Ukrainy już tak. Ale to też inna historia. Podpisywaliśmy kontrakty bezpośrednio z Ministerstwem Obrony Ukrainy, ale i z państwową firmą Progres. I to oni się do nas odezwali na początku wojny. Przyjechali. Nie kombinowali, nie składali żadnych korupcyjnych propozycji. Jak poszliśmy do restauracji, to nawet nie pozwolili za siebie płacić. Pomyślałem: „Przyszła wojna, przyszły standardy". Ale było to dosyć naiwne myślenie.

No właśnie i już w 2023 r. w „Ukraińskiej Prawdzie" pojawił się tekst, który nie stawiał was w dobrym świetle. Dziennikarz zarzucał Alfie, że dostarczacie wadliwe kamizelki, hełmy jak z tektury, a miały być z kevlaru, no ogólnie okradacie walczącą Ukrainę, bo kontrakt był na 100-procentowej przedpłacie, a sprzęt nie został odebrany.

Szkoda, że nie napisali np. o kontrakcie na 50 tys. kamizelek i hełmów, które sfinansowaliśmy z własnych środków, bez żadnych przedpłat, i który wzorcowo został zrealizowany. Opisali mały fragment naszych interesów, którym zainteresowany był nasz ukraiński konkurent: 20 tys. hełmów, 20 tys. kamizelek kuloodpornych, 40 tys. płyt do kamizelek. Hełmy kupowałem w Izraelu. Miały certyfikaty, ale i tak posłałem je na testy do Moratexu. Przeszły wszystkie możliwe. Sami Ukraińcy sprawdzali, strzelali do nich i mam na to dokumenty. Też bez zastrzeżeń. Świetny sprzęt z aramidu. Każda partia hełmów była testowana. Wszystko w porządku, aż tu nagle przyjeżdża pan, który powołuje się na wiceministra obrony narodowej Ukrainy i mówi, że należy mu się 10 proc. Od tej pory wszystko jest źle, sprzęt okazuje się badziewiem i nie dochodzi do odbioru.

Na jakiej podstawie?

Formalnej. Według umowy mieli odbierać sprzęt z naszego magazynu w Pionkach. Odbywało się to tak, że sprzęt czekał na nich w urzędzie celnym w Radomiu i po odprawie wszystko jechało na wschód. Pewnego razu odbiorcy jak zwykle przyjechali do Radomia. Wyciągnęli umowę i mówią: „Piotr, ale odbiór miał być w Pionkach". Mówię, że w Pionkach nie ma urzędu celnego. W odpowiedzi słyszę: „Umowa to umowa, my tego odebrać nie możemy". Zapakowali się i pojechali do domu. A ja zrozumiałem, że jest już naprawdę źle.

I co się stało z hełmami?

Do tej pory leżą w naszym magazynie, czekają na odbiór, do ceny oczywiście doliczamy koszty składowania. Mam kilkadziesiąt pism wzywających Ministerstwo Obrony Ukrainy do ich odebrania. Zgodnie z umową czekają w Pionkach. Dzwonił nawet wiceminister Denys Szarapow, żeby im dostarczyć, ale mówię: „Są w Pionkach, zgodnie z umową".

Dużo tego?

20 tys. sztuk. Trochę rozdałem za darmo, bo jak ktoś prosi, to niech sprzęt ratuje życie, a nie niszczeje w magazynie. Ale ogólnie to dwie dywizje bym tym obdzielił. Pieniądze zamrożone. Kłopoty. Z kamizelkami sytuacja była podobna. Dostarczaliśmy sprzęt renomowanej norweskiej firmy NFM, której zostaliśmy przedstawicielem na Ukrainę. Bardzo długo były dobre, aż nagle przestały. Mam dokumenty z Ministerstwa Obrony Ukrainy potwierdzające, że sprzęt spełnia ich oczekiwania i przeszedł testy. Tylko od nas nie odbierają. Z tytułu tej umowy ministerstwo obrony ma wobec nas dług na kilkadziesiąt milionów euro.

Kolejny zarzut „Ukraińskiej Prawdy" dotyczy umów z kwietnia 2022 r. na dostawę „kilku" haubic Goździk: „Goździki, choć wszystkie dotarły, są w takim stanie, który zdecydowanie ▶

© KOSTIANTYN LIBEROV/LIBKOS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 13db1c51da

▶ nie odpowiada klasie technicznej zadeklarowanej w umowie, i Ministerstwo Obrony Ukrainy próbuje teraz wyegzekwować od dostawcy odszkodowanie".

„Kilka" to jawna pomyłka, bo Alfa dostarczyła 70 tych armatohaubic. Bez przedpłaty. Broń pochodziła z Bułgarii. A jakość była bez zarzutu, bo to nie był sprzęt robiony na chybcika pod wojnę. Wiem, bo odkupowałem sprzęt, który sam sprzedałem Bułgarom. Mieli je odsprzedać do Angoli, ale tamten kontrakt im nie wyszedł.

Nowe nie były, Goździki przestaliśmy produkować w 1994 r.

Na długo przed wojną w Ukrainie kupiłem od Agencji Mienia Wojskowego większą ilość tego sprzętu. Połowa to był złom i w takim celu to kupowałem. Ale część nie była tak wyeksploatowana. Te właśnie poszły do Bułgarii, gdzie potrafili ten sprzęt przywracać do życia. I nie za pomocą świeżej farby, ale dali tam nowe lufy, nowe gąsienice. Rozebrali wszystko do ostatniej śrubki i złożyli na nowo. Egzemplarze, które pojechały potem na wojnę w Ukrainie, wybierałem osobiście z zaufanymi mechanikami z Polski. Mamy pismo z ukraińskiego ministerstwa, że Goździki został przyjęte bez uwag i oddane do eksploatacji. W podobny sposób dostarczaliśmy wyrzutnie Grad (50 sztuk) i transportery gąsienicowe MT-LB (50 sztuk). Szukaliśmy przechodzonego sprzętu, który był w dobrym stanie i nadawał się do walki, ale o tym „Ukraińska Prawda" nie wspomniała.

Wspomniała za to, że również w kwietniu 2022 r. podpisał pan umowy na dostarczenie amunicji 122 mm do haubic D-30 oraz rakiet 122 mm do wyrzutni Grad: „Amunicji do D-30 z dużym opóźnieniem przyjechała tylko jedna dziesiąta, rakiet do Grada – jedna trzecia".

Na początku łatwo było podpisywać kontrakty i dostarczać sprzęt, bo mało kto był gotowy handlować z Ukrainą. Jednak szybko pojawiła się ogromna konkurencja, także ze strony Ukraińców, którzy m.in. przejęli kilka polskich spółek z koncesjami i kontaktami i w ten sposób omijali różnego rodzaju embarga i ograniczenia. Różni konkurenci zaczęli wywierać presję cenową, a z czasem podbierać kontrakty. No i bezpośrednio działać już w Bułgarii, gdzie wcześniej nie mieli czego szukać ze względu na postawę tamtejszego rządu.

Bułgaria była kluczowa, bo miała dobrze zaopatrzone magazyny.

Zgadza się. I teraz powróćmy do niezrealizowanego kontraktu na rakiety 122 mm do Gradów. Kupiłem 20 tys. tych rakiet w Bułgarii. Zapłaciłem 100 proc. przedpłaty. Przyjeżdżamy ciężarówkami po odbiór. Na spotkanie wychodzi dyrektor fabryki: „Daragoj Piotr! Idziemy do restauracji!". „Można, ale gdzie moja amunicja?". „Daragoj, daragoj! Nastąpiła pomyłka!". Pytam: „Kto zabrał moje rakiety?".

Kto?

Pan P., znany na rynku handlu bronią ukraiński przedsiębiorca. Konkurent zaoferował wyższą cenę i jeździł z workami pieniędzy do dyrekcji. Nie było szans na zrealizowanie kontraktu. Kontrakt został rozwiązany za obopólną zgodą, bez kar.

Amunicji 122 mm do haubic D-30 dostarczyliście tylko 10 proc. tego, co w umowie. Co tu się wydarzyło?

Ceny zaczęły bardzo szybko rosnąć. Chcieliśmy zerwać umowę i zwrócić pieniądze. Ministerstwo się nie godziło: „Potrzebna nam ta amunicja, nie zrywajcie, poczekamy". Jednak w końcu umowa została rozwiązana.

„Ukraińska Prawda" pisze, że Alfa chętniej wykonywała kontrakt z państwowym Progresem, bo za pocisk 122 mm do haubic dostawała 1195 euro. W umowie z ministerstwem taki pocisk kosztował tylko 760 euro.

To przekłamanie, bo nie porównywano takich samych pocisków. Te za 1195 euro były z pełnym ładunkiem prochowym, który lata o 7 km dalej. Zwykła ma zasięg 15 km. To zupełnie inna klasa amunicji. Nie może kosztować tyle samo. Niby do tej samej haubicy, ale zupełnie inne parametry, dlatego i cena się różniła. Podobnie było z rakietami – jedne mogły latać na 20 km, inne na 40 km. Jednak tego nie wyjaśniono i czytelnicy mogli dojść do wniosku, że poprzez Progres dostarczamy droższą amunicję, żeby się obłowić.

W czerwcu kolejne umowy: pociski moździerzowe 120 mm (ponad 11 mln euro zaliczki), pociski 152 mm do haubicy Hiacynt (18 mln euro zaliczki), amunicja 152 mm do samobieżnej armatohaubicy Dana (13 mln euro przedpłaty). Wszystkie zerwane, bo nie byliście w stanie ich wykonać.

Częściowo to prawda, że nie byliśmy w stanie wykonać kontraktów. Oficjalnie nikt nie miał do nas pretensji. Jeśli chodzi o rakiety do Grada, dzwoniłem do Departamentu Zaopatrzenia w MON, że chcemy zwrócić pieniądze. Ale oni nie chcieli: „Nie będziemy strzelać pieniędzmi, szukaj dalej amunicji". Podpisaliśmy więc aneks do umowy. W końcu to z mojej inicjatywy zamykaliśmy i rozliczaliśmy te umowy. Doszedłem do wniosku, że nie dam rady dostarczyć tej amunicji. Jednak ciągle handlowaliśmy i do tej pory handlujemy z Ukrainą. Dostarczamy im amunicję, niezależnie od tego, co o nas pisze prasa.

Zacytujemy panu wypowiedź Ołeksija Reznikowa, ówczesnego ministra obrony: „Czytałem śledztwo »Ukraińskiej Prawdy«. Ta firma (Alfa – przyp. red.) rzeczywiście jest jedną z zagranicznych spółek, które podpisały kontrakty z ministerstwem obrony. Takich firm jest wiele i niestety nawet wpływowi gracze na rynku nie zawsze byli w stanie wykonać podpisane kontrakty. Są też ukraińskie firmy, które zerwały dostawy, i amerykańskie. (…) Ta firma zaproponowała nam inne rodzaje pocisków, obecnie sprawdzamy, czy nam odpowiadają. Dalej albo będziemy je dostarczać, albo zażądamy zwrotu zaliczki".

Ta wypowiedź została uznana za potwierdzenie prawdziwości artykułu w „Ukraińskiej Prawdzie". Moim zdaniem minister dał się wypuścić. Wezwaliśmy go do przeprosin, groziliśmy, że podamy go do sądu, ale...

…ale przestał być ministrem. Pamięta pan, dlaczego odszedł?

Za jego czasów dostarczano armii żywność po zawyżonych cenach, to była tzw. afera jajeczna, bo jajko w hurcie kosztowało trzy razy mniej niż to, które trafiało do żołnierza na froncie. Mówi się też, że to była afera 17-hrywnowa, bo po tyle kupowali te jajka.

Niedawno biuro antykorupcyjne przeprowadzało przeszukania u Reznikowa. Prasa pisała o aferze związanej z zakupami systemów walki elektronicznej, dynamicznej ochrony pancerza. Ukraina to chyba trudny rynek?

Kiedy do mnie przyjeżdżali ludzie twierdzący, że zostali przysłani przez wysokich urzędników i domagali się łapówki, to im mówiłem, że w Polsce za taki numer w czasie wojny zostaliby rozstrzelani. Czasem się zastanawiam, czy niektórzy działający tam ludzie mają jakiekolwiek skrupuły. Kiedyś posłaliśmy w ramach pomocy humanitarnej dwa duże generatory: dla armii i dla dziecięcego szpitala onkologicznego. Ten drugi został ukradziony. Była afera jajeczna w armii i co z tego?

eprasa.pl 13db1c51da

Teraz jest kolejna. Już nie o to, że za drogo, ale o to, że do żołnierzy trafia popsute jedzenie. Nie nadpsute, tylko całkiem nienadające się do zjedzenia. Tak było w jednej z jednostek w obwodzie dniepropietrowskim. Zastanawiam się, co zrobią ci żołnierze, kiedy skończy się wojna i wrócą do Kijowa. Może zechcą poszukać ludzi, którzy wysyłali im śmierdzący prowiant?

Kiedy poznał pan Oleksandra Myroniuka?

Kiedy on był wiceministrem obrony, a ja próbowałem im sprzedać dwa okręty typu Tarantula. Wolał zrobić interes z Turkami, a mnie wręcz zwalczał. Miałem wrażenie, że osobiście mnie nienawidził. Kiedy wybuchła wojna, przyszedł do mnie z ludźmi z państwowej spółki Progres handlującej uzbrojeniem. Powiedział, że potrzebują amunicji. Nie stawiali warunków, nie wyciągali ręki po procenty, jak już mówiłem – nie wiem, co na niego mieli. Słyszałem, że założył firmę z Amerykanami i dalej dostarcza broń do Ukrainy. Z tego, co wiem, nie ma zarzutów, jest wolnym człowiekiem.

Pan nie chciał zerwać kontraktów z Progresem.

Nie mogłem. Umowy są dwuletnie. Jak ich nie wykonam, to Progres zażąda kar, po których to ja się nie pozbieram. Ludzie z ukraińskiego ministerstwa mówili do mnie: „Zrywaj, o kary się nie martw, my to załatwimy". Zadzwoniłem do Progresu, powiedzieli, że nic nie wiedzą. Umowy obowiązują, kary umowne również.

A tak po ludzku, to o co w tym wszystkim chodziło?

Po ludzku to moim zdaniem Progres stał ością w gardle Andrijowi Jermakowi, wszechmocnemu szefowi administracji prezydenta Zełenskiego. Wiceminister Denys Szarapow był jego przedstawicielem w ministerstwie obrony. Cały handel miał iść przez niego. To on dzwonił do mnie z propozycją zerwania kontraktów z państwowym przecież Progresem. To wysłany przez niego człowiek, ten dżentelmen o szczerym sercu, proponował, żeby Alfa za możliwość współpracy z Ukrainą odpalała 10 proc. łapówki. Wykolegujemy Progres i od tej pory będziemy działali „pięknie i w porozumieniu". Ludzie, o których się mówiło, że są od Jermaka, brali 10 proc. od takich umów. Alfa świeciła im się na czerwono i stwierdzili, że trzeba skończyć z tą samowolką.

I jak miał pan mu dać te 10 proc.? W reklamówce?

Nie wiem, nie zdążył powiedzieć, bo rozmowa mi się znudziła.

Może trzeba było się zgodzić?

Nasza prowizja wynosi ok. 10 proc. Czasem trochę mniej, czasem trochę więcej. Jak będę dawał 10 proc. łapówki, to sam pójdę z torbami.

Podobno chciał pan dostarczać sprzęt bezpośrednio do brygad.

Miałem taki pomysł, ale na mnie był już zapis. Znajomi powiedzieli, żebym nawet się nie starał, bo nic z tego nie wyjdzie. Najlepiej, żebym się dogadał z ministerstwem obrony i wyzerował wszystkie roszczenia.

Wiemy, że odbywały się posiedzenia w sądzie arbitrażowym.

Mieli roszczenia wobec nas, my mieliśmy roszczenia wobec nich. Odbyły się mediacje, do których włączyło się Ministerstwo Sprawiedliwości Ukrainy. Mieliśmy wideokonferencje. Rekomendacja ministerstwa sprawiedliwości była taka, żeby ministerstwo obrony szło na ugodę z Alfą: „Więcej im jesteście winni niż oni wam". Ugoda była gotowa, mieliśmy się rozejść bez roszczeń. Ale w ministerstwie zmieniła się ekipa i okazało się, że nie ma ugody.

Piotr Sapieżyński
(ur. 1975 r.), z wykształcenia kryminolog. Prezes spółki Alfa, ma koncesję na handel bronią. Zajmuje się też złomowaniem okrętów.

Awantura z ministerstwem szkodziła interesom?

Mocno. Był taki kontrakt na amunicję 155 mm. Zawarłem go z Progresem, towar znalazłem we Włoszech. Progres wysłał pieniądze – 35 mln euro na moje konto. Włosi nagle zadzwonili do mnie: „Nie wysyłaj kasy, musimy zerwać umowę". Dodali, że przykaz mają od swojego ministerstwa, ktoś na nich nacisnął, a w Polsce grozi mi aresztowanie. Zwróciłem pieniądze Progresowi. Na szczęście. W Ukrainie w firmie Progres zaczęły się aresztowania. W Polsce 17 stycznia 2024 r. Główny inspektor informacji finansowej złożył do prokuratury zawiadomienie, że Alfa pierze pieniądze. Myślę, że próbowano doprowadzić do mojego aresztowania. Zanim bym się wytłumaczył, to wszyscy by już napisali: „Złodziej chciał okraść ministerstwo obrony". Nie było jednak powodu, bo zwróciłem zaliczkę.

A dlaczego wcześniej nie mówił pan nikomu o dżentelmenie o szczerym sercu i jemu podobnych?

Tu się panowie mylicie. Niedługo po „włoskiej przygodzie" znów wokoło mnie zrobiło się gorąco. Pamiętacie?

9 kwietnia 2024 r. w Alfie odbyło się przeszukanie.

Otóż to. Było to w ramach pomocy prawnej, o którą zwróciła się strona ukraińska do strony polskiej. Rankiem, o godz. 6, do mojego domu zapukała policja wraz z agentami NABU, czyli ukraińskiego biura antykorupcyjnego. Później byłem również przesłuchiwany i do protokołu zeznałem też o tym, że była próba wymuszenia łapówki. Niczego nie ukrywałem. Moim zdaniem to przeszukanie to miał być jasny przekaz, że z Alfą coś jest nie tak i trzeba nas omijać. Jeszcze w trakcie przeszukania poszły foty na media społecznościowe, co utwierdza mnie w przekonaniu, że była to pokazówka.

Kiedy byłem przesłuchiwany, powiedziałem o mechanizmie korupcyjnym, w jaki chciano mnie wmontować. Wymieniłem nazwiska i szczegóły propozycji. Mam nadzieję, że NABU coś zrobiło z tą wiedzą.

Zaraz pan powie, że Jermak przestał być szefem administracji prezydenta Zełenskiego przez pana.

Bez przesady. Według mojej wiedzy ta dymisja niewiele zmieniła. Jermak ciągle jest, działa, ale nie urzęduje w biurze. Pociąga za sznurki.

Ile Ukraińcy byli panu winni?

Moje szacunki to 47 mln euro. Ja im – 24 mln euro. Sprawy poszły do sądów. W Ukrainie przegrałem wszystkie postępowania. Nawet nie wspomnę, w jakim stylu. Widać było, że nawet sędziowie nie czuli się komfortowo w trakcie tych postępowań. Jak mogli, to uwalali z przyczyn formalnych bez rozpatrywania sprawy merytorycznie. Mnie to nawet cieszy, bo skoro wyczerpałem drogę sądową tam, to mogę spokojnie rozpocząć drogę sądową w Polsce.

O honor, o pietruszkę czy jednak o sałatę?

Pieniędzy nikt mi nie odda. Reputacji zszarganej też się raczej nie naprawi, bo jak człowieka umoczą, to żaden sąd go nie oczyści. Ale honor to ważna rzecz. Może gdybym go miał mniej, to nie byłoby tej całej rozmowy.

ROZMAWIALI JULIUSZ ĆWIELUCH I PAWEŁ RESZKA

© JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl 13db1c51da

RYNEK

Co nam państwo zbuduje

Rozmowa z Tomaszem Lewandowskim, wiceministrem rozwoju i technologii, o tym, jak uzdrowić budownictwo komunalne oraz ile dostępnych cenowo mieszkań naprawdę powstanie.

CEZARY KOWANDA: **– Na początku lat 90. mieliśmy 2 mln mieszkań komunalnych. Teraz, jak wynika z danych GUS, zaledwie ok. 750 tys., a zasiedlonych jest jeszcze mniej, bo 680 tys. Dlaczego tak mało?**

TOMASZ LEWANDOWSKI: – Bardzo wiele zostało przez samorządy sprzedanych, często za niewielką część rzeczywistej wartości. Gminy tłumaczyły przez lata, że nie mają środków na remonty, więc z ich punktu widzenia najlepiej się pozbyć takich mieszkań. Bardzo źle oceniam taką politykę wyprzedaży zasobu komunalnego. Nie da się tych decyzji cofnąć, ale chodzi przynajmniej o to, żeby nie kontynuować tej wyprzedaży.

Teraz Lewica, której jest pan członkiem, chce zakazać gminom sprzedaży takich mieszkań z rabatami dla dotychczasowych najemców.

Tak, bo dzisiaj nie można już tłumaczyć się brakiem pieniędzy. Samorządy mają szansę dostać nawet 85 proc. środków potrzebnych na remonty kamienic i pustostanów. Podstawowy argument za wyprzedażą takich lokali zatem zniknął. A dlaczego tak wiele mieszkań należących do samorządów stoi pustych? To przede wszystkim kwestia skutecznego zarządzania – zwalniany lokal powinien w ciągu maksymalnie kilkudziesięciu dni być ponownie zasiedlony. Przykład Poznania pokazuje, że to możliwe.

Jednak samorządy w większości patrzą na mieszkania komunalne jak na problem. Trzeba je nie tylko remontować, ale jeszcze zmagać się z niepłacącymi lokatorami.

Tymczasem gminy powinny traktować takie lokale nie jako obciążenie, a jako szansę na rozwój. Dzięki nim mogłyby ściągać do siebie pracowników, których brakuje – na przykład nauczycieli czy pielęgniarki. Oczywiście trzeba przy tym prowadzić mądrą politykę czynszową. Empatia nie może oznaczać naiwności i pobłażliwości dla tych, którzy mimo naprawdę niewielkich opłat nie chcą ich ponosić. Niestety, wiele gmin reaguje dopiero po kilku latach, gdy dług urośnie

eprasa.pl 13db1c51da

Nowo powstałe osiedle z mieszkaniami komunalnymi w Kłodzku

© PIOTR SKÓRNICKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, WOJCIECH KOZIOŁ/FORUM

do ogromnych rozmiarów. Nie organizuje się eksmisji mimo znacznego zadłużenia. W takiej sytuacji posiadanie mieszkań komunalnych jest dla samorządów rzeczywiście problemem. My proponujemy, żeby patrzeć na nie jak na część infrastruktury gminy, takiej jak na przykład szkoły, przedszkola, drogi czy parki.

Im bardziej malała liczba mieszkań komunalnych, tym bardziej wydłużały się po nie kolejki. Ale ostatnio one maleją. Wiele gmin problem rozwiązało drastyczną metodą: wprowadzając tak niskie kryteria dochodowe, że nawet osoby naprawdę mało zarabiające nie mają szans ich spełnić.

Chcemy to zmienić i ustalić zasady obowiązujące w całej Polsce. W przypadku singli próg dochodowy wynosiłby 80 proc. przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia, a dla większych gospodarstw domowych 60 proc. przeciętnej pensji na osobę. Gminy mogłyby jeszcze podnieść te progi, ale nie mogłyby już ich obniżyć. Dzisiaj rzeczywiście w wielu miejscach kryteria spełniają tylko korzystający z opieki społecznej albo pracujący w szarej strefie. Poza tym chcemy zlikwidować absurdalne kryterium metrażowe, które uzależnia szansę na lokal komunalny od tego, ile metrów kwadratowych w dotychczasowym mieszkaniu przypada na osobę składającą wniosek.

Ale poluzowanie tych wszystkich wymagań może oznaczać, że w wielu gminach wrócą długie kolejki.

To nam właśnie pokaże, jakie są rzeczywiste potrzeby. Ile mieszkań komunalnych i gdzie powinno powstać? Bo teraz nie mamy takiej wiedzy. Skoro wiele osób z góry zakłada, że nie ma szans skorzystać z lokali należących do miasta, nie składa nawet wniosków. Z góry traktuje w swoich analizach mieszkania komunalne jako niedostępne. Żyjemy w świecie fikcji, a potrzebujemy poznać realny obraz sytuacji.

Ten realny obraz to też bieżąca weryfikacja najemców pod kątem dochodów?

Tak, przepisy pozwalające na to wprowadził PiS, ale mamy do czynienia z bublem prawnym. Można tylko sprawdzać dochody tych, którzy zawarli umowy najmu po 2019 r. Dlaczego? To efekt zgniłego kompromisu, bo pierwotna treść projektu zakładała weryfikację dochodów wszystkich lokatorów. Wiele gmin zresztą się boi i dochodów najemców w ogóle nie weryfikuje. Równocześnie w strachu żyją lokatorzy, którzy zaczęli lepiej zarabiać, bo po przekroczeniu ustalonego w gminie progu dochodów czynsz rośnie drastycznie. Chcemy to zmienić: ustalić próg ogólnopolski i wprowadzić podwyżki proporcjonalne do jego przekroczenia, aby nie było żadnego szoku. Nie chodzi o to, żeby karać za wyższe dochody i z mieszkań komunalnych kogokolwiek wyrzucać, tylko o sprawiedliwe zasady. Kto lepiej zarabia, a korzysta z zasobu gminnego, musi zdecydować: czy jest gotów więcej za to zapłacić (ale wciąż znacznie mniej niż w przypadku najmu komercyjnego), czy też decyduje się wyprowadzić i wybiera wolny rynek?

Czy elementem sprawiedliwości społecznej ma być też zamknięcie drogi do automatycznego dziedziczenia umów najmu?

Tak. I znów nie chodzi tu o żadną bezduszną rewolucję. Kto mieszkał z dotychczasowym najemcą, może po jego śmierci wystąpić o zawarcie nowej umowy najmu. Ale wówczas zostaną pod uwagę wzięte jego dochody i inne posiadane nieruchomości mieszkalne. Jeśli uzyskuje dochody powyżej limitu dochodowego, zapłaci po prostu podwyższony czynsz. Jeśli jednak posiada inne mieszkanie albo dom jednorodzinny, będzie musiał się wyprowadzić z tego lokalu komunalnego. Trzeba skończyć z sytuacją, w której osoby świetnie sytuowane i posiadające własne nieruchomości z automatu stają się najemcami mieszkań komunalnych i korzystają potem latami z preferencyjnego czynszu. Musimy zmienić sposób myślenia o takich mieszkaniach. Mają one służyć nie kilku procentom Polek i Polaków, ale całemu społeczeństwu. Każdy może na pewnym etapie życia znaleźć się w trudniejszej sytuacji i wówczas powinien mieć dostęp do takich lokali. Jeśli jednak jego położenie się poprawi, musi albo opuścić mieszkanie komunalne, albo płacić za nie więcej.

Poprzednie rządy stawiały na dopłaty do kredytów hipotecznych, np. słynny Bezpieczny Kredyt 2 proc. za rządów PiS. Teraz takich dopłat nie ma.

I nie będzie, udało się osiągnąć w koalicji porozumienie na ten temat. Wszyscy zgadzamy się co do tego, że państwo powinno się skupić na budowie stabilnej i silnej oferty najmu – zarówno publicznego, jak i prywatnego. Chodzi o to, żeby był realny wybór między własnością a najmem. Nie na rok czy dwa, ale na całe życie.

Ale przecież Polacy mają w sobie kult własności. To się chyba nie zmienia?

Gdy byłem wiceprezydentem Poznania dekadę temu, prowadziliśmy w tym mieście ciekawe badania preferencji mieszkaniowych. Wynikało z nich, że ludzie starsi, wychowani w PRL, są rzeczywiście bardzo przywiązani do własności. Wśród młodszych chęć posiadania jest już dużo mniejsza. Dla nich najważniejsza okazuje się stabilność umowy najmu. Zastanawiają się na przykład, co będzie na emeryturze, gdy będą mieli mniejsze dochody. Decydują się na zakup ▶

eprasa.pl 13db1c51da

▶ nieruchomości nie z powodu marzenia o własności, ale z powodu obaw o niestabilność najmu i wysokości czynszu w jesieni życia.

A jak sprawić, żeby był stabilny? Przecież dla wszystkich chętnych mieszkań komunalnych nie starczy.

Dlatego właśnie inwestujemy w budownictwo społeczne, o umiarkowanych czynszach – wyższych od tych komunalnych, ale niższych od komercyjnych. 4 mln rodzin w Polsce jest w luce czynszowej: za bogaci na najem komunalny, ale jednocześnie kupowanie czy wynajmowanie mieszkań na wolnym rynku jest dla nich ogromnym obciążeniem.

Rozwiązaniem problemu miały być Towarzystwa Budownictwa Społecznego i wprowadzone za PiS Społeczne Inicjatywy Mieszkaniowe.

Tak, to drugi element obok budownictwa komunalnego. Łącznie na politykę mieszkaniową tylko w tym roku przeznaczymy 8,7 mld zł – 6,7 mld z budżetu oraz dodatkowo 2 mld zł z Krajowego Planu Odbudowy. Pozwoli to wybudować i wyremontować łącznie ok. 18 tys. lokali. To już konkretne liczby, a nie żadne niezrealizowane obietnice jak słynne 100 tys. mieszkań za czasów PiS.

Ale akurat Społeczne Inicjatywy Mieszkaniowe budzą spore kontrowersje. Na razie głównie zapewniają posady zamiast budować osiedla.

Kłopot polega na tym, że za poprzedniego rządu zmuszono wiele mniejszych gmin, aby tworzyły SIM. W ten program wpompowano już ogromne pieniądze. Z Funduszu Rozwoju Mieszkalnictwa każdej uczestniczącej gminie wypłacono 3 mln zł oraz 10 proc. wartości przyszłej inwestycji. W tym samym czasie w Funduszu Dopłat, z którego korzystają TBS i gminy realizujące budownictwo komunalne, utworzyła się kolejka wniosków, bo brakowało środków. Czyli zamiast wydawać mądrze publiczne pieniądze na to, co jest najbardziej potrzebne – budowanie mieszkań, tworzono spółki, w których dopiero teraz ruszają inwestycje.

A czy są one w ogóle potrzebne?

Teraz właśnie weryfikujemy, gdzie SIM mają sens. Są bowiem gminy wiejskie, gdzie do tej pory w ogóle nie było bloków albo innego budownictwa wielorodzinnego. Ten stawiany przez SIM ma być pierwszy i nie przeprowadzono nawet analiz, czy będą chętni na podobne mieszkania. W przypadku TBS wątpliwości nie ma – zainteresowanie takimi inwestycjami jest ogromne. Na przykład w Szczecinie czy Katowicach na jedno mieszkanie w TBS mieliśmy kilkudziesięciu chętnych. Tymczasem na przykład w SIM Śląsk Północ przez rok nie udało się zasiedlić nowych lokali i trzeba nawet płacić pośrednikowi, aby ten znalazł chętnych.

To może na budownictwo społeczne wcale nie ma takiego wielkiego popytu?

Jest, ale nie wszędzie. Pamiętajmy, że w przypadku niektórych inwestycji SIM mówimy o wysokich wpłatach partycypacyjnych sięgających 25–30 proc. kosztów budowy mieszkania. Potem czynsz jest na poziomie średnio 25–27 zł za metr, czyli też wyraźnie wyższy od komunalnego. W dużych miastach nie ma żadnego problemu ze znalezieniem chętnych na TBS czy SIM, bo tam oferta deweloperska czy na rynku wtórnym jest i tak dużo droższa. Ale w małych miejscowościach sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Koszty uczestnictwa w SIM mogą okazać się za wysokie. Trzeba zatem zracjonalizować ten program. Inwestycje muszą powstawać tam, gdzie są naprawdę potrzebne. W niektórych gminach być może należy skupić się tylko na budownictwie komunalnym, bo właśnie takie lokale są tam potrzebne.

> Na politykę mieszkaniową przeznaczymy w tym roku 8,7 mld zł – 6,7 mld z budżetu oraz dodatkowo 2 mld zł z Krajowego Planu Odbudowy. Pozwoli to wybudować i wyremontować łącznie ok. 18 tys. lokali.

Z TBS czy SIM jest jeszcze jeden problem. Najemcy oczekują, że kiedyś staną się właścicielami.

Trzeba jasno powiedzieć: to, co zostało do tej pory wybudowane w ramach TBS – a mówimy o ok. 114 tys. lokali – nigdy nie było pomyślane jako mieszkania docelowo własnościowe. Teraz pojawiają się różne oczekiwania najemców, którzy przekonują na przykład, że ktoś kiedyś obiecał im dojście do własności po iluś latach – i to pomimo tego, że do 2011 r. obowiązywał ścisły ustawowy zakaz wykupu tych mieszkań. Nie powinno być takiego mechanizmu. Projektujemy instrumenty, które pomogą lokatorom TBS płacić niższy czynsz, np. gdy ich dochody po przejściu na emeryturę spadną, ale nie zgadzam się na prywatyzację mieszkań społecznych.

Czy tak samo ma być z inwestycjami w ramach SIM?

Należy wszystko jasno wyjaśnić na samym początku i zapisać w umowach. Jeśli ma być droga dojścia do własności, musi ona zostać ściśle określona – po ilu latach byłoby to możliwe i na jakich warunkach. Uważam, że trzeba rozgraniczyć dwie formy budownictwa społecznego. Jeżeli budynki powstają z bezzwrotnych grantów z budżetu państwa, które są uzupełnione preferencyjnym kredytem z BGK, to żadnego dochodzenia do własności być nie może, bo byłoby to po prostu nieuczciwie wobec podatników. Jeśli natomiast inwestycja jest realizowana w oparciu wyłącznie o pożyczki, a nie granty, to takie dojście do własności – oczywiście w dłuższej perspektywie – można sobie wyobrazić.

Pieniędzy na budownictwo społeczne rzeczywiście przybywa. Ale czy na pewno są one dobrze wydawane?

Staramy się, żeby tak było. Tylko w tym roku zabezpieczyliśmy na bezzwrotne granty na remonty i budowę mieszkań aż 4 mld zł. Z tego 45 proc. idzie na budownictwo komunalne, a 35 proc. na SIM i TBS. Oczywiście razem ze wzrostem środków musi iść racjonalizacja ich wydawania. Trafiają do nas czasem od gmin absurdalne wyceny remontów, sięgające 30 tys. zł za metr kwadratowy. Na to nie ma i nie będzie naszej zgody. Chcemy wspierać samorządy, ale nie ślepo, tylko na uczciwych zasadach. Nie godzę się na marnotrawstwo, którego w przeszłości, niestety, nie brakowało. Dajemy do dyspozycji dużo większe pieniądze niż kiedykolwiek wcześniej, ale zapewniam, że wszystkich korzystających z nich będziemy skrupulatnie rozliczać.

ROZMAWIAŁ CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 13db1c51da

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY

WYDANIE DOSTĘPNE TAKŻE Z AKCESORIAMI DO WŁOSÓW **INVISIBOBBLE**

ZWIERCIADLO.PL

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

MagazynZwierciadlo zwierciadlo_miesiecznik sklep.zwierciadlo.pl

eprasa.pl 13db1c51da

Gospodarstwa i grunty w gminie Wiskitki, które zostały wykupione i wywłaszczone pod Port Polska

Życie 2.0 w skali 1:2

Odbudowanie życia po wywłaszczeniu okazuje się niezwykle trudne. Ludzie, którzy oddali swoje gospodarstwa pod strategiczne lotnisko i szybką kolej, nie mają się dokąd przenieść.

MARCIN PIĄTEK

Gospodarstwa opustoszały, budynki otoczono plastikowymi taśmami, wbite na działkach tabliczki przestrzegają, że na posesje wstęp wzbroniony, gdyż jest to obecnie własność Centralnego Portu Komunikacyjnego, a wtargnięcie będzie skutkować zgłoszeniem na policję. Miejscowości w gminach Baranów, Teresin i Wiskitki, przeznaczone pod największe w Polsce lotnisko, to dziś – jak powtarzają ich wysiedleni mieszkańcy – wioski duchów.

Budynki wyburzono, wiele działek już zniwelowano, pozostałe nieliczne gospodarstwa wkrótce czeka ten sam los, a 4 tys. ha najlepszych ziem na Mazowszu (ponad 80 proc. przejętych gruntów to II i III klasa) stopniowo wyłączanych jest z produkcji rolnej. Docelowo zostaną zalane betonem. Sprawę przesądził nadany w grudniu przez wojewodę mazowieckiego rygor natychmiastowej wykonalności dla decyzji lokalizacyjnej lotniska. Termin wyprowadzki przypadł na wczesny luty; był siarczysty mróz, w Polskę poszły obrazki pakowanego i wywożonego dobytku.

– *Dla tych, którzy nie zwlekali z wyprowadzką, przewidziano 5-procentowy bonus od wysokości odszkodowania, które jednak wciąż wyliczano, kwota nieznana. Część właścicieli na to przystała, co wystarcza władzom spółki CPK, by formułować narrację o tym, że nie mamy do czynienia z wywłaszczeniami, ale dobrowolnym wydaniem nieruchomości. Niektórzy wykonali wcześniej zasiewy. Wciąż nie mają pewności, czy dostaną pozwolenie, by zebrać plony* – opowiada Barbara Czerniawska, prezes fundacji i kancelarii prawnej INLEGIS, która reprezentuje wywłaszczanych.

Największe polskie lotnisko nie jest już określane mianem Centralnego Portu Komunikacyjnego. Teraz nazywa się Port Polska, choć inwestycją wciąż zarządza spółka CPK. Nowy szyld był potrzebny, bo poprzedni kojarzył się z projektem lansowanym za rządów PiS, a ówczesna opozycja miała wobec niego mnóstwo zarzutów. Jej prominentni politycy grzmieli o „barbarzyńskiej inwestycji", dla której „nie ma gospodarczego, ekonomicznego ani społecznego uzasadnienia", w apogeum kampanii wyborczej 2023 r. spotykali się z protestującymi przeciw wywracaniu ich życia do góry nogami i obiecywali, że budowa na „ludzkiej krzywdzie" nie dojdzie

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 13db1c51da

do skutku. Po wyborczej wygranej wykonali jednak spektakularny zwrot. Projekt został w niewielkim stopniu zmodyfikowany, wykrojono nawet oszczędności: budżet spadł ze 155 do 131 mld zł. Jest niemożliwy do weryfikacji, a eksperci mający rozeznanie w faktycznych kosztach tego rodzaju inwestycji twierdzą, że równie niemożliwe jest to, by się w nim zmieścić.

Wrócił temat wykupów, wycen, negocjacji, a dla najbardziej opornych – wywłaszczeń. Projekt nabrał impetu, gdyż realizująca go obecnie ekipa starała się odróżnić od poprzedników, którym zarzucała zarządzanie łąką, a przy okazji dorabianie się na stołkach prezesów i pełnomocników. – *W czasach PiS przedstawiciele spółki, jak i Marcin Horała* (rządowy pełnomocnik ds. budowy, obecnie poseł PiS – przyp. red.), *co rusz zapowiadali przyspieszenie. Tymczasem niewiele się działo. Raz ich posłuchałem, nie kupiłem nawozów i sadzonek na nowy sezon, potem w pośpiechu musiałem to nadrabiać, straciłem grube pieniądze* – mówi Piotr, jeden z 75 gospodarzy objętych wywłaszczeniem. Pozostawił w gminie Teresin rozbudowany niedawno dom i gospodarstwo na 20 ha własnej ziemi. Dzierżawił też niemal 80 ha od sąsiadów, uprawiał młodego ziemniaka, kapustę, kukurydzę i pszenicę.

Program Dobrowolnych Nabyć został wznowiony, a następnie przedłużony do kwietnia 2025 r. – *Zachęcano nas, że sprzedając dobrowolnie, dostaniemy wyższą cenę niż wskutek wywłaszczeń. Następne były groźby, że gdyby do wywłaszczenia doszło, w grę wchodzić może tylko kawałek gruntu potrzebny konkretnie pod inwestycję. Czyli masz działkę 4 ha, a wojewoda weźmie hektar i za tyle dostaniesz odszkodowanie* – mówi Piotr.

W listopadzie ubiegłego roku znowelizowano ustawę o CPK, dodając, że ma ona wymiar „prospołeczny". – *To określenie jest farsą. Jedynym beneficjentem zmian jest inwestor. Może zajmować nieruchomość i korzystać z niej, zanim zakończy się cała procedura związana z wypłatą odszkodowania. W ustawie zapisano, że wojewoda ma na określenie wysokości odszkodowania maksymalnie 60 dni, ale to martwy przepis. Zresztą sam wojewoda przyznał, że się w tym terminie nie zmieści* – mówi Barbara Czerniawska.

Ci, którzy trwali do końca, odchodzą na razie z pustymi rękami. – *Odszkodowanie jest zagadką. Może będzie w maju. A jeśli się z nim nie zgodzę? Pozostaje odwołanie, a ile potrwa jego rozpatrzenie, nie wiadomo. Na razie wynająłem w okolicy dom, dzieci chodzą tu do szkoły, nie chcę im robić rewolucji. Płacimy za niego kilka tysięcy co miesiąc, żyjemy z oszczędności. I jestem bezrobotny* – dodaje Piotr.

Maj jako termin wypłaty pełnego odszkodowania za wywłaszczenie to optymistyczny scenariusz. Zdaniem Barbary Czerniawskiej nie do zrealizowania: – *Mamy potwierdzenie, że spółka odwołała się od kilkunastu decyzji o wysokości odszkodowania* (wojewoda wydał ich jak na razie 37 – przyp. red.). *W efekcie wydłuży to całe postępowanie nawet o półtora roku. Wywłaszczeni mogą, mimo zastrzeżeń CPK co do operatów zleconych przez wojewodę, wystąpić o zaliczkę w wysokości 85 proc. kwoty odszkodowania. Otrzymują ją w ciągu 30 dni, ale w wielu przypadkach ta brakująca część jest niebagatelna dla budowania nowego życia.*

Zresztą nawet jeśli uda się uporać ze wszystkimi formalnościami, to aby ▶

REKLAMA

POLITYKA **Zaprenumeruj nasz tygodnik przez** InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę** do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka** przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz** niż w punktach sprzedaży

679 zł za rok
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~16~~ 13 zł za numer

359 zł za pół roku
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~16~~ 13,80 zł za numer

blik PayU

InPost

Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

eprasa.pl 13db1c51da

▶ otrzymać pełne odszkodowanie, najpierw musi dojść do uprawomocnienia się decyzji lokalizacyjnej dla lotniska. Tymczasem jej wciąż nie ma. Nie uprawomocniła się również decyzja środowiskowa. Niewyczerpanie ścieżki administracyjnej wiązało ręce prącym do wywłaszczeń władzom lotniskowej spółki. Ale rozwiązała im je wspomniana nowelizacja, wprowadzająca rygor natychmiastowej wykonalności nawet dla decyzji nieostatecznych. Posłowie poparli takie rozwiązanie przez aklamację.

Według informacji z biura prasowego Portu Polska w ramach dobrowolnych nabyć udało się pozyskać 2555 działek o łącznej powierzchni 2540 ha, co stanowi 65 proc. powierzchni przeznaczonej pod inwestycję. Spółka odmówiła podania informacji, ile do tej pory łącznie kosztowały nabycia. Na zakupionych gruntach CPK zresztą zarabia – aż 1 tys. ha ponownie wydzierżawiono rolnikom – dzięki czemu inkasuje 3,2 mln zł rocznie.

Średnia powierzchnia pozyskanych działek to niespełna hektar, co potwierdza, że na palcach jednej ręki można policzyć dużych i prężnych rolników, którzy się ugięli, sprzedali i postanowili odbudować gospodarstwo gdzie indziej. – *Oferta nieruchomości zastępczych z puli Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa to był żart* – mówi Piotr. Państwowy inwestor kusił właścicieli wyceną odpowiadającą wartości odtworzeniowej nieruchomości. W praktyce okazała się korzystna przede wszystkim dla tych, którzy mieszkali w starych, zaniedbanych, energochłonnych domach i mieli wokół nich spłachetek ziemi. Wartość odtworzeniowa w sensie ścisłym oznaczała, że dostawali pieniądze na budowę lub kupno domu o podobnym metrażu w nowej technologii. Ewentualnie zakup mieszkania i porzucenie życia na wsi.

– *W większości przypadków ziemia była wyceniana bardzo niekorzystnie. Taniej niż dwie dekady temu, gdy w okolicy sprzedawano działki pod budowę autostrady A2. Oddelegowani do negocjacji z mieszkańcami pracownicy CPK włożyli wiele wysiłku, by rozeznać się w ich sytuacji życiowej, możliwościach, słabościach, jak również kondycji intelektualnej. I bezwzględnie to wykorzystywali* – mówi Barbara Czerniawska.

Piotr: – *Mnie zaproponowano ładnych parę milionów. Wydaje się, że to kupa pieniędzy i tylko głupi by nie wziął. Ale gdy zacząłem liczyć, okazało się, że wystarczyłoby na wznowienie działalności mniej więcej w połowie skali. A działek musiałbym szukać nawet 100 km dalej.*

W portalach ogłoszeniowych ceny atrakcyjnych działek rolnych w okolicy zaczynają się od 40–50 zł za metr. – *Mnie zaproponowano 25 zł za metr. A gdzie budowa domu, budynków gospodarczych, magazynu?* – pyta. I dodaje, że nieznającym się na rolnictwie umykają niuanse. – *Miałem na swojej ziemi studnie, a znalezienie działki z wodą na Mazowszu nie jest łatwe. Miałem doprowadzony prąd. Załatwienie przydziału mocy zajęło mi dwa lata, a formalności związane z odłączeniem trwały dwie minuty. Tu miałem sąsiadów i przyjaciół, na których mogłem liczyć. Pomagaliśmy sobie w potrzebie. W nowym miejscu będę obcy, stanę się konkurentem, trudno tam będzie liczyć na życzliwość.*

Odwołania spółki CPK od decyzji wojewody o wysokości odszkodowania za wywłaszczenie mają podziałać mobilizująco na tych, którzy wciąż rozważają dobrowolne zbycie nieruchomości. Czyli mających pecha znaleźć się na kursie kolizyjnym z siecią Kolei Dużych Prędkości, budowaną w dużej mierze na potrzeby obsługi lotniska i zresztą nadzorowaną przez spółkę CPK. Ich sytuacja wygląda następująco: dostaną tyle, na ile nieruchomość wyceni rzeczoznawca powołany przez CPK, a za miejsce wybrane na życie po życiu muszą zapłacić tyle, ile zawoła sprzedający. Strony równania się nie zgadzają. – *Ceny rosną i rosną. Działki budowlane skoczyły czterokrotnie. W powiecie łowickim standard to już 150–200 zł za metr. Bliżej miasta – jeszcze drożej. Przez wysiedlenia pod CPK, ale również wyrastające jedna po drugiej hale magazynowe* – opowiada Szymon, 40-latek, żonaty, dwójka dzieci w wieku szkolnym, zatrudniony na etacie.

W jego przypadku z przyszłą kolejową trasą kolidowały działka o powierzchni niespełna 3 tys. m kw. wraz ze zbudowanym parę lat temu 160-metrowym domem, garażem, altaną i budynkami gospodarczymi.

Termin wyprowadzki ustalono na lipiec tego roku. Pół roku na zbudowanie nowej teraźniejszości – nie do wykonania. Zwrócił się z prośbą do spółki CPK, by udzieliła zgody na korzystanie z domu do września 2027 r. ze względu na szkolne zobowiązania córki, jak również czas potrzebny na zbudowanie nowego domu. Odmówiono „ze względu na harmonogram prac przygotowawczych".

Plan Szymona od lipca: przeczekać, najprawdopodobniej zahaczając się u rodziców, i znaleźć jakiś dom do generalnego remontu, ewentualnie kupić działkę i się budować. *Na pewno nie wystarczy nam na działkę o porównywalnej wielkości. Z 3 tys. m skurczy się o połowę. Więc gdzie tu mowa o odtworzeniu warunków życiowych jeden do jednego?* – pyta.

O tym, że wartość odtworzeniowa jest wartością względną, wie coś i Zuzanna z okolic Brwinowa pod Warszawą. W jej przypadku buldożery mają zrównać z ziemią stojące na przeszkodzie nowoczesnej i szybkiej kolei rodzinne gospodarstwo, czyli 4 ha ziemi, zabudowania, w tym prawie 400-metrowy dom z lat 90. – *Nie podam kwoty, ale wycena, jaką dostaliśmy, jest niepoważna. Spółka chwali się, że płaci wartość odtworzeniową. No to sprawdźmy w ogłoszeniach w promieniu 5 km. O, proszę, najtańszy dom 2 mln, a są i po 9 mln. A gdzie wartość ziemi? W okolicy działki schodzą na pniu, pod hale i inne usługi. Dlaczego mamy teraz sprzedawać pod presją?*

Doświadczenia Zuzanny ze spółką CPK: ponieważ pozostawiła ofertę bez odpowiedzi, dowiedziała się, że została wykreślona z listy zakwalifikowanych do dobrowolnych nabyć. Czyli ma się spodziewać wywłaszczenia. – *Czujemy się przyparci do ściany. Jeśli wkroczy wojewoda, trzeba będzie wydać nieruchomość. Zresztą straszą nas, że wtedy wojewoda weźmie tylko to, co potrzebne, zostaną jakieś resztówki, do których będzie utrudniony dojazd, bo te tory przeorzą tu cały układ drogowy.*

Michał, który mieszka z żoną i synami w okolicach Sochaczewa, też będzie musiał ustąpić linii kolejowej. – *Pierwszą wycenę zakwestionowaliśmy, kolejna była o jakieś 10 proc. wyższa. Powiedzmy, że w miarę uczciwa. Najlepiej wyszli ci, którzy mieli w gospodarstwie sporo budynków. Bo metraż robił robotę. Jeśli więc ktoś zdecydował się na wartość odtworzeniową, a jego budynki stały puste, nieużywane, to i tak kwalifikował się do otrzymania za nie rekompensaty* – opowiada Michał. Pluje sobie w brodę, że kilka lat temu niszczejące budynki na działce po rodzicach rozebrał. Gdyby nie rozebrał, łatwiej byłoby im się przenieść w nowe miejsce, bo odtworzyć dawnego życia i tak się nie da.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 13db1c51da

FUNDACJA TYGODNIKA POLITYKA

1,5%

Wesprzyj kulturę, naukę, rzetelną informację – przekaż 1,5% podatku na Fundację Tygodnika POLITYKA.

Fundacja Tygodnika POLITYKA pomaga młodym utalentowanym twórcom i naukowcom, promuje rzetelną wiedzę i niezależne dziennikarstwo, działa na rzecz zwalczania dezinformacji i ignorancji. W czasach, kiedy coraz wyraźniej pojawia się zideologizowany, zafałszowany obraz rzeczywistości, propagowanie racjonalnego przekazu i demokratycznych wartości nabiera szczególnego znaczenia. Przeznaczając 1,5% podatku na naszą Fundację, dokładają Państwo swój udział do znanych i cenionych w wielu środowiskach inicjatyw, a także umożliwiają nam rozszerzenie działań na kolejne – istotne dla funkcjonowania otwartego społeczeństwa – obszary. Fundacja Tygodnika POLITYKA wspiera następujące przedsięwzięcia:

- **Paszporty POLITYKI**, prestiżowe nagrody dla wybitnych pisarzy, ludzi świata filmu, muzyków, artystów teatralnych i wizualnych, twórców cyfrowych oraz zasłużonych kreatorów polskiej kultury,
- **Nagrody Naukowe POLITYKI**, czyli stypendia przyznawane młodym, obiecującym uczonym, wspierające ich osiągnięcia i zachęcające do robienia kariery w kraju,
- **Nagrody Historyczne POLITYKI im. Mariana Turskiego** dla autorów wyróżniających się prac i książek historycznych, zwłaszcza tych mierzących się ze stereotypami i odkrywających dziejowe „białe plamy",
- **Nagrody Architektoniczne POLITYKI**, przyznawane twórcom ambitnych, społecznie użytecznych projektów budowlanych i urbanistycznych,
- **Pulsar**: popularny serwis o tematyce naukowej i technologicznej, prezentujący najnowsze osiągnięcia z różnych dziedzin, nastawiony na weryfikowanie niesprawdzonych informacji i teorii.

KRS 0000104137

Nasza Fundacja stale się rozwija, planujemy kolejne projekty. Zapewniamy, że wykorzystamy każdą złotówkę z pożytkiem dla rozwoju życia publicznego. Dołączcie do nas.

PASZPORTY POLITYKI

NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI im. MARIANA TURSKIEGO

NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI

pulsar

eprasa.pl 13db1c51da

Manama, stolica Bahrajnu, po ataku irańskich dronów

© ANADOLU/GETTY IMAGES

Rozwiana

Wojna z Iranem sprawiła, że arabskie monarchie z Zatoki Perskiej są w najgłębszym kryzysie od swojego powstania. Niełatwo się żyje w szklanych domach, gdy latają pociski.

ŁUKASZ WÓJCIK

Przyłączą się do ataków na Iran? – to pytanie zadaje sobie dziś wielu bliskowschodnich ekspertów. Arabskie monarchie z Zatoki Perskiej, najbardziej pokiereszowane wskutek irańskiego odwetu za amerykańsko-izraelską agresję, jeszcze nie zareagowały zbrojnie (stan na 2 kwietnia). Boją się? Nie mają środków? To część szerszej strategii?

Iran zaskoczył swoją odpowiedzią na agresję. Zamiast wymieniać ciosy ze znacznie lepiej chronionymi Amerykanami i Izraelczykami, uderzył w cele łatwe i bliskie: w Bahrajn, Katar, Kuwejt, Oman, Zjednoczone Emiraty Arabskie (ZEA) i Arabię Saudyjską. Teheran zakłada prawdopodobnie, że te państwa – kluczowe dla globalnego rynku energii ze względu na zasoby ropy naftowej i gazu ziemnego – w końcu wyproszą w Waszyngtonie zakończenie wojny.

Zaraz też pojawiła się narracja o „Bogu ducha winnych ofiarach", nowoczesnych i wygodnych Emiratach, Katarach i Kuwejtach, które urządziły dla zachodnich ekspatów bezpieczną przystań, a tu Iran wszystko popsuł. – *To prawda, że w sensie ścisłym Iran zaatakował monarchie z Zatoki niesprowokowany, w końcu żadne z tych państw nie wzięło bezpośredniego udziału w atakach* – mówi Cinar Ozen, turecki politolog zajmujący się Bliskim Wschodem. – *Ale te państwa w sensie ścisłym są też elementami systemu, który dokonał agresji na Iran.*

O co chodzi z tymi fatamorganami: to zjawisko optyczne, które tworzy pozorne obrazy odległych obiektów – jest efektem załamania światła w warstwach powietrza o różnej temperaturze. Dość popularne w rejonach pustynnych, w przypadku monarchii z Zatoki często prowadzi do (o)błędnego obrazu państw na pozór nowoczesnych, niezależnych, będących obietnicą lepszego i nieopodatkowanego życia dla wielu ludzi Zachodu. Wojna Ameryki i Izraela z Iranem właśnie rozwiewa te fatamorgany.

Fatamorgana pierwsza – siły zbrojne

Nie jest tajemnicą, że saudyjski następca tronu Mohammed bin Salman (MBS) i emirowie ZEA miesiącami zachęcali prezydenta Donalda Trumpa do ataku na Iran. Jak pisze „Wall Street Journal", jeszcze przed 28 lutego mówili, że Iran został tylko „napoczęty" podczas poprzedniej agresji USA i Izraela w czerwcu 2025 r. I że trzeba sprawę dokończyć, bo „poraniony irański lew ugryzie znowu". Z kolei według „Washington Post" MBS nawet w ostatnich dniach przekonywał Trumpa, żeby nie odpuszczał ataków.

Być może sprowokowany tym lobbingiem prezydent USA zasugerował przed weekendem, że kraje Zatoki mogłyby się „dołożyć"

eprasa.pl 13db1c51da

fatamorgana

do amerykańskiej operacji, która kosztuje ponad 2 mld dol. dziennie. „Trump zdaje sobie sprawę, że lepsze są petrodolary z Zatoki niż petrobombowce" – pisze Robert Malley, bliskowschodni doradca Baracka Obamy i Joe Bidena. Wspomniane kraje zdaniem Malleya na papierze mają siły zbrojne (niemal w całości kupione w USA) silniejsze niż wiele europejskich państw. Problem w tym, że to fatamorgana – pierwsza z długiej listy w arabskich monarchiach z Zatoki.

Dobrze to widać na przykładzie Saudyjczyków – mając tyle pieniędzy, można sobie kupić najdroższe rekwizyty nowoczesności, choćby amerykańskie myśliwce F-15 w najnowszej wersji. Tylko że za hurtowymi zakupami rekwizytów nie idzie cała kultura ich używania. Było to widać we wrześniu 2019 r., gdy chmary jemeńskich dronów zaatakowały największe saudyjskie instalacje naftowe, supernowoczesne saudyjskie lotnictwo i obrona przeciwlotnicza okazały się bezradne.

Monarchie z Zatoki cierpią. Najbardziej Zjednoczone Emiraty Arabskie, na które – mimo znacznej mniejszości irańskiej i kontaktów handlowych z Teheranem – spadło już ponad 1,8 tys. irańskich dronów. Lotnisko w Dubaju, kompleks przemysłowy w Ruwais, pożary w największym porcie Dżebel Ali – to tylko niektóre z irańskich uderzeń. Ucierpiał też Kuwejt, gdzie Irańczycy zaatakowali bazy lotnicze Ali Al Salem i Camp Buehring, czyli miejsca związane ze stacjonowaniem amerykańskich żołnierzy. Trafiona została rafineria Mina Al-Ahmadi.

Irańczycy nie oszczędzili nawet bliskiego im Bahrajnu (większość mieszkańców to szyici, tak jak w Iranie), gdzie dosięgnęli m.in. bazę 5. Floty USA, co część społeczeństwa przyjęła z aplauzem. W Katarze wycelowali w bazę lotniczą Al-Udeid obsadzoną przez Amerykanów i przede wszystkim w Ras Laffan, gdzie znajduje się największa na świecie instalacja do skraplania gazu. Z kolei Saudyjczycy dostali ciosy w niemal wszystkie bazy wojskowe udostępniane Amerykanom, w tym w gigantyczną Prince Sultan pod Rijadem. W końcu Oman, który również został ostrzelany, ale najmniej ze wszystkich państw Zatoki – nie przypadkiem, bo to jedyny kraj regionu, który potępił amerykańsko-izraelską agresję.

Fatamorgana druga – niezależność

W tych atakach widać pewną prawidłowość – wszystkie były związane z Amerykanami. I tu rozmywa się kolejny miraż – ten o suwerenności monarchii z Zatoki. Od lat są strukturalnie i strategicznie wprzężone w regionalny porządek pod przewodnictwem USA (i Izraela). Niektóre stały się wręcz reżimami klienckimi w klasycznym tego słowa znaczeniu. Stąd choćby brak ich reakcji na to, co robił Izrael w Strefie Gazy. Bahrajn np. skrytykował Hamas za atak z 7 października, ale już słowa nie wypowiedział o 70 tys. zabitych Palestyńczyków.

Tę relację podległości było widać, gdy jemeńska partyzantka Huti w 2024 r. sparaliżowała żeglugę na Morzu Czerwonym w ramach solidarności z Palestyńczykami. Żeby wesprzeć zaopatrzenie dla Izraela, powstał lądowy korytarz ciągnący się od arabskich portów w Zatoce, poprzez Arabię Saudyjską i Jordanię, aż do Izraela. I to nie był wyjątek: w tym samym roku podczas kolejnej wymiany ognia między Izraelem i Iranem jordańscy i saudyjscy piloci zestrzeliwali irańskie pociski, a saudyjskie i emirackie służby dostarczały Izraelowi informacji wywiadowczych.

Arabskie monarchie od dziesięcioleci pozwalają Amerykanom korzystać z baz. Amerykańskie instalacje wojskowe w Kuwejcie, Katarze, Bahrajnie, ZEA i innych krajach regionu służą jako infrastruktura do projekcji amerykańskich wpływów na Bliskim Wschodzie. Bazy te są obecnie zapleczem wojny USA i Izraela z Iranem. – *To trochę przypadek Rosji i Białorusi w kontekście ataku na Ukrainę* – uważa Cinar Ozen. – *Niby Łukaszenka umywa ręce, ale bez białoruskiej przestrzeni, białoruskich magazynów i innej pomocy sytuacja frontowa Rosji byłaby dużo gorsza.*

Fatamorgana trzecia – woda

Na monarchie z Zatoki przyjęło się patrzeć niemal wyłącznie przez pryzmat ropy naftowej i gazu ziemnego. Tankowce, rurociągi, rafinerie... Wszystko to tworzy krytyczną – a jednocześnie bardzo wrażliwą – konstrukcję, na której opierają się tamtejsze biurokracje i społeczeństwa. Widać to szczególnie w ostatnich tygodniach, gdy kolejne irańskie pociski i drony niszczą infrastrukturę naftową w Zatoce.

Ale jest też zasób, który w tej części świata przewyższa jeszcze znaczeniem ropę czy gaz: to oczywiście woda. – *Kryzysy naftowe spowodowane wojnami, jak ta obecna, niszczą gospodarki. Kryzysy wodne niszczą społeczeństwa* – przekonuje Kevani Madani, irański ekspert od spraw klimatu związany z ONZ. – *Bez wody nie będzie wydobycia ropy i gazu. Nie będzie niczego.*

Monarchie z Zatoki, tak jak zresztą i Iran, są uzależnione od odsalania, czyli procesu zamiany wody morskiej w pitną. Jego zastosowanie na szeroką skalę przekształciło jedne z najsuchszych krajobrazów na Ziemi w kwitnące (nieraz dosłownie) społeczności miejskie. Miasta takie jak Dubaj, Doha, Kuwejt i Abu Zabi nie byłyby w stanie przetrwać bez odsalarni. 70 proc. wody pitnej w Arabii Saudyjskiej pochodzi z tego procesu, w Kuwejcie i Omanie nawet 90 proc.

Ten technologiczny sukces stworzył jednak nową formę zależności strategicznej. Bezpieczeństwo wodne w Zatoce Perskiej oparte jest na stosunkowo niewielkiej liczbie zakładów odsalania położonych wzdłuż wybrzeży (największy z nich znajduje się w Dżebel Ali w Emiratach). I łatwo je zniszczyć, irańskie pociski regularnie latają obok tych zakładów, jeden z nich trafił zresztą w niewielką odsalarnię w Kuwejcie.

W przeciwieństwie do rurociągów naftowych czy terminali skraplania gazu, instalacji odsalania nie da się tak łatwo zamienić na inne lub naprawić. To złożone konstrukcje wymagające dużych nakładów energii, specjalistycznych membran lub systemów termicznych oraz ciągłych procesów chemicznego i mechanicznego oczyszczania. Naprawa poważnych uszkodzeń dużego zakładu mogłaby trwać miesiące lub dłużej. ▶

eprasa.pl 13db1c51da

▶A konsekwencje zakłóceń byłyby natychmiastowe. Trudno magazynować wodę dla dużego miasta, dlatego uszkodzenie odsalarni musiałoby skutkować natychmiastowym racjonowaniem wody. I to wszystko w regionie, gdzie tej wody jest niewiele, nie ma w zasadzie awaryjnych źródeł. Opady deszczu są niskie i nieprzewidywalne, a rosnące temperatury zwiększają parowanie i zapotrzebowanie na wodę. Wody gruntowe są na wyczerpaniu.

W ten sposób odsalanie przekształciło się z technologii uzupełniającej w podstawę miejskich systemów wodnych, a jego znaczenie będzie tylko rosło. – *Uderzenie w odsalarnie to w warunkach Zatoki Perskiej niemal opcja atomowa* – mówi Madani.

Fatamorgana czwarta – Emiraty

Pozostałe monarchie z Zatoki posiadają wiele cech wspólnych z tym państwem, ale to ZEA przez lata ustanawiały standardy, a inni podążali ich śladem. I to Emiraty zaliczają właśnie największy upadek – przede wszystkim wizerunkowy – z powodu wojny. Dekady tworzenia iluzji spokoju i porządku poszły w piasek.

A projekt był naprawdę ambitny. Władcy tego „państwa przyszłości", czerpiąc z nieograniczonych petrodolarów, wymyślili sobie bliskowschodnią Szwajcarię, która miała zapewnić anonimowość najbogatszym ludziom świata, nieopodatkowane dochody specjalistom i rozrywkę influencerom. Problem w tym, że ZEA nie leżą pośród gór w otoczeniu bezpiecznej Unii Europejskiej, co ostatnie tygodnie dobitnie potwierdziły.

Zagrożone państwo przyszłości nie dokonało odwetu na Iranie, ale zaczęło ścigać ekspatów, którzy przecież zgodnie z nieformalną umową mieli propagować wyłącznie sielankowy obraz Emiratów, a dziś „epatują tragedią" – chodzi o wrzucanie nagrań ze szkód wyrządzonych przez irańskie pociski i drony. Wcześniej ścigało ich za zbytnie zainteresowanie sytuacją społeczną w kraju, w którym relacje pracodawca–pracownik zarobkowy z Azji przypominają czasy głębokiego feudalizmu.

Najbardziej jest to widoczne w niespotykanej nigdzie na świecie strukturze społecznej, gdzie większość stanowią imigranci zarobkowi. Za ich sprawą – jak pisze w swojej monografii Dubaju Mike Davis – to miejsce bardziej przypomina zamknięty kurort z regulaminem niż państwo z konstytucją. W Katarze czy w ZEA zarobkowi imigranci stanowią ponad 70 proc. populacji. Nawet w stosunkowo zamkniętej ze względów religijnych Arabii Saudyjskiej co trzeci mieszkaniec należy do tej grupy.

Jak pisze w „Guardianie" Hannah Ellis-Petersen, „w obliczu wojny sypie się właśnie świat marzeń, który został zbudowany przez uciskanych migrantów zarobkowych. Limuzyny Maserati, z którymi pozują influencerzy, były przecież pożyczone. Alkohol, którym wznoszą toasty – nielegalny. Helikoptery wynajmowane są na godziny, a twarze influencerów – wypielęgnowane botoksem, silikonem i kwasem hialuronowym. Zresztą podobnie jak całe to państwo". A Davis dodaje, że ZEA są nie tyle miejscem, ile tłem dla influencerów.

Fatamorgana piąta – arabskie państwo

Obecny dramat Emiratów to tylko kolejny przejaw stopniowego upadku państw arabskich, a ostatnio ich szczególnej formy – monarchii z Zatoki Perskiej. W XX i na początku XXI w. po serii kryzysów, kataklizmów i wojskowych porażek upadły niemal wszystkie arabskie republiki. Arabskie monarchie, szczególnie te z Zatoki, mają się nieco lepiej. Ale to tylko pozory, za które trzeba słono płacić.

Arabskie republiki to osobna kategoria. Od początku XXI w. wszystkie 10 republik Ligi Arabskiej doświadczyło brutalnych zamachów stanu i wstrząsów, a nawet wojen domowych, które doprowadziły je do ruiny. Tylko trzy z nich – Algieria, Egipt i Tunezja – przetrwały, ale co to za trwanie... Chodzi przecież o niewypłacalne reżimy oparte na armii z mało obiecującą przyszłością. Pozostałe siedem – Libia, Sudan, Jemen, Liban, Syria, Irak i Autonomia Palestyńska – znajdują się w różnym stadium rozkładu.

Arabskie monarchie z Zatoki radzą sobie tylko nieco lepiej. Wydają się stosunkowo stabilne pod względem społecznym i politycznym. Ale jest to możliwe tylko dlatego, że nie są państwami we współczesnym rozumieniu, lecz zasadniczo przednowoczesnymi bytami plemiennymi. Żadna z tych monarchii nie ma charakteru konstytucyjnego, brakuje tam niezależnych instytucji, rządów prawa, ochrony własności czy w końcu nawet zalążków społeczeństwa obywatelskiego.

Monarchie z Zatoki funkcjonują raczej jako osobiste lenna panującego klanu, który rządzi za pomocą władzy infrastrukturalnej w rozumieniu, jakie temu pojęciu nadał socjolog Michael Mann – chodzi o nieustanne manewrowanie lojalnością plemienną, lokalnymi frakcjami, zasobami finansowymi i małżeństwami dynastycznymi. Oczywiście z zachowaniem rekwizytów nowoczesności.

Pozorna stabilność ZEA czy Kuwejtu wynika głównie z oparcia tych państw na plemiennej, przednowoczesnej strukturze politycznej. Odczytać to można już na poziomie słownictwa – jeśli państwo nazywa się Arabia Saudyjska (albo: Haszymidzkie Królestwo Jordanii), to oznacza, że funkcjonujące w nim społeczeństwo polityczne ogranicza się do członków jednej rodziny, w tym przypadku Saudów (lub Haszymitów), i że nie stoi za nim żadne nowoczesne państwo, a tym bardziej naród.

Monarchie z Zatoki mogą bowiem pochwalić się licznymi rekwizytami nowoczesnego państwa – mają swoje rządy, parlamenty, sądy, spisane konstytucje, a nawet uniwersytety i giełdy papierów wartościowych. Ale to tylko dekoracje, podczas gdy prawdziwa władza mieści się w rękach panującego klanu i ewentualnie wojskowych.

Fatamorgana szósta – imaginacje Zachodu

Państwa Zachodu jeszcze pogarszają sytuację, biorąc udział w tym teatrze. Udają, że mają do czynienia z normalnymi państwami, szczególnie jeśli mogą na tym zarobić. I dodatkowo wzmacniając fikcję, która niesie ze sobą konkretne koszty i zwiększa skalę przyszłego upadku.

Monarchie z Zatoki od lat robią wszystko, by olśnić swoich zachodnich partnerów, w szczególności Amerykanów. Ale to w istocie tylko cienka, pozłacana fasada, za którą kryją się niestabilne reżimy, osadzone na gnijących strukturach społecznych i politycznych. Wciąż stać je na to, aby zaprzeczać swoim kryzysom strukturalnym, jednocześnie tworząc pozory porządku. Ale z czasem przyniesie to odwrotny skutek, gdy ich wrodzone słabości doprowadzą do kolejnej erupcji.

Kryzysy, takie jak dzisiejsza wojna z Iranem, działają tu jak katalizator. Może właśnie dlatego te konstrukcje plemienne udające państwa postanowiły wszystko przeczekać, bo fatamorgana stabilności mogłaby prysnąć. Brytyjczycy, poprzedni właściciele tych ziem, mają takie przysłowie: nie rzuca kamieniami ten, kto mieszka w szklanym domu.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl 13db1c51da

Peter Magyar, lider opozycyjnej Tiszy, przemawia do Węgrów podczas marszu w Budapeszcie

© DENES ERDOS/AP/EAST NEWS

Teraz albo nigdy

Możliwa wygrana Pétera Magyara i jego partii w niedzielnych wyborach może przynieść wiele rozczarowań. Tylko czy Viktor Orbán pozwoli Węgrom się o tym przekonać?

ALEKSANDER KACZOROWSKI Z BUDAPESZTU

Słoneczne przedpołudnie na zatłoczonym tarasie kawiarni w centrum Budapesztu. Nieopodal wzniesiony w epoce Habsburgów gmach parlamentu. W powietrzu atmosfera przedwyborczego wiecu. Co chwila ktoś podchodzi do stolika, przy którym siedzimy z niezależną posłanką Timeą Szabó. Jedni życzą sukcesu. Inni sugerują, by zrezygnowała z udziału w wyborach na rzecz kandydatki wskazanej przez lidera największej partii opozycyjnej Tisza Pétera Magyara.

– *Gdybym mogła z nim porozmawiać, chętnie bym wyjaśniła, że mój start w stolicy nie umniejsza szans na zwycięstwo Tiszy w skali kraju* – mówi Szabó. I wydaje się pewna swoich racji, ale zaledwie kilka dni po naszej rozmowie zrezygnuje. Objaśni, że zrobiła to dla dobra ojczyzny, bo kolejna wygrana Fideszu oznaczałaby wyjście Węgier z Unii Europejskiej i skazanie ich na los igraszki w rękach Władimira Putina.

Swój chłop w mateczniku

12 kwietnia Węgrzy wybiorą między Europą i Rosją. Demokracją i dyktaturą. Mniejsze partie już się nie liczą, do parlamentu wejdą tylko dwa ugrupowania: opozycyjna Tisza i rządzący Fidesz Viktora Orbána. Niezależne sondaże wskazują na wygraną opozycji w stosunku 56 do 35 (zdecydowani wyborcy). W funkcjonującej demokracji Magyar miałby zwycięstwo w kieszeni. Natomiast Węgrzy zastanawiają się, czy premier Orbán pogodzi się z porażką? Czy nie unieważni wyborów? Czy ich nie sfałszuje? Czy w ostateczności nie sięgnie po przemoc? Mówimy o Węgrzech, nie o Uzbekistanie.

Po 16 latach rządów populistyczno-konserwatywnego Fideszu 62-letni Orbán ma przeciw sobie większość rodaków, a po swojej stronie żelazny elektorat i dzieło swojego życia, quasimafijny układ władzy. W tym wszystkie instytucje państwa, służalcze media, aparat propagandy i nieograniczone zasoby finansowe oraz uszytą na swoją miarę ordynację, która skrajnie nieproporcjonalnie nagradza zwycięzcę.

– *Proszę sobie wyobrazić boisko piłkarskie, na którym jedna z drużyn musi grać pod górę* – podpowiada Szabó. Tak Fidesz kilkakrotnie zdobywał konstytucyjną większość, mimo że nigdy nie otrzymał więcej niż połowę głosów. Boisko przechylają prorządowe telewizje, żadna nie zaprasza lidera opozycji do swoich programów. Twarz Magyara próbują zohydzić plakaty, na których prezentowany jest obok podobizny prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego i szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen.

Magyar od dawna jeździ po kraju, odwiedza po kilka miejscowości dziennie. ▶

eprasa.pl 13db1c51da

▶ Zgodnie z ordynacją wyborczą to właśnie tam leży klucz do wygranej. Tisza musi wygrać w większości jednomandatowych okręgów wyborczych. Wybiera się tam aż 106 spośród 199 posłów (reszta pochodzi z listy krajowej).

Lider opozycji rozmawia z mieszkańcami o wszechobecnej korupcji, drożyźnie, widocznej gołym okiem zapaści usług publicznych – od służby zdrowia po transport publiczny. Ta strategia przynosi efekty. Pod koniec marca Tisza zaczęła zyskiwać przewagę nawet w okręgach na głębokiej prowincji, takich jak Baja nad Dunajem, nieopodal granicy z Serbią, gdzie z reguły wygrywali kandydaci Fideszu.

Magyar, potomek rodziny od kilku pokoleń należącej do budapeszteńskiej śmietanki towarzyskiej, stara się prezentować jako swój chłop i prawdziwy patriota, który dla dobra ojczyzny godzi zwaśnionych rodaków.

Kryzys w ziemi obiecanej

Lider opozycji trafnie identyfikuje największe bolączki kraju. Pierwsza to złodziejstwo w majestacie prawa. Prof. Bálint Magyar to politolog, który gruntownie zbadał mechanizm działania systemu Orbána. Teraz podaje taki przykład: – *Pewien przedsiębiorca założył firmę. Odniósł sukces i wkrótce przyszli do niego przedstawiciele przedsiębiorstwa związanego z rządem. Zaproponowali, że odkupią jego firmę. Odmówił, więc parlament przegłosował ustawę, która praktycznie zakazała mu działalności. Doprowadzony niemal do bankructwa, sprzedał firmę za połowę ceny. Wtedy parlament ustawę odkręcił.*

Podobne praktyki długo uchodziły płazem Orbánowi. Za sprawą dopłat unijnych, inwestycji niemieckich koncernów motoryzacyjnych i tanich surowców z Rosji Węgry przeżyły swoją „złotą dekadę". Działała machina propagandowa. Orbán stał się patronem nacjonalistycznej prawicy w całej Europie. Wielu uznało go za wizjonera; Jarosław Kaczyński wieszczył w Warszawie drugi Budapeszt. Węgry widziane z zewnątrz mogły się wydawać ziemią obiecaną, konserwatywnym bastionem tradycyjnych wartości i nowoczesnych technologii. Wtedy coś się zacięło.

Po agresji Rosji na Ukrainę Orbán jawnie opowiedział się po stronie Kremla. Bruksela zakręciła kurek z pieniędzmi. Gospodarka pogrążyła się w kryzysie. Dziś przeciętni Węgrzy z trudem wiążą koniec z końcem. Mieszkańcy przygranicznych miejscowości jeżdżą na zakupy do Chorwacji, która zawsze kojarzyła się z drożyzną.

Orbán sam ukręcił na siebie bicz, odbierając pieniądze i kompetencje samorządom. W Polsce sfuszerowany remont lokalnej drogi to problem burmistrza, na Węgrzech – premiera i rządzącej partii. – *Mam letni dom pod granicą z Ukrainą* – opowiada pewien znajomy. – *Budowano ścieżkę rowerową, spaprano odpływy i po każdym deszczu zalewa mi działkę. Poszedłem ze skargą do gminy, a wójt bezradnie rozkłada ręce i mówi, że przecież to nie oni wybierali wykonawcę, tylko góra.*

Z prawej flanki

W systemie pozbawionym bezpieczników wystarczy iskra, by wzniecić pożar. Tą, która doprowadziła do wybuchu, było tuszowanie przestępstw pedofilskich. Na czele protestów stanął 45-letni prawnik Péter Magyar. Ekspert w dziedzinie prawa unijnego, od wczesnej młodości działał w narodowo-konserwatywnym środowisku Fideszu. Jego stryjeczny dziadek Ferenc Mádl w 2000 r. został wybrany głosami posłów tej partii na prezydenta Węgier.

Péter związał się z Fideszem na studiach, w 2006 r. założył grupę wsparcia dla uczestników burzliwych protestów przeciwko lewicowemu rządowi Ferenca Gyurcsánya. Spędził niemal dekadę w Brukseli, po powrocie do kraju został prezesem państwowej spółki, a jego ówczesna żona i matka trojga dzieci Judit Varga – ministrem sprawiedliwości w rządzie Orbána.

Obydwoje bardzo fotogeniczni, uchodzili za wzorową rodzinę, symbol tradycyjnych węgierskich wartości i obycia w świecie Zachodu – całkiem jak z folderu wyborczego Fideszu. Rozwiedli się w aurze skandalu niedługo po tym, gdy wyszło na jaw, że prezydent Węgier Katalin Novák w kwietniu 2023 r. ułaskawiła związanego z Fideszem wicedyrektora sierocińca, który tuszował pedofilskie przestępstwa swego zwierzchnika. Varga kontrasygnowała tę decyzję, zanim zrezygnowała ze stanowiska szefowej resortu sprawiedliwości, by stanąć na czele listy Fideszu w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2023 r. Zamiast dostać obiecaną jedynkę, została jednak zmuszona do odejścia z czynnej polityki, a prezydent Novák – do złożenia urzędu.

Magyar ogłosił, że w tej sprawie premier uciekł przed odpowiedzialnością, chowając się za spódnicami. Stanął na czele protestów i w ciągu kilku miesięcy przekształcił nieznaną nikomu kanapową Tiszę w taran opozycji. W 2023 r. został europosłem, rok później jego ugrupowanie po raz pierwszy wysunęło się w sondażach przed Fidesz. Magyarowi pomogło to, że orientuje się w meandrach systemu Orbána i po prostu się go nie boi.

Uderza premiera w czułe miejsce, atakując go z prawej flanki. Mówi rodakom, że Orbán nie jest żadnym konserwatystą, tylko oportunistycznym cynikiem. Że wykorzystał przywiązanie Węgrów do tradycyjnych wartości, by zbić majątek. Magyar nie jest heroldem rewolucji obyczajowej, tylko narodowej. Nie stroi się w szaty obrońcy demokracji liberalnej, tylko węgierskiego patrioty, który odzyska kraj z rąk zdrajców i złodziei.

Wyspy na Cisie

Jego hasłem wyborczym jest „Teraz albo nigdy" (Most vagy soha), znana każdemu Węgrowi dewiza węgierskich patriotów z czasów Wiosny Ludów. – *To odwołanie do Sándora Petőfiego, romantycznego poety i bohatera narodowego, ma ogromne znaczenie symboliczne* – wyjaśnia prof. Éva Karádi, emerytowana wykładowczyni filozofii i redaktorka pism literackich. – *Nazwa Tisza to skrót od Partia Szacunku i Wolności oraz węgierska nazwa Cisy, drugiej najważniejszej po Dunaju rzeki kraju.* Zwolennicy Magyara (czyli Węgra) tworzą w każdym mieście „wyspy na Cisie" (TISZA-sziget), czyli punkty informacyjne, w których spotykają się i dyskutują z wyborcami. To coś więcej niż partia polityczna. Także ruch odrodzenia narodowego, który skupia zwolenników tradycyjnej lewicy, prawicy oraz liberałów.

Zarazem Magyar ignoruje polityków opozycji, także najbardziej zasłużonych. Timea Szabó połowę dorosłego życia spędziła w parlamencie. Z obecnym burmistrzem Budapesztu Gergelyem Karácsonyem współtworzyła partię Zielonych. Od lat piętnuje korupcję obozu władzy. Magyar nie próbował się z nią spotkać. Na listach Tiszy przeważają prawnicy i biznesmeni, nierzadko w przeszłości związani z Fideszem. Do przyszłego rządu Magyar zaprosił specjalistów, którzy zrobili kariery za granicą, takich jak kandydat na ministra finansów István Kapitány, do niedawna wiceprezes koncernu Shell, czy Anita Orbán, przyszła szefowa dyplomacji, niespokrewniona z premierem specjalistka ds. bezpieczeństwa

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 13db1c51da

energetycznego Europy Środkowej i była dyrektor public relations w Grupie Vodafone.

Trudno o większy kontrast między nimi i Lorincem Mészárosem, najbogatszym Węgrem i symbolem mafijnego państwa Orbána. Ten były hydraulik i przyjaciel premiera z dzieciństwa nie umie sklecić poprawnie zdania po węgiersku, lecz jakimś cudem zgromadził majątek szacowany na 4,8 mld dol.

Orbán pozuje na kalwińskiego ascetę, formalnie ma tylko oszczędności i dom w Budapeszcie. Za to jego zięć zbił fortunę na rządowych kontraktach współfinansowanych przez UE. 85-letni ojciec premiera jest właścicielem firm budowlanych i wartej miliony dawnej rezydencji Habsburgów, w której Orbán często odpoczywa. Niezależny poseł Ákos Hadházy organizuje tam wycieczki, uczestnicy mogą obejrzeć ranczo premiera przez płot. Internet oszalał, gdy z drona nakręcono pasące się tam zebry. Ponoć przedostały się z sąsiedniej posiadłości należącej do hydraulika Mészárosa. Według Hadházyego korupcyjny system Fideszu co roku wysysa ponad 3 mld dol. z majątku narodowego.

Studzony zapał

Tymczasem stolica, będąca bastionem opozycji, nie ma środków na codzienne funkcjonowanie. Po Budapeszcie wciąż jeżdżą żółte tramwaje pamiętające epokę komunistycznego przywódcy Jánosa Kádára, miasta nie stać na nowoczesny tabor. Sąd Najwyższy w tym roku nakazał rządowi wypłatę dotacji dla stolicy, Orbán ignoruje wyrok. – *Dlatego tak ważne jest, żeby burmistrz Budapesztu miał stałego przedstawiciela w Brukseli* – tłumaczy pełniący tę funkcję Benedek Jávor, dawniej wiceprzewodniczący partii Zielonych. – *Staramy się pozyskiwać środki na rozwój miasta bezpośrednio w instytucjach unijnych. To jedyna szansa, by pieniądze dotarły do mieszkańców*.

Jávor przepowiada, że wiele elementów systemu wyborczego zagra na korzyść obozu władzy. Dzięki Orbánowi kilkaset tysięcy Węgrów z Rumunii czy Serbii uzyskało podwójne obywatelstwo. Z reguły popierają Fidesz, mogą głosować korespondencyjnie – i nawet nie muszą zaklejać kopert! Tymczasem obywatele węgierscy mieszkający w krajach Europy Zachodniej – na ogół zwolennicy opozycji – mogą oddać głos tylko w ambasadach i konsulatach Węgier. Wielu będzie musiało pokonać setki kilometrów i spędzić cały dzień w kolejce do urny.

Sceptycy studzą zapał i mówią, że w najbliższą niedzielę Węgrzy tak naprawdę wybiorą między starym i nowym Orbánem. Magyar jest narodowym konserwatystą, a jego program wyborczy ma wiele punktów zbieżnych z ideologią Fideszu. Rządowa propaganda nazywa Magyara marionetką Kijowa i Brukseli, lecz on sam deklaruje, że nie wyśle węgierskiej broni do Ukrainy (choć nie zamierza blokować unijnej pomocy finansowej dla Kijowa jak Orbán). Sprzeciwia się przyjęciu Ukrainy do UE na specjalnych warunkach, lecz w przeciwieństwie do premiera przynajmniej nie wyklucza akcesji tego kraju w odległej przyszłości.

Czy Magyar przywróci demokrację?

Magyar obiecuje też odesłać Rosjan do domu – to jego kolejne hasło, całkiem jak postulaty Węgrów z 1956 i 1989 r. – lecz chce nadal kupować rosyjską ropę i gaz. Zamiast zachodnich korporacji, które na dzień dobry dostają od rządu duże ulgi podatkowe, zamierza wspierać rodzimy mały i średni biznes (Orbán obiecywał to samo 20 lat temu). Zarzuca premierowi, że zamiast dbać o miejsca pracy dla Węgrów, pozwala chińskim firmom zatrudniać dziesiątki tysięcy robotników sezonowych z Azji itd.

Błąd Fideszu

Jeśli wygra wybory i przejmie władzę, będzie musiał współpracować z wyznaczonym przez Orbána prezydentem, Sądem Najwyższym i szefami najważniejszych instytucji. Zapowiada demontaż mafijnego systemu, ale jego priorytetem będzie odblokowanie zamrożonych środków unijnych (18 mld euro) oraz węgierskiego programu SAFE (to kolejne ponad 16 mld euro). Potrzebuje tych pieniędzy, by spełnić wyborcze obietnice.

Z rekomendacji Magyara w parlamencie zasiądzie być może ponad setka nowicjuszy, bez żadnego doświadczenia politycznego i programu, skupiona wyłącznie wokół lidera. Czy przywróci z nimi demokrację? – *Przede wszystkim Tisza powinna uchwalić nową, demokratyczną konstytucję* – postuluje socjolog Zoltán Fleck. Posłanka Timea Szabó dodaje, że nowy rząd powinien zmienić ordynację wyborczą w taki sposób, aby umożliwić równy start przedstawicielom wszystkich partii w następnych wyborach. Wątpi jednak, by tak się stało, bo Magyar powiedział, że zmiana ordynacji nie jest wśród jego pierwszych 50 priorytetów.

To m.in. dlatego rządy Magyara mogą się okazać rozczarowaniem, zarówno dla jego rodaków, jak i dla Europy. Ale na kilka dni przed wyborami szczytem marzeń jest to, by Węgrzy w ogóle dostali szansę na zmianę. By sami mogli zdecydować o swojej przyszłości.

Dziś nie brak chętnych, którzy wiedzą lepiej, co jest dla nich dobre. Prezydent Donald Trump nazywa Orbána „fantastycznym gościem" i prawdopodobnie wyśle do Budapesztu wiceprezydenta J.D. Vance'a, by ten wsparł ojca chrzestnego ruchu MAGA na ostatniej prostej. Liderzy eurosceptycznej prawicy, od Marine Le Pen po Karola Nawrockiego, już pielgrzymowali na Węgry, choć ich poparcie nie zrobiło różnicy, bo nad Dunajem nie są rozpoznawalni.

Niektórzy twierdzą nawet, że poparcie z zagranicy może zaszkodzić Orbánowi. Błędem Fideszu było skupienie kampanii wyborczej na sprawach, które z reguły obchodzą wyborców znacznie mniej niż kwestie związane z codziennym życiem. Premier uważa się za ofiarę akcji dywersyjnej Kijowa i Brukseli, ale Węgrzy najwyraźniej tego nie kupują. Dobrze wiedzą, że to Putin przysłał sprawdzoną ekipę, która niedawno próbowała wpłynąć na wynik wyborów w Rumunii i Mołdawii. Dla Kremla Węgry są koniem trojańskim, premier Orbán agentem wpływu, szef dyplomacji Péter Szijjártó – kretem w najwyższych gremiach Unii Europejskiej.

To sami Węgrzy zdecydują, czy tak już zostanie.

ALEKSANDER KACZOROWSKI

eprasa.pl 13db1c51da

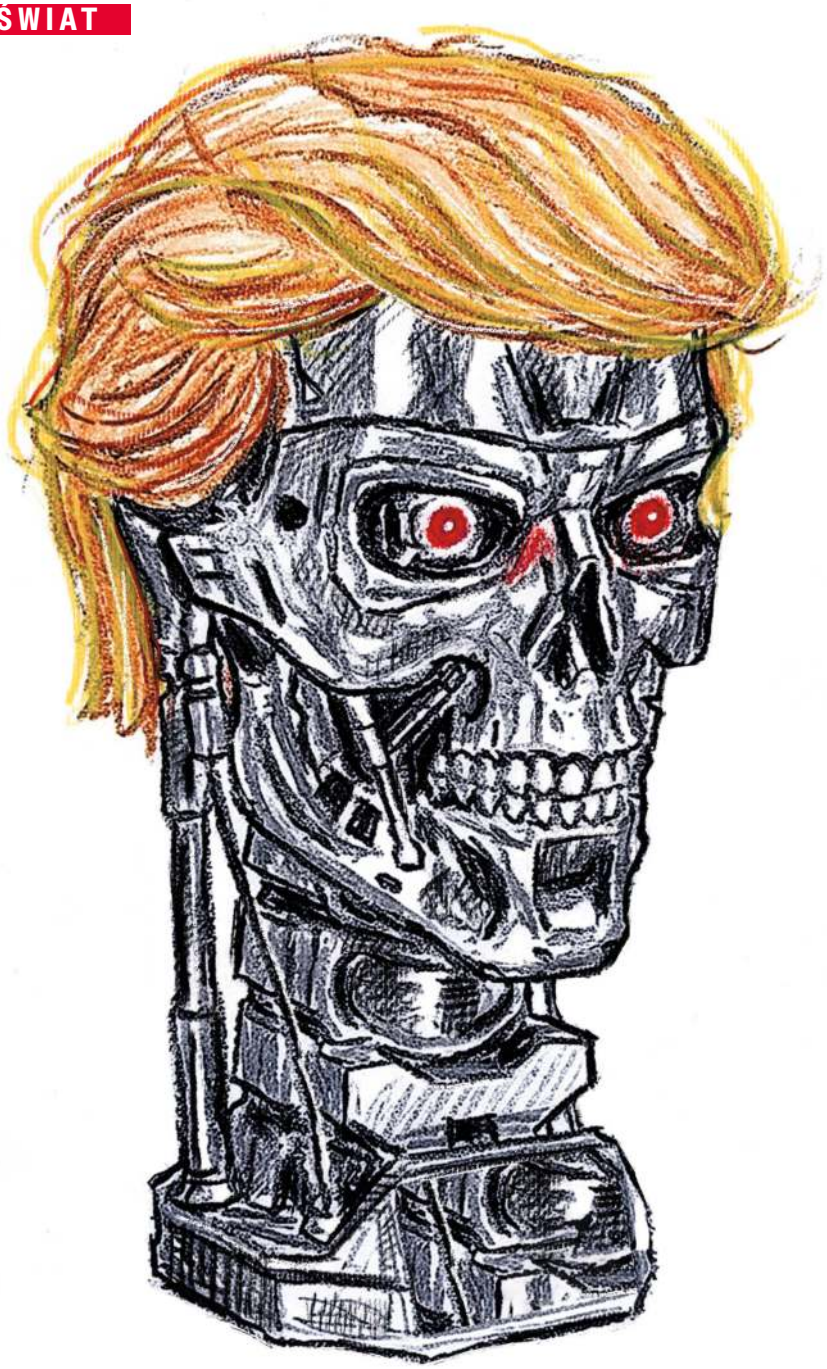

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

Co może robot

MARIUSZ ZAWADZKI

Większość celów amerykańskiego ataku na Iran wybrał czatbot. Ale Donald Trump uznał właśnie jego twórcę, firmę Anthropic, za zagrożenie narodowe, bo nie chce ona celować również w Amerykanów.

Jeszcze chyba się nie zdarzyło, żeby podczas wojny jakaś armia nałogowo korzystała z usług firmy, którą jednocześnie uważa za „poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego". Ale w świecie Donalda Trumpa to jest możliwe. Od 28 lutego w Iranie zbombardowano już prawie 10 tys. celów, a duża część z nich – może nawet większość – została wybrana przy pomocy Claude, czatbota AI stworzonego przez kalifornijską firmę Anthropic.

I to właśnie Anthropica amerykański rząd uznał za „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego". Podobny status ma kilka zagranicznych, głównie chińskich koncernów, jak np. Huawei. Ale rodzima, amerykańska firma? Wiele wskazuje, że Trump postanowił Anthropica po prostu zniszczyć.

Jak doszło do tego paradoksu? Latem ub.r. Anthropic dostał prestiżowy rządowy kontrakt na 200 mln dol.: czatbot Claude miał wspierać amerykańskie operacje wojskowe i w związku z tym został dopuszczony do państwowych tajemnic. Nie pionierski ChatGPT stworzony przez OpenAI. Nie Gemini opracowany przez potężnego Google'a. Nie Grok należący do najbogatszego człowieka świata Elona Muska. Nie Llama zaprojektowana przez Facebooka.

Był to ogromny sukces Anthropica i jego szefa Dario Amodei. Ten 43-letni biofizyk jest rozłamowcem z OpenAI; porzucił tę firmę razem z grupką programistów, bo nie podobała im się – jak ogłosili – nadmierna komercjalizacja ChatGPT, która odbywała się rzekomo kosztem bezpieczeństwa. Dwa lata wcześniej z projektu wycofał się Musk, bo również pokłócił się z Samem Altmanem, prezesem OpenAI. Generalnie rzecz biorąc, świat amerykańskich potentatów AI jest mały, wszyscy się znają i mają jakieś prywatne porachunki, które przekładają się na zaciekłą rywalizację ich czatbotów.

Radość w Anthropicu trwała jednak krótko; już jesienią ludzie z otoczenia Trumpa zaczęli publicznie narzekać na Amodei. 26 lutego, czyli dwa dni przed atakiem na Iran, prezes Anthropic oświadczył, że Departament Obrony (Wojny) domaga się zgody *in blanco* na wykorzystanie Claude w dwóch wielce kontrowersyjnych obszarach: do masowej inwigilacji Amerykanów i do stworzenia autonomicznej broni, która zabija bez udziału i nadzoru ludzkiego. „Nie możemy

eprasa.pl 13db1c51da

w zgodzie z sumieniem spełnić tych żądań" – konkludował Amodei.

Dzień później Trump odpowiedział w mediach społecznościowych: „Anthropic to KATASTROFA dla bezpieczeństwa narodowego! Wzięli 200 mln dol. z waszych podatków, a teraz mówią naszej Fantastycznej Armii, że nie może swobodnie używać ich technologii??? Bo mają jakieś lewackie wątpliwości? (...) Dlatego ogłaszamy ich zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa i przestawiamy się na OpenAI, czyli na firmę, której zależy na tym, żeby Ameryka wygrywała! Koniec z lewacką, marksistowską paranoją w naszych komputerach!".

Ludowi bohaterzy

Nie były to, jak często w przypadku Trumpa, puste pogróżki. 3 marca Anthropic otrzymał oficjalne zawiadomienie, że stał się „zagrożeniem dla łańcucha dostaw, który jest kluczowy dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych". Oznacza to, że rząd federalny zrywa z firmą wszelkie umowy – z sześciomiesięcznym terminem ich wygaśnięcia. Ale to nie wszystko.

Firmy, które mają kontrakty z Departamentem Obrony, nie mogą współpracować z Anthropicem w ramach tych kontraktów. Dotyczy to m.in. Amazona, Google'a, Facebooka, Microsoftu i SpaceX, firmy rakietowej Muska. A można ten zakaz zinterpretować jeszcze szerzej, bo sekretarz obrony Pete Hegseth przedstawił go tak: „Żaden dostawca, kontrahent ani partner współpracujący z siłami zbrojnymi Stanów Zjednoczonych nie może prowadzić żadnej działalności komercyjnej z firmą Anthropic".

Tak surowe embargo rząd USA wprowadził przeciwko chińskiej firmie Huawei – odnosi się ono do wszystkich, nawet cywilnych kontraktów. Jeśli np. jakaś firma ma w biurze choćby jeden router Huawei, to automatycznie nie może dostać ani utrzymać żadnego kontraktu z rządem USA. Dla Anthropica, który działa głównie w Ameryce, to niemalże wyrok śmierci. Dlatego firma złożyła już kilka pozwów przeciwko rządowi federalnemu.

Szykany sprawiły, że Amodei i jego firma stali się ludowymi bohaterami liberalnej połowy Ameryki – jako jedyni sprawiedliwi w całym kalifornijskim światku big tech. Kiedy szefowie Amazona, Facebooka czy Apple'a wymyślają coraz bardziej kompromitujące sposoby, żeby przypochlebić się władzy – na razie w tej konkurencji liderem jest Tim Cook, który poleciał do Waszyngtonu, żeby podarować prezydentowi złote jabłko – tylko jeden Anthropic postawił się Trumpowi. I to w imię zasad!

Dlatego ludzie zaczęli firmę popierać. Na początku marca aplikacja Claude AI stała się najpopularniejsza (najczęściej ściągana) w Apple Store, a w sklepie Google Play Store wskoczyła do TOP5. Piosenkarka Katy Perry ogłosiła na Twitterze, że właśnie wykupiła subskrypcję na najwyższy model Claude. I załączyła rysunek wielkiego serca. Nawet Google, Microsoft, Amazon i Apple złożyły w sądzie w Kalifornii wspólną opinię prawną (*amicus brief*) wspierającą Anthropica w sporze z rządem federalnym.

Fandom Anthropica fetuje bunt przeciwko Trumpowi, ale przemilcza kwestię systemową: czy jest zdrowe dla amerykańskiej demokracji, żeby szef prywatnej firmy decydował, jakie działania demokratycznie wybranego rządu są dopuszczalne? Teoretycznie rzecz biorąc, to nie jest zdrowe, ale w praktyce cała amerykańska demokracja jest ciężko chora. Przy władzy znajduje się nieprzewidywalna grupa, która ma dostęp do potencjalnie szkodliwych lub niebezpiecznych zabawek – takich jak taryfy celne, rakiety Tomahawk albo czatbot Claude – i bawi się nimi bez opamiętania.

Miłosierne maszyny

OpenAI szybciutko skorzystał z okazji i wskoczył na miejsce Anthropica. Kontrakt z rządem USA gwarantuje, że ChatGPT będzie stosowany wyłącznie w zgodzie z obowiązującym prawem. Ale nie wnosi to zupełnie nic do przedmiotu sporu, bo autonomiczna broń, zabijająca bez udziału i nadzoru ludzi, nie jest w amerykańskim prawie zakazana. I nawet wysławiany obecnie prezes Anthropica wcale nie uważa, że zakazana być powinna. Twierdzi jedynie, że sztuczna inteligencja nie jest jeszcze na tyle zaawansowana, żeby sama mogła decydować o życiu i śmierci podczas wojny. Jeśli ktoś chce całkowitego zakazu autonomicznej broni, musi sobie poszukać innego bohatera niż Dario Amodei.

Z technicznego punktu widzenia zapewne ma on rację. Zabójcze AI roboty mogą być bardziej etyczne – i znacznie bezpieczniejsze dla niewinnych cywilów – niż zwyczajni żołnierze z gatunku *Homo sapiens*. Pod warunkiem że te roboty zostaną poprawnie i etycznie zaprogramowane.

Wystarczy przypomnieć autonomiczne samochody Waymo, które od półtora roku jeżdżą jako taksówki po San Francisco, a od niedawna również po Los Angeles i San Diego. Te taksówki bez kierowcy statystycznie powodują dziesięć razy mniej wypadków niż ludzie za kierownicą. A przecież to dopiero pierwsze lata stosowania technologii! Każdy wypadek taksówek Waymo wywołuje wielkie poruszenie i alarmy, ale w rzeczywistości ratują one życie i zdrowie ludzkie.

Np. w styczniu br. jedna z nich uderzyła chłopca, który nagle wyskoczył na jezdnię zza dużego auta stojącego na poboczu. Waymo, który jechał z prędkością 27 km/h, zdążył wyhamować do 10 km/h w momencie uderzenia chłopca (który został tylko poturbowany). Śledztwo przeprowadzone przez federalny urząd ds. bezpieczeństwa drogowego zakończyło się konkluzją, że gdyby tym samochodem jechał statystyczny, skupiony na jeździe kierowca, to zareagowałby znacznie później i uderzyłby w chłopca z prędkością 23 km/h. A przecież wielu kierowców jechałoby szybciej niż Waymo albo byłoby rozkojarzonych czy zmęczonych.

Uzbrojony i etycznie zaprogramowany robot AI nie będzie ulegał emocjom ani nie będzie zaślepiony nienawiścią. Szybciej i lepiej niż człowiek ustali, czy ktoś jest legalnym celem (czyli wrogim żołnierzem lub wrogim robotem AI), czy cywilem, którego należy oszczędzić. Paradoksalnie taki wojenny robot może być bardziej ludzki niż ludzie w mundurach.

Oczywiście to dopiero przyszłość; mamy przynajmniej kilka lat, żeby się do niej przygotować. Dzisiaj sztuczna inteligencja, taka jak Claude, jest na wojnie wykorzystywana inaczej. I przyczynia się do wielu tragedii i niepotrzebnych ofiar cywilnych – wbrew zapewnieniom najróżniejszych generałów i rzeczników prasowych USA i Izraela. Wynika to z prostego faktu: dzięki AI generałowie mają dużo więcej celów do zbombardowania.

Jesteśmy na służbie

Sztuczna inteligencja jest ostatnim elementem, którego brakowało do spełnienia marzeń o totalnej inwigilacji. Już kilkanaście lat temu rządy USA, Chin, Izraela i jeszcze kilku innych krajów nauczyły się podsłuchiwać miliony telefonów swoich i cudzych obywateli, robić zdjęcia z satelitów, wkradać się do cudzych maili, podpinać do podmorskich ▶

eprasa.pl 13db1c51da

▶ światłowodów, rejestrować, kto do kogo dzwoni, jakie są lokalizacje rozmówców i o czym rozmawiają.

Był tylko jeden problem: kto odsłucha miliardy nagranych rozmów, kto przeczyta terabajty przechwyconej korespondencji, a potem to wszystko przeanalizuje, skojarzy różne fakty i wyciągnie najistotniejsze informacje? Na szczęście pojawił się ChatGPT, a po nim następne czatboty, które ten dylemat rozwiązały.

Na wojnie w Iranie Claude dostaje dane z satelitów, dronów, z nasłuchu telefonów, od szpiegów i informatorów w terenie, a nawet obraz z kamer przemysłowych (podobno Izrael i USA włamały się do systemu miejskich kamer w Teheranie). Wszystko to na bieżąco sortuje, analizuje i szybciutko wyrzuca z siebie konkluzje. Generałowie, którzy mają do dyspozycji nieograniczoną liczbę bomb i dawniej frustrowali się, że nie wiedzą, gdzie je zrzucać, codziennie dostają od sztucznej inteligencji setki celów. Wszyscy analitycy CIA, Pentagonu i Mosadu razem wzięci nie byliby w stanie wygenerować więcej niż kilkadziesiąt dziennie.

Na razie nie jest to system autonomiczny ani nawet oparty wyłącznie na Claude. Każde bombardowanie zatwierdzają ludzie, a funkcję koordynatora i zbieracza informacji z różnych kanałów – od satelitów, dronów, szpiegów, kamer itd. – pełni system stworzony przez Palantir – firmę, której szef z pewnością nie jest lewakiem. Alex Karp mówił niedawno: „jesteśmy na służbie Zachodu oraz Stanów Zjednoczonych i szczycimy się tym, że siejemy zamęt w szeregach naszych wrogów, przerażamy ich, a okazjonalnie pomagamy ich zabijać".

Notabene Amodei również twierdzi, choć nie wyraża tego tak drastycznie, że systemy AI powinny służyć Stanom Zjednoczonym jako narzędzie, które zapewni im dominację nad „totalitarnymi Chinami" oraz nad różnymi innymi „bandyckimi państwami", takimi jak Iran. Anthropic nie jest zrzeszeniem pacyfistów. Ale rzeczywiście jest pierwszą wielką firmą big tech, która postawiła się Trumpowi. I to naprawdę w imię zasad.

Trzy prawa robotyki

W oświadczeniu, które wywołało furię Trumpa, Amodei napisał: „Używanie AI do masowej inwigilacji własnych obywateli jest niezgodne z ideą demokracji. Prawo nie nadąża za postępami technologii. Obecnie amerykański rząd może zgodnie z prawem i bez sądowego nakazu gromadzić szczegółowe dane o życiu wszystkich Amerykanów. AI umożliwia analizę tych rozproszonych, z pozoru nieszkodliwych danych, które złożą się w kompleksowy obraz życia dowolnej osoby – automatycznie i na masową skalę".

Inwigilacja własnych obywateli odbywa się generalnie na tych samych zasadach jak inwigilacja wroga podczas wojny. Rząd USA nadal obserwuje przez satelity, drony i kamery uliczne czy przemysłowe (i nie musi się do nich włamywać). Do 2015 r. gromadził również tzw. metadane wszystkich rozmów telefonicznych: kto z kim rozmawiał, kiedy i gdzie w momencie rozmowy byli obaj rozmówcy (samej rozmowy nie można było nagrywać, chyba że jednym z rozmówców był obcokrajowiec). Ale zostało to zakazane ustawowo, teraz operatorzy komórkowi zapisują metadane u siebie, a rząd, żeby się do nich dostać, musi mieć nakaz sądowy.

Sztuczna inteligencja musi zostać uregulowana prawnie, zanim skorumpuje systemy demokratyczne.

Okazuje się jednak, że wcale nie są mu już potrzebne. Może zdobyć dane o obywatelach gdzie indziej, a nawet zupełnie legalnie je kupić. Życie coraz bardziej przenosi się do internetu, w którym ludzie spotykają się, rozmawiają, kupują i zdobywają wiedzę o świecie. Aktywność internautów jest zapisywana np. przez firmy takie jak Google czy Facebook, np. żeby darmowo korzystać z Gmaila, zgadzamy się na to, zakładając konto. Te firmy nie sprzedają naszych danych bezpośrednio rządowi, tylko handlarzom danych.

To jest ogromny rynek, w skali globalnej generuje ponad 300 mld dol. rocznie. Firmy o egzotycznych nazwach, takich jak Acxiom, Epsilon, LexisNexis czy Experian, skupują dane o ludziach od dostawców poczty takich jak Google plus od mediów społecznościowych jak Facebook oraz od wszystkich stron internetowych, które rejestrują wizyty internautów na podstawie cookies (czyli ciasteczek). Czasami te dane są zanonimizowane, np. bez imion i nazwisk, ale z adresem IP, z którego ktoś wchodził do internetu. Sztuczna inteligencja może te dane odanonimizować – bo jeśli np. mamy umowę z dostawcą internetu, to z domu zawsze łączymy się przez jeden adres IP.

Jest też wiele aplikacji, które zbierają dane o naszej lokalizacji. Za naszą zgodą. Np. jeśli instalujemy aplikację z prognozą pogody, to wyrażamy zgodę na udostępnienie naszej lokalizacji. To oczywiste, że aplikacja musi wiedzieć, gdzie się znajdujemy, żeby mogła podać dla tego miejsca prognozę pogody. Ale oczywiste już nie jest, że aplikacja sprzedaje dane o naszej lokalizacji handlarzom danych, takim jak np. Foursquare czy LexisNexis.

Wszystkie te dane kupują firmy, które potem na ich podstawie wyświetlają ludziom reklamy na ekranie telefonu czy komputera. Ale dane te kupuje również rząd USA. I dzięki sztucznej inteligencji dostał właśnie możliwość, żeby je na masową skalę analizować i zdobyć szczegółowy wgląd w życie prywatne każdego obywatela. Amodei absolutnie nie przesadzał. W całej awanturze o Anthropica to jest najważniejsze. Sztuczna inteligencja musi zostać uregulowana prawnie, zanim skorumpuje systemy demokratyczne i zamieni je w państwa Wielkiego Brata.

Czytelnicy Isaaca Asimova z rozrzewnieniem wspominają trzy prawa robotyki, które obowiązywały wszystkie myślące maszyny w jego powieściach i opowiadaniach. Po pierwsze, robot nie może szkodzić człowiekowi ani przez zaniechanie działania dopuścić do jego szkody. Po drugie, robot musi być posłuszny człowiekowi, chyba że stoi to w sprzeczności z pierwszym prawem. I po trzecie, robot musi chronić się przed zniszczeniem, chyba że stoi to w sprzeczności z pierwszymi dwoma prawami.

Na tak radykalne rozwiązanie nie ma co liczyć, ale może przynajmniej kilka kroków w tym kierunku?

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl 13db1c51da

Władimir Groźny

Rozmowa z historykiem i znawcą Rosji Markiem Galeottim o tym, dlaczego lepiej być wrogiem niż zdrajcą Moskwy. I dlaczego trzeba rozmawiać z Rosjanami.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ: **– Władimir Putin to stary przywódca, który traci kontakt z rzeczywistością, a jego elita już go nie szanuje?**

MARK GALEOTTI: – On nie jest jakimś szalonym cesarzem, pozostaje racjonalnym graczem. Ale jak wielu innych autorytarnych przywódców, którzy długo pozostawali u władzy, Putin jest coraz bardziej przekonany o własnej nieomylności i otacza się ludźmi, którzy mówią mu to, co chce, a nie co powinien usłyszeć. Starzeje się, widać, że nie ma już tej samej energii co kiedyś. Tym bardziej istotne jest, kim są ci najbliżsi ludzie i co mu mówią. Inwazja na Ukrainę w 2022 r. opierała się na błędnych założeniach, ale nikt mu tego nie powiedział.

Jaka więc będzie Rosja za pięć lat? Rosja bez Putina?

Niestety, Putin prawdopodobnie nadal będzie u władzy. W kolejce do niej nie stoją demokraci, ale oportunistyczni kleptokraci. Nie wydają się jednak wykazywać entuzjazmu dla wojny czy wielkich wizji Rosji. Oczywiście są patriotami i nacjonalistami, ale zasadniczo chcą bezpiecznie kraść i cieszyć się zyskami.

Co dla Zachodu oznaczałoby przejęcie przez nich władzy?

Ci nowi będą chcieli cieszyć się spokojnym życiem, wysyłać żony na zakupy do Paryża, kochanki do Mediolanu. Bezpiecznie wypływać swoimi jachtami z Riwiery Francuskiej i cieszyć się penthouse'ami w Londynie. Prawdopodobnie więc byłby to reżim bardziej skłonny do współpracy. Tym bardziej że w Rosji nie ma wielkiego zapału do wojny. Tak jak nie ma powszechnych protestów. Częściowo to efekt tego, jak Putin rekrutuje żołnierzy – nie wysyła poborowych i rezerwistów, a ochotnikom oferuje ogromne pieniądze. Jeśli jednak jego następcom uda się w jakiś sposób przekonać Rosjan, że już wygrali i nadszedł czas na pokój, myślę, że wszyscy odetchną z ulgą.

Ale Putin sam nie ustąpi?

Nie sądzę. Chyba że poważnie zachoruje i będzie zmuszony wskazać następcę. On jest teraz w takim położeniu jak wielu przywódców sowieckich – będzie trwał u władzy, dopóki nie umrze. ▶

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 13db1c51da

▶ W jakim kierunku Putin prowadzi Rosję?

W dół, i to w szybkim tempie. Pierwsze dwie kadencje były jego wielkim sukcesem, ustabilizowanie sytuacji w kraju wiązało się jednak z ponowną konsolidacją władzy, co oznaczało brutalną drugą wojnę czeczeńską i represje. Doszło też wówczas do pewnego zbliżenia ze światem zewnętrznym. Gdyby Putin ustąpił po drugiej kadencji, historia uznałaby go za pożytecznego przejściowego przywódcę, który pomógł odbudować państwo rosyjskie po chaosie lat 90. Obecna wojna niweczy wszystkie jego osiągnięcia. Po kilku latach sztucznego wzrostu spowodowanego wydatkami na obronę rosyjska gospodarka zmierza w kierunku stagnacji, a może nawet stagflacji. Jakość życia Rosjan spada. Nawet jeśli wojna skończyłaby się jutro, świat przecież od razu nie wybaczy i nie zapomni.

Często porównuje pan Putina do Iwana Groźnego.

Panowanie Iwana było kluczowym etapem budowania państwa. Gdy jednak coraz bardziej popadał w obłęd, wszystko to zniszczył, a Rosja wkroczyła w okres smuty i polskich najazdów. Nie sądzę jednak, aby po Putinie nastał kolejny okres wstrząsów. Rosja jest dziś o wiele silniejsza gospodarczo i spójna terytorialnie, lata migracji i wewnętrznej kolonizacji doprowadziły do tego, że wiele jej regionów formalnie nierosyjskich w rzeczywistości ma dużą albo nawet większościową populację rosyjską.

Tatarzy stanowią większość w Tatarstanie. W referendum w 1992 r. ponad 60 proc. z nich poparło suwerenność.

Gdyby ta republika stała się niepodległa, byłaby wyspą w morzu Rosji. Drugie takie miejsce to Kaukaz Północny, myślę, że większość Rosjan byłaby zachwycona, gdyby się oderwał. Nie jestem jednak przekonany, czy przywódca w Moskwie mógłby na to pozwolić. Ale poza kwestią bezpieczeństwa Kaukaz Północny jest stosunkowo nieistotny. Natomiast na rosyjskim Dalekim Wschodzie z perspektywy jego mieszkańców wybór jest między dominacją Moskwy albo Pekinu – a lepszy jest znany wróg. W kontekście spójności tego państwa kluczowy jest jednak rosyjski sposób myślenia.

Wciąż imperialny.

Mam nadzieję, że jeśli z tej strasznej wojny wyniknie coś pozytywnego, to będzie to początek końca imperialnego sposobu myślenia. Kryzys sueski był takim szokiem dla Wielkiej Brytanii, a wojna algierska dla Francji – podupadające potęgi imperialne zostały skonfrontowane z faktem, że nie są już wielkie. Zostały zmuszone do zmierzenia się z konsekwencjami swoich działań i demonami własnej historii. To długi i powolny proces, Wielka Brytania i Francja tak naprawdę jeszcze w pełni przez niego nie przeszły.

© PAP/CTK

Mark Galeotti (rocznik 1965) – brytyjski historyk i analityk specjalizujący się w sprawach Rosji, zwłaszcza jej polityce bezpieczeństwa, służbach specjalnych i przestępczości zorganizowanej. Popularny komentator spraw rosyjskich, dyrektor firmy doradczej Mayak Intelligence. Autor wielu książek, najnowsza to „Skazani na wojnę. Od Iwana Groźnego do Putina" (Wydawnictwo RM).

Dziś Putin twierdzi, że atakuje w samoobronie.

Putin patrzy na świat przez paranoiczne soczewki ofiary. Rosjanie nieustannie funkcjonują w poczuciu, że są otoczeni przez wrogów, często potężniejszych. I dlatego muszą uderzać pierwsi, żeby przynajmniej móc określić ramy czasowe i pole bitwy. Putin prawdopodobnie wierzy, że musiał uderzyć w Ukrainę, zanim Unia Europejska ukradnie ją Rosji. To jest wykwit rosyjskiej kultury strategicznej – ona może się zmieniać, ale bardzo powoli.

Czym różni się Imperium Rosyjskie od Brytyjskiego?

Rolą państwa. Przez większość czasu Rosja rozszerzała swoje imperium bez strategii politycznej. Ekspansja wynikała nie z decyzji kolejnych carów, ale przede wszystkim z indywidualnych przedsięwzięć – koloniści wyruszali w drogę, bo szukali nowych ziem i chcieli uniknąć płacenia podatków. Kupcy szukali futer i innych zasobów. Lokalni generałowie i gubernatorzy wymyślali preteksty, by podbić wieś za wzgórzem. Moskwa zyskiwała w ten sposób terytoria, które potem musiała chronić i obsadzać garnizonami. Był to więc proces niemal oddolnej kolonizacji.

Można argumentować, że Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska też nie była formalnie częścią państwa brytyjskiego. W praktyce jednak brytyjski podbój przez morze wymagał znacznego zaangażowania zasobów państwowych. Poza tym Londyn nie chciał i nie mógł integrować zamorskich posiadłości, tak jak Rosja podbitych przez siebie lądowych sąsiadów.

Rosyjska kultura imperialna przy użyciu państwowej przemocy dążyła wręcz do wymazania lokalnej kultury. Tak było choćby na ziemiach ukraińskich.

Niczego nie usprawiedliwiam, ale taka była specyfika rosyjskiej ekspansji. Skrajna rosyjska narracja głosi, że Ukraina nie istnieje, wschodnia część tego kraju jest tak naprawdę częścią Rosji, a zachodnia była częścią Polski. Ukraińska perspektywa nacjonalistyczna zakłada zaś, że tak naprawdę Ukraina zawsze była odrębnym podmiotem, podlegającym okresowym próbom podboju. Żadna z tych opinii nie jest trafna.

Rozumiem ukraińskie stanowisko, ale moje niuansowanie wynika ze stopnia, w jakim Ukraina była zintegrowaną częścią Imperium Rosyjskiego, a później Związku Radzieckiego. Po prostu Ukraińcy nie odgrywali takiej samej roli jak, powiedzmy, w czasach radzieckich Kazachowie. Byli postrzegani jako jeden z trzech głównych krajów słowiańskich: Białorusi, Ukrainy i Rosji. Tak to widzi Putin, a właściwie większość Rosjan, którzy postrzegają Ukraińców jako część rodziny.

Znacząca jest historia Kozaków. Ci zaporoscy stali się fundamentalnym elementem współczesnej tożsamości ukraińskiej. Kozacy dońscy zaś – jak pan przekonuje – byli kluczowi dla rosyjskich podbojów. Dwie sprzeczne opowieści i tożsamości.

Kozacy to w dużej mierze ludzie, którzy uciekali na dzikie tereny, choćby przed biedą lub armią. Żyli w cieniu imperiów i byli zmuszeni zawierać sojusze z jednym lub drugim. Ci dońscy postawili na Moskwę i stali się kulturowo oraz politycznie z nią powiązani. Byli twardzi i samowystarczalni, tworzyli kawalerię działającą dosyć autonomicznie, gotową w imieniu imperium wyruszyć w świat i szukać przygód. Podobnie jak Szkoci,

eprasa.pl 13db1c51da

którzy stali się awangardą Imperium Brytyjskiego na świecie.

To jaka jest specyfika tej rosyjskiej ekspansji?

Europa od dawna była gęsto zaludniona i podzielona. Jeśli chciałeś rozszerzyć swoje terytorium w Europie, musiałeś stoczyć wojnę z innym księstwem. Natomiast na południe i wschód od Moskwy rozciągał się pas terytoriów, które miały stosunkowo słabe struktury lokalne i często nie istniała tam władza polityczna. Jeśli szukać analogii do rosyjskiej ekspansji na wschód, to jest nią amerykańska ekspansja na zachód. Od tysięcy lat żyli tam rdzenni mieszkańcy, ale z punktu widzenia nowych Amerykanów całe to terytorium było niezamieszkane. Podbój czasami był napędzany przez państwo, ale często przez poszukiwaczy złota, kolonistów i wszelkiego rodzaju innych poszukiwaczy przygód.

Putin kocha historię, ale chyba nie rozumie jej zbyt dobrze?

On wykorzystuje historię do usprawiedliwiania lub uzasadniania swoich działań. Zdarzało się, że zależnie od potrzeby przedstawiał różne narracje historyczne. Jako historyka to mnie frustruje. Ale też dodaje otuchy, bo pokazuje, że tak naprawdę za tym wszystkim stoi cyniczny polityk, który po prostu szuka wygodnych politycznie narracji. Ale nie wierzy tak naprawdę, że jest reinkarnacją Piotra Wielkiego czy kimś w tym rodzaju.

Marzy jednak o nieśmiertelności i miejscu w historii.

Ma obsesję na punkcie swojej spuścizny. To jedna z rzeczy, która popchnęła go na Ukrainę – myślał, że będzie to ukoronowanie jego kariery. Ale to nie jest irracjonalne. Proszę mi wskazać jednego polityka, który nie myśli o swojej spuściźnie.

Czym dla Rosji jest Polska?

Putin i jego ludzie nasłuchali się w szkołach, że Związek Radziecki miał misję cywilizacyjną. Gdy on mówi o krajach bałtyckich, słychać w jego głosie gniew, że przecież my je „uprzemysłowiliśmy, a one nas zdradziły". Polska nie była jednak częścią Związku Radzieckiego. Natomiast wywołała efekt domina, który doprowadził do upadku Układu Warszawskiego, a potem może nawet Związku Radzieckiego. Solidarność to pierwszy tego rodzaju ruch, jaki pamięta Putin. Proszę nie zapominać, że on na własne oczy widział upadek NRD, a więc ten proces odbiera znacznie bardziej emocjonalnie. Plus niektórzy polscy przywódcy chętnie posługują się antyrosyjską retoryką w celach politycznych. No i Polska teraz poważnie się zbroi oraz udziela wsparcia Ukrainie. To wszystko sprawia, że Polska jest krajem na pierwszej linii frontu.

Putin jednak wyraźnie rozróżnia wrogów od zdrajców. Z wrogami się walczy, ale można dojść z nimi do porozumienia. Ze zdrajcami nie da się nic zrobić, nigdy nie można im ufać. Z jego punktu widzenia kraje bałtyckie mogą być zdrajcami, Ukraina z pewnością. Ale Polska jest wrogiem.

Jesteśmy skazani na konflikt?

To nie jest tak, że Rosjanie dążą tylko do bezmyślnego atakowania. Nie sądzę, żeby Putin żywił agresywne zamiary militarne wobec Europy. Ukraina to inna sprawa, z jego punktu widzenia nie jest obcym krajem. Rosjanie nie mają jednak złudzeń – wiedzą, że Finowie, Bałtowie i Polacy będą walczyć oraz że NATO to potęga. Z tych wszystkich powodów jestem stosunkowo spokojny. Nadal jednak wierzę w sens europejskich zbrojeń, choćby dlatego, że mogę się mylić. Poza tym Europa musi wzmocnić swoją siłę, aby być wiarygodna na arenie międzynarodowej, nie może dalej chować się pod amerykańskim parasolem.

Rosja nie zaatakuje Europy?

Byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby Putin lub podobny do niego następca uznał, że NATO zamierza napaść Rosję. Dlatego martwią mnie niektóre wypowiedzi na Zachodzie w duchu: musimy być gotowi, bo w 2028 lub 2030 r. Rosjanie mogą zaatakować. Bo w Rosji to jest odbierane jako zapowiedź ataku. Dlatego musimy tak się zbroić, aby wyglądać groźnie, ale nie prowokować. Przeraża mnie też, że nasz obecny poziom kontaktów dyplomatycznych z Rosjanami jest niższy niż kiedykolwiek w czasie zimnej wojny. Tymczasem powinniśmy z nimi rozmawiać – i nie oznacza to negocjacji czy porozumienia w sprawie Ukrainy.

Niektórzy w tym duchu przekonują, że nie należało Moskwy „prowokować" rozszerzaniem NATO na wschód. To bardzo paternalistyczne choćby wobec polskiej podmiotowości. I bardzo niebezpieczny sposób myślenia.

NATO powinno było się rozszerzyć, bo to dołączające kraje chciały być przez nie chronione. Moim zdaniem Zachód zawiódł jednak, nie wyjaśniając tego jasno Rosjanom. Później zaś Sojusz ogłosił, że Ukraina i Gruzja staną się częścią NATO, podczas gdy wcale nie mieliśmy zamiaru ich przyjmować. W stosunku do Rosjan musimy projektować siłę, aby nie postrzegali nas jako słabego celu. Jednocześnie, jeśli będziemy polegać wyłącznie na sile, istnieje ryzyko, że wywołamy u Rosjan odruch strachu. A to jest niekorzystne dla wszystkich.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA LICHNEROWICZ

REKLAMA

eprasa.pl 13db1c51da

Na skraju tęczy

Tęcza wydawała się zamkniętym katalogiem barw. A jednak między fizyką światła, biologią siatkówki i filozofią percepcji jest szczelina, przez którą może prześwitywać coś nowego.

System Pantone (fot. po prawej) **stale rozbudowuje paletę. Ale każdy z nowych odcieni to nowy punkt na już istniejącej mapie.**

WOJCIECH MAMAK

W Londynie szalała plaga dżumy, gdy Isaac Newton wsunął za swoją gałkę oczną tępy, gruby sztylet krawiecki zwany bodkinem. Przycisnął narzędzie do tylnej ściany oczodołu, aż gałka uległa odkształceniu. Zapisał potem w laboratoryjnym notatniku, przechowanym do dziś przez Cambridge University Library: „Białe, ciemne i kolorowe koła". Nie płomienie. Nie ból. Koła.

Newton próbował odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: czy kolor to efekt działania oka, czy świata? Czy barwa istnieje na zewnątrz nas, w promieniach odbitych od powierzchni, czy jest zdarzeniem neurologicznym – efektem ubocznym aparatu, który natura zainstalowała między nami a rzeczywistością? Odpowiedź – i Newton to czuł – wskazywała na soczewkę. „Promienie, ściśle rzecz biorąc, nie mają barwy" – napisał w dziele „Opticks". „Jest w nich jedynie pewna zdolność i dyspozycja do wzbudzenia odczucia tej lub innej barwy". Świat wysyła sygnały. Mózg tworzy spektakl.

Przez kolejne trzy stulecia pytanie, czy można odkryć nowy kolor, wydawało się zbędne. Przecież wiemy, czym jest tęcza – sam Newton zadecydował, że ma siedem barw, dodając indygo, by dopasować spektrum do siedmiu dźwięków skali muzycznej. Mamy system Pantone, który stale rozbudowuje paletę. Ale każdy z tych nowych odcieni to nowy punkt na już istniejącej mapie, nie nowe terytorium. Co tu jeszcze odkrywać? A jednak.

Granice maszynerii

W maju 2009 r. Mas Subramanian, chemik z Oregon State University, poprosił asystenta, żeby wsadził do pieca mieszaninę tlenków – manganu, itru i indu. Panowie szukali materiałów do zastosowań elektronicznych. To, co wyjęli, było intensywnie niebieskie w sposób, którego Subramanian wcześniej nie widział.

YInMn Blue – nazwa pochodzi od symboli składników: itr (Y), ind (In), mangan (Mn) – okazał się pierwszym nowym niebieskim pigmentem odkrytym od 1802 r., kiedy to Louis Jacques Thénard zsyntetyzował błękit kobaltowy. Mechanizm jego działania jest elegancki: cząsteczka pochłania czerwone i zielone składowe białego światła, a odbija niebieskie z siłą i czystością, jakiej dotychczas nie uzyskiwano syntetycznie. Co więcej – jest trwały chemicznie, nie blaknie, nie jest toksyczny.

Ale czy YInMn Blue to nowy kolor? Tu pojawia się kluczowe rozróżnienie. Nowy niebieski pigment to nowy sposób na dostarczenie fotonów o określonej długości fali do siatkówki oka. To osiągnięcie chemiczne, nie percepcyjne. Kiedy patrzysz

eprasa.pl 13db1c51da

na ścianę pomalowaną YInMn Blue, twój mózg produkuje dokładnie to samo doświadczenie co zawsze – to, co przez całe życie nazywałeś niebieskim. Subramanian wynalazł nową drogę do starego miejsca.

Podobna logika obowiązuje w przypadku ultraczarnych materiałów, których apogeum stanowi Vantablack – matryca mikroskopijnych nanorurek węglowych pochłaniających ponad 99 proc. padającego światła. Obiekty nią pokryte wyglądają jak dziury wycięte w przestrzeni; trójwymiarowe figury stają się płaskimi sylwetkami bez cienia. Vantablack nie wytwarza nowego koloru – doprowadza czerń do jej logicznego ekstremum.

Cała historia syntetycznych pigmentów jest historią inżynierii bodźców, nie inżynierii percepcji. W 1856 r. 18-letni William Henry Perkin, bezskutecznie próbując zsyntetyzować chininę do leczenia malarii, przypadkowo otrzymał mauveinę – pierwszy syntetyczny barwnik organiczny w historii. Świat przeszedł od zbierania kolorów do ich fabrykowania. Gorączka fioletowa, która ogarnęła Anglię i Francję, nie była dowodem rozszerzenia percepcji. Perkin dał Europejczykom możliwość noszenia barwy dostępnej dotąd tylko dla cesarzy i kardynałów. Rodzi się zatem pytanie: jakie są właściwie granice maszynerii wzroku?

Przestrzeń percepcji

Ludzkie oko zawiera trzy typy fotoreceptorów zwanych czopkami. Czopki S (od *short*, krótkie fale) są najbardziej czułe na barwy niebieskie i fioletowe. Czopki M (*medium*) – na zielone. Czopki L (*long*) – na czerwone i żółte. Każda barwa, jaką jesteśmy w stanie zobaczyć, jest pewną proporcją tych trzech sygnałów – trójką liczb, współrzędnymi w przestrzeni trójwymiarowej.

W 1931 r. Międzynarodowa Komisja Oświetlenia (CIE) zebrała wyniki dziesiątków eksperymentów z udziałem ludzkich obserwatorów i opublikowała coś, co można nazwać atlasem widzialnego świata: przestrzeń barw CIE 1931. Każdy punkt tej przestrzeni odpowiada jednemu percepcyjnemu doświadczeniu barwy. Wykres chromatyczności – rozpoznawalna podkowiasta krzywa – obejmuje wszystkie barwy nasycone, od fioletu przez niebieski, zielony, żółty, pomarańczowy, czerwony, z powrotem do fioletu. Punkt środkowy to biel. Obszar poza krzywą to tereny niewidzialne: tam nie ma nic, bo siatkówka nie posiada instrumentów do rejestracji tamtych sygnałów. Ale czy kompletna mapa to to samo co zamknięta przestrzeń percepcji?

To jest dokładnie pytanie, którym zajmują się współcześni filozofowie. Alistair Isaac z Uniwersytetu w Edynburgu analizuje je od strony geometrycznej struktury przestrzeni barw, z kolei stanowisko Holgera Lyre'a z Magdeburga – nazywane neurofenomenalnym strukturalizmem (*neurophenomenal structuralism*) – idzie głębiej w samą architekturę widzenia.

Klasyczne pytanie filozofii percepcji brzmi: co sprawia, że doświadczenie czerwieni jest czerwienią? Intuicyjnie czujemy, że barwa ma jakiś wewnętrzny charakter, coś, co filozofowie nazywają qualiami – nieprzetłumaczalną jakość samą w sobie, czyste wrażenie. Strukturalizm kwestionuje tę intuicję. Kolor nie istnieje jako izolowana, samoistna własność wewnętrznego świata. Zamiast tego każde doświadczenie fenomenalne (Holger Lyre nazywa je strukturą-Q) jest w pełni określone przez swoją geometryczną pozycję względem innych doświadczeń w neuronalnej mapie mózgu (strukturze-N). Mówiąc prościej: czerwień jest czerwienią dlatego, że jest sąsiadką pomarańczowego, przeciwieństwem zielonego, daleko od niebieskiego. Barwa nie ma esencji samej w sobie; ma tylko relacje. Jest węzłem w sieci, a nie atomem.

Implikacja jest radykalna. Jeśli barwa to czysto relacyjna struktura, to przestrzeń ta jest systemem zamkniętym. Każda kombinacja pobudzenia czopków ma już swoje współrzędne w układzie CIE. Nowy kolor musiałby znaleźć dla siebie miejsce w przestrzeni, która nie ma wolnych miejsc. Widzimy wszystko, co możemy zobaczyć. Chyba że zhakujemy sprzęt.

Barwy przeciążenia

Teoria tzw. procesu antagonistycznego, sformułowana przez fizjologa Ewalda Heringa pod koniec XIX w., opisuje, jak sygnały z czopków są przetwarzane przez kolejne warstwy komórek siatkówki i ciała kolankowatego bocznego. Widzenie jest zorganizowane w parach przeciwstawnych kanałów: czerwony kontra zielony, niebieski kontra żółty, jasny kontra ciemny. Kanały te działają jak ruch dwuosobowej huśtawki – gdy jeden biegun podnosi się, drugi maleje i spada.

Konsekwencją tego układu jest istnienie barw „niemożliwych". Możemy zobaczyć żółtoczerwony pomarańcz. Możemy zobaczyć niebieskozielony turkus. Ale czerwonozielony? Żółtoniebieski? Te kombinacje są wykluczone na poziomie sprzętowym. Antagonistyczne kanały nie mogą jednocześnie wysyłać maksymalnych sygnałów w obu kierunkach – to jak pytanie o dźwięk, który jest jednocześnie najgłośniejszy i najcichszy.

A jednak naukowcy od lat znają pewien obejściowy szlak. Zmęczenie siatkówki – stan, gdy fotoreceptory są wyczerpane intensywnym bodźcem i zaczynają wysyłać skompensowane sygnały – pozwala produkować tzw. barwy chimeryczne: iluzoryczne kolory, które istnieją tylko w przestrzeni między przeciążonym receptorem a mózgiem próbującym przywrócić równowagę. Jeśli przez dłuższą chwilę wpatrujemy się w intensywnie czerwony okrąg, a potem przenosimy wzrok na szare pole, możemy przez chwilę zobaczyć stygijski błękit – coś ciemniejszego niż czerń, a jednak wyraźnie niebieskiego. Barwę, której nie daje się uzyskać na skutek zwykłego bodźca zewnętrznego. Ale barwy chimeryczne są ulotne i zależne od warunków – to eksploatowanie błędu systemu, a nie przekraczanie jego granicy. Prawdziwy przełom wymagał czegoś innego.

Artefakty ewolucji

W kwietniu 2025 r. grupa naukowców z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley pod kierownictwem Jamesa Fonga opublikowała w „Science Advances" wyniki eksperymentu, który zmienił warunki całej dyskusji. Kluczem było proste, ale rewolucyjne spostrzeżenie: problem nie tkwi w mózgu, a w fizyce światła.

W naturze fale elektromagnetyczne są szerokie. Żadne naturalne źródło światła nie jest w stanie pobudzić wyłącznie czopków M (zielonych), nie dotykając przy tym czopków L (czerwonych) i S (niebieskich). Nakładanie się czułości tych receptorów jest zbyt duże. Dlatego mózg nigdy w całej historii ewolucji nie ▶

© GETTY IMAGES/ SCIENCE PHOTO LIBRARY, ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

eprasa.pl 13db1c51da

▶ otrzymał sygnału (0, 1, 0) – stanu, w którym tylko czopki M są aktywne, podczas gdy pozostałe milczą.

Zespół z Berkeley zbudował system laserowy nazwany Oz (to nawiązanie do Czarnoksiężnika z Krainy Oz, do świata leżącego po drugiej stronie tęczy). Oz pozwala na precyzyjne ogniskowanie ultrakrótkich impulsów laserowych bezpośrednio na pojedyncze fotoreceptory siatkówki, z rozdzielczością niemożliwą do uzyskania konwencjonalnymi metodami. Badani, po zaadaptowaniu się do warunków eksperymentu, otrzymywali impulsy aktywujące wyłącznie czopki M. Efekt był natychmiastowy i jednoznaczny. Uczestnicy opisywali bardzo nasycony intensywny kolor, który leżał gdzieś w okolicach niebieskozielonego, turkusu – ale był od niego zasadniczo inny. Barwę ochrzcili olo.

Nie da się jej zobaczyć na ekranie. Nie da się jej wydrukować. Żaden monitor, żaden druk, żadna farba nie są w stanie wyprodukować sygnału (0, 1, 0), bo wszystkie te media działają przez fizyczne światło, które nieuchronnie pobudza więcej niż jeden typ czopka. Olo istnieje tylko w wyniku bezpośredniej interwencji w sprzęt oka. To nie jest nowa farba. To nie jest nowa długość fali. To nowe zdarzenie neurologiczne – nowa odpowiedź mózgu na sygnał, którego natura przez miliony lat ewolucji nigdy nie wygenerowała.

Więźniowie rzeczywistości

Powiedzmy, że widzieliśmy olo. Powiedzmy, że urządzenie Oz działało na naszych oczach i doświadczyliśmy czegoś, co w naszym przekonaniu nie jest turkusem ani żadnym innym kolorem, który znamy. Teraz spróbujmy to wyrazić słowami... Nieprzypadkowo uczestnicy eksperymentu z Berkeley opisywali olo właśnie jako wysoce nasycony turkus. Język nie daje innych narzędzi. Byli skazani na rzutowanie nieznanego na znane – bo słowa barw nie są skróconymi deskrypcjami sygnałów neuronalnych. Są skróconymi deskrypcjami uzgodnionych społecznie doświadczeń.

Kilka miesięcy przed śmiercią w 1951 r. Ludwig Wittgenstein zapisywał w notatkach, które miały się stać „Bemerkungen über die Farben" („Uwagami o kolorach"), swoje dociekania z charakterystyczną precyzją. Zaczął od pozornie dziecinnych pytań. Dlaczego nie można powiedzieć, że coś jest ciemnobiałe? Mamy ciemnoczerwony, ciemnozielony, ciemnoniebieski, ale ciemnobiały to nonsens. Fizyka odpowiada na to po swojemu: ściemniona biel to po prostu szarość. Ale Wittgensteina interesowało, dlaczego zabrania tego również gramatyka: biały w naszym języku jest ze swojej natury maksimum jasności, punktem granicznym skali, za który nie można wyjść. Podobnie: dlaczego możemy mówić o przezroczystej czerwieni witraża, ale nie o przezroczystej bieli? Nie dlatego, że brakuje odpowiedniego materiału – dlatego, że biały jako filtr nie dodaje żadnego zabarwienia do przepuszczanego światła i zapada się we własną definicję.

Te pytania wydają się błahe, dopóki nie zobaczymy, co za nimi stoi: kolor nie jest czystym opisem fizycznej własności. Jest uwikłany w reguły użycia, które decydują, co można sensownie powiedzieć – niezależnie od tego, co natura dopuszcza. Wittgenstein twierdził, że kolory są zakorzenione w tym, co nazywał grami językowymi. Słowo „czerwony" nie jest etykietką przyczepioną do odcinka spektrum elektromagnetycznego. Jest węzłem w siatce praktyki językowej: czerwona krew, czerwone światło stopu, czerwony ze wstydu. Sens koloru jest tkany ze wszystkich tych użyć razem wziętych.

Implikacja dla odkrycia z Berkeley jest paradoksalna i trochę okrutna. Możemy zobaczyć kolor, którego nikt nigdy nie widział. Możemy być pewni, że nasze doświadczenie jest nowe. Ale jesteśmy więźniami trychromatycznej rzeczywistości, w której wychował się nasz język.

To podejście ma swój historyczny precedens. W 1858 r. William Ewart Gladstone, czytając Homera, natknął się na coś, co uznał za filologiczny skandal. Homer, opisując morze, nazywał je *oinops pontos* – wino-ciemnym. Niebo u Homera jest spiżowe. Miód jest zielony. Owce są fioletowe. Niebieski jest niemal całkowicie nieobecny w całej „Iliadzie" i „Odysei". Wniosek Gladstone'a był ostrożny, ale rewolucyjny: starożytni Grecy być może nie odróżniali niebieskiego jako osobnej barwy nie dlatego, że byli daltonistami, ale dlatego, że ich język nie miał na tę barwę precyzyjnego słowa. Współczesna lingwistyka kognitywna uściśla ten wniosek: Guy Deutscher w „Through the Language Glass" (2010) przekonuje, że Grecy widzieli niebieski, ale bez odrębnej nazwy nie mieli narzędzia, by zatrzymać na nim uwagę i wyodrębnić go jako kategorię. Chodzi nie o biologiczną ślepotę, lecz o brak kategorii.

Kolory wszechświata

Nie ma już białych plam w atlasach świata, są tylko zagęszczające się szczegóły. Matematyczny katalog barw widzialnych przez trychromatyczne oko jest, w ujęciu strukturalistów, równie kompletny: każda możliwa kombinacja sygnałów czopkowych ma swoje współrzędne w przestrzeni CIE 1931. Co więcej, twórcy tej przestrzeni wiedzieli od początku, że ich układ współrzędnych wychodzi poza to, co fizycznie osiągalne.

Żeby wszystkie realne barwy miały nieujemne współrzędne, matematyczne osie X, Y, Z musiały leżeć poza przestrzenią możliwych bodźców świetlnych. Region ten ma nazwę: kolory wyobrażone, *imaginary colors*. Olo jest czymś pokrewnym, choć nieidentycznym – sygnałem czopkowym nieosiągalnym przez żadne fizyczne źródło światła z powodów optycznych, nie matematycznych. Ale ta konkretna współrzędna czekała od 90 lat – jako liczba, nie jako doświadczenie.

A jednak eksperyment z Berkeley pokazał, że ta mapa – kompletna według natury – nie jest kompletna według możliwości technologicznych. Istnieją sygnały, których natura nigdy nie wygenerowała, bo wymagałoby to niefizycznych warunków. Olo jest dowodem, że granica percepcji nie leży tam, gdzie granica naturalnego spektrum elektromagnetycznego. Leży tam, gdzie granica możliwej architektury neuronalnej.

Paul Cézanne miał powiedzieć – przynajmniej tak zanotował jego przyjaciel i biograf Joachim Gasquet – że „barwa jest miejscem, gdzie mózg spotyka się z wszechświatem". To zdanie brzmi jak poetycka przesada, ale jest precyzyjną fizyką. Kolor nie istnieje poza tym spotkaniem. Odkrycia nowych barw nie będą więc już przychodzić ze świata zewnętrznego – ze skał, owadów, tlenków metali. Stulecia chemii wycisnęły z materii wszystko, co mogła dać. Ostatnia granica leży wewnątrz: w kartografii przestrzeni neuronalnej, która nigdy nie została do końca zbadana, bo nikt dotąd nie miał narzędzi dostatecznie precyzyjnych, by pisać bezpośrednio na siatkówce. Teraz te narzędzia istnieją.

Być może za kilka dekad będziemy mieć całą bibliotekę barw laserowych – katalog doświadczeń, które istnieją wyłącznie w ludzkim mózgu i nigdzie indziej w kosmosie. Kolorów, dla których nie ma słów. Kolorów, które można przeżyć, ale których nie można opowiedzieć.

WOJCIECH MAMAK

eprasa.pl 13db1c51da

I odpuść nam nasze miliardy

Po co nam bogacze i czy ich istnienie to dziejowa nieuchronność, wyjaśnia prof. Guido Alfani, historyk gospodarki, autor książki „Jak bogowie pośród ludzi”.

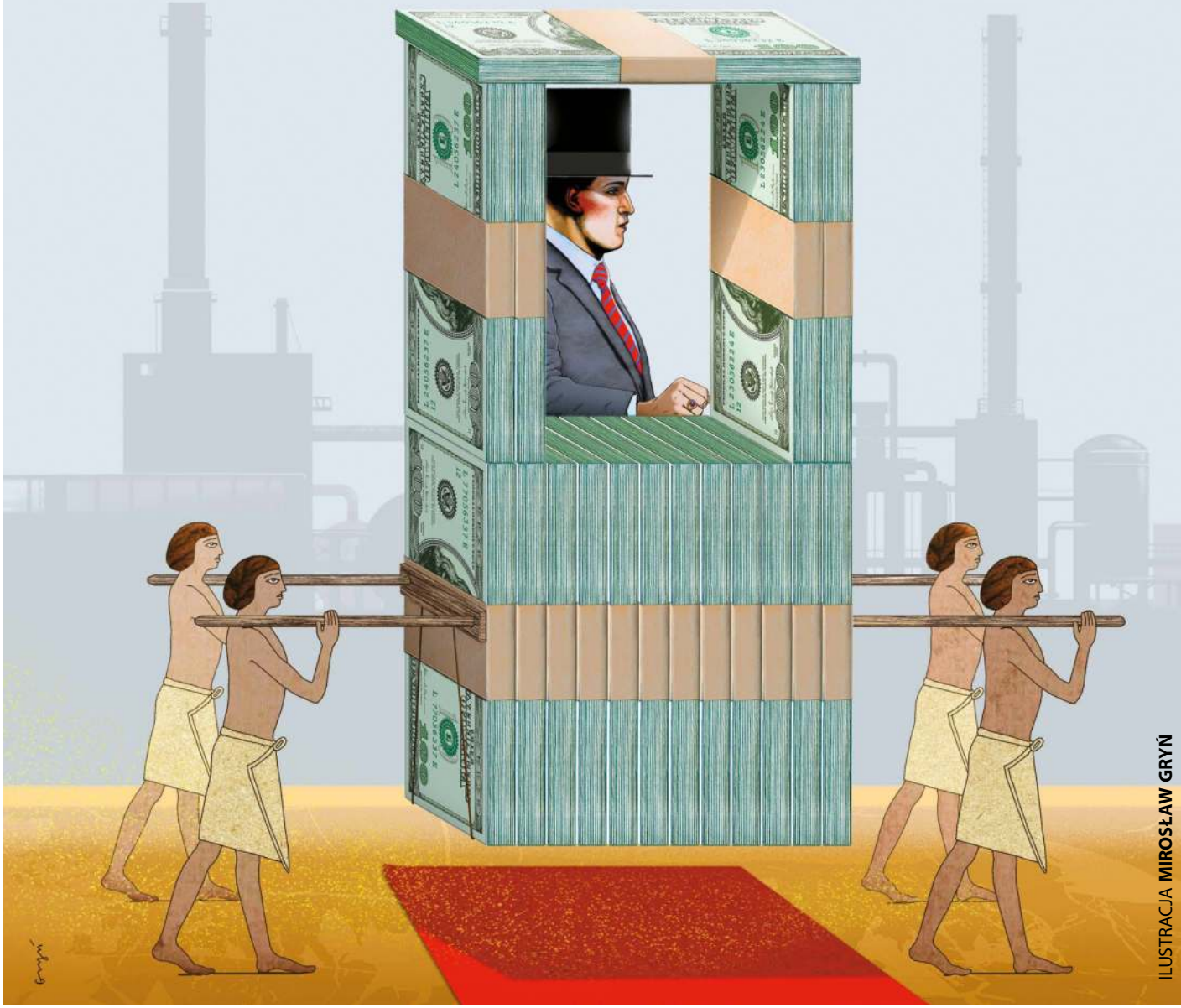

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Zanim przeczytałem pana książkę, do głowy by mi nie przyszło, że bogacze mogą faktycznie być do czegoś potrzebni. Oni po prostu są. Skąd więc to pytanie?**

GUIDO ALFANI: – To konieczne, ponieważ sami najbogatsi bardzo starają się prezentować jako jednostki użyteczne dla ogółu. Najczęściej słyszymy argument, że tworzą miejsca pracy. Ich przedsiębiorczość napędza gospodarkę, co przynosi korzyści wszystkim. Dziś przyjmujemy to niemal za oczywistość. Jednak z perspektywy historycznej sprawa wygląda inaczej. Przez wieki bogaci musieli bardzo się starać, by udowodnić swoją przydatność. Sama ich obecność dla reszty społeczeństwa nie była uznawana za coś naturalnego czy danego.

W tytule nawiązuje pan do Arystotelesa, który twierdził, że człowiek dysponujący nadmiernymi zasobami zachowuje się jak „bóg między ludźmi”.

Arystoteles ostrzegał, że w demokratycznej wspólnocie osoby posiadające rażącą przewagę – czy to w cnocie, czy w zasobach materialnych – nie będą skłonne przestrzegać wspólnych wartości. ▶

eprasa.pl 13db1c51da

▶ Jego zdaniem takich ludzi nie sposób kontrolować za pomocą miękkich narzędzi, takich jak zawstydzenie czy strach. A fakt, że nie czują się zobowiązani stosować do zasad, czyni ich niebezpiecznymi dla wspólnoty. Arystoteles dotknął tu problemu, który okazał się ponadczasowy i wciąż nam towarzyszy. Grecki filozof martwił się o stabilność demokracji w obliczu rosnących nierówności. To, co pisze w swoich książkach Thomas Piketty, jest więc w prostej linii kontynuacją obaw Arystotelesa. Zmieniło się tylko jedno – przez setki lat bogaci wypracowali skuteczne mechanizmy „betonowania" zdobytych wpływów i moralnego uzasadniania swojego statusu.

W takim razie jak Europa na przestrzeni ostatnich stuleci odpowiadała na pytanie o sens istnienia bogactwa?

Przez długi czas zależało to od tego, do kogo należały pieniądze. Bogactwa szlachty, jej uprzywilejowanego miejsca w społeczeństwie raczej nie atakowano – poza wyjątkowymi wydarzeniami, jak społeczne rewolucje nawołujące do obalenia hierarchii w ogóle. Uważano, że szlachta zajmuje przyrodzone miejsce w porządku świata, że jej uprzywilejowany status to element boskiego planu. Poza tym sprawowała funkcję obronną. Miała zapewniać bezpieczeństwo, więc jej istnienie brano za konieczność.

Problemem było bogate mieszczaństwo, zwłaszcza ludzie zajmujący się bankowością. Średniowieczni teolodzy patrzyli na nich jak na owładniętych chciwością grzeszników. Pytano retorycznie: po co gromadzą dobra, zamiast rozdać je biednym? Najgorzej oceniano lichwiarzy. Skoro czas należy do Boga, pobieranie odsetek za zwłokę uznawano za kradzież boskiej własności. Św. Tomasz z Akwinu ujął ów dylemat w zgrabną sentencję: *Nummus non parit nummos* (łac. Pieniądz nie rodzi pieniądza). Uważam, że zachodnia kultura do dziś ma trudności z przepracowaniem tego dysonansu.

To dość dziwne, biorąc pod uwagę, że to właśnie na Zachodzie narodził się kapitalizm.

W naszej kulturze bogactwo zbite na obrocie kapitałem czy operacjach finansowych budzi większą podejrzliwość niż to zdobyte dzięki innowacjom czy przedsiębiorczości. Elity finansowe wciąż mają problem z uzasadnieniem swojego statusu, co widzieliśmy podczas kryzysu w 2008 r. i protestów Occupy Wall Street.

Guido Alfani – profesor historii gospodarczej na Uniwersytecie Bocconiego w Mediolanie. Autor wielu prac o ekonomicznych nierównościach w średniowiecznej i nowożytnej Europie. Jego książka „Jak bogowie pośród ludzi. Historia bogaczy na Zachodzie" w 2025 r. ukazała się po polsku.

Aby przełamać ów impas, trzeba by zbiorowo uznać, że chciwość sama w sobie jest pożyteczna, jak argumentował Gordon Gekko w filmie „Wall Street". Jednak nie wierzę, żeby większość ludzi była to w stanie zaakceptować.

Kiedy uznano, że prywatny kapitał może służyć dobru wspólnemu?

W czasach renesansu. Około XV w. w pismach humanistów widać nową narrację, że bogaci są potrzebni, bo gromadzą pieniądze, które w chwilach kryzysu – wojny, zarazy czy głodu – można wykorzystać na rzecz społeczności. Jak to zrobić? Było wiele instrumentów: pożyczki, podatki. A gdy zamożni nie chcieli oddać po dobroci, to w grę wchodziło wywłaszczenie. Majątki bogaczy porównywano do „prywatnego spichlerza", z którego państwo może skorzystać w potrzebie. Wówczas też zaczyna kształtować się swoista umowa społeczna: tolerujemy wasze bogactwo, dopóki ratujecie nas w czasie nieszczęścia.

Czy faktycznie ratowali? Przygniatająca większość uważa, że bogaci nie chcą pomagać zwykłym ludziom.

Oczywiście, trzeba przyjąć, że jeśli pomagali, to robili to niechętnie. Chodzi jednak o to, że w przeszłości łatwiej było ich do tego przymusić. Bankierzy w XVI czy XVII w. z pewnością nie palili się do tego, by pożyczać pieniądze hiszpańskim i francuskim monarchom. Robili to, bo nie mieli innego wyjścia. Angielska arystokracja zapewne nie miała ochoty płacić wyższych podatków podczas wojen napoleońskich, kiedy skarb państwa tego wymagał. A mimo wszystko płaciła. Podczas pierwszej i drugiej wojny światowej elity finansowe w Europie raczej nie miały interesu w kupowaniu obligacji wojennych od państwa. Czasami robiły to chętnie – z pobudek patriotycznych – a czasami pod rosnącym naciskiem społeczeństwa i władz. Zmierzam do tego, że w przeszłości istniała wola, a co za tym idzie – sposoby, by pociągnąć bogatych do odpowiedzialności i skłonić do honorowania umowy społecznej, o której mówiłem. Co nas powinno niepokoić, to fakt, że pod koniec XX i w XXI w. ta wola wyparowała.

Do pewnego momentu największym zagrożeniem dla elit finansowych, szczególnie bankierów, było państwo. Pożyczając pieniądze monarchom, ryzykowali bankructwo.

Tak, kiedyś to bankierzy ratowali monarchów przed bankructwem – dziś jest na odwrót: państwo wykupuje długi bankierów, aby ci mogli trwać. Nastąpiło przejście od sytuacji, w której dług publiczny był de facto finansowany z prywatnych kieszeni bankierów, do takiej, gdzie prywatne ryzyko zostało upublicznione. Dawniej całe ryzyko było po stronie bankierów i finansistów. Dziś są oni „zbyt duzi, by upaść", więc chroni się ich przed bankructwem środkami podatników. Niezwykle znaczące jest to, że reakcją rządów zarówno na kryzys finansowy z lat 2008–09, jak i na epidemię Covid-19 było przerzucenie kosztów na klasę średnią, co jest ewenementem w skali historycznej. Zamiast systemu, który pociągnąłby miliarderów do odpowiedzialności za bieg rzeczy, mamy „filantropię".

Według miliarderów ich fundacje robią więcej dobrego niż nieefektywne rządy.

Problem z filantropią jest dwustopniowy. Po pierwsze, często nie jest bezinteresowna. Służy budowaniu kapitału politycznego i utrzymaniu wpływów, a czasem nawet unikaniu podatków. Po drugie, i to jest kluczowe w demokracji, oddaje proces decyzyjny w ręce najbogatszych. To oni decydują, na co pójdą pieniądze, zamiast pozwolić wybranym instytucjom publicznym rozporządzać tymi środkami zgodnie z potrzebami społeczeństwa. Taka logika podważa fundamenty systemu demokratycznego.

eprasa.pl 13db1c51da

Jest jeszcze jeden niepokojący trend: miliarderzy, jak Silvio Berlusconi czy Donald Trump, coraz częściej wchodzą bezpośrednio do polityki.

W latach 60., a nawet 70. XX w. Berlusconi nie mógłby zostać premierem żadnego zachodniego kraju. Zmieniła się kultura polityczna, a obsceniczne bogactwo zostało zasymilowane. Wyborcy stali się dużo bardziej tolerancyjni wobec bezpośredniego zaangażowania miliarderów w politykę. To paradoks, bo od czasów Arystotelesa europejska myśl polityczna przestrzegała przed ryzykiem przejęcia państwa przez elity finansowe. Na początku XX w. w Stanach Zjednoczonych rozbijano trusty, wprowadzano silną progresję podatkową, by ograniczyć potęgę ludzi takich jak J.P. Morgan.

Kiedy nierówności na Zachodzie były największe, a kiedy najmniejsze? I jak jest dzisiaj?

Minimum nierówności osiągnęliśmy tuż po „czarnej śmierci" w XIV w. – najbogatsze 10 proc. posiadało połowę majątku. Szczytowym punktem był rok 1914. Wówczas 10 proc. najbogatszych posiadało prawie 90 proc. całości majątku. Dziś jesteśmy gdzieś pośrodku, na poziomie 60–65 proc., ale ten wskaźnik stale rośnie.

Na przestrzeni wieków najbardziej znaczące spadki nierówności były najczęściej skutkiem katastrof: wojen, epidemii albo krwawych rewolucji. Historia pokazuje, że poziom nierówności jest w dużej mierze funkcją organizacji społeczeństwa, siły jego instytucji, ale i panującej kultury. Przez 20 lat po drugiej wojnie światowej państwa Zachodu doświadczały zarówno wzrostu ekonomicznego, jak i redukcji nierówności majątkowych. Wielka zmiana nastąpiła na przełomie lat 70. i 80. XX w., kiedy konserwatywny zwrot w polityce połączył siły z neoliberalną szkołą ekonomiczną. Być może więc to kultura jest motorem zmian.

Joel Mokyr, niedawny ekonomiczny noblista, pisał, że angielska rewolucja przemysłowa wynikała z oświeceniowej „kultury wzrostu". Ekonomistka i filozofka Deirdre McCloskey twierdzi, że spektakularny wzrost zamożności na Zachodzie od XIX w. wynika z akceptacji burżuazyjnej mentalności i prawa do bycia bogatym.

Język, kultura czy wartości, jakie w danym czasie cenimy, bez wątpienia mają kolosalny wpływ na procesy ekonomiczne. Proces „legitymizacji" bogactwa przypomina sinusoidę i wciąż się toczy. Polemizowałbym natomiast z McCloskey co do tego, że zmiana mentalności nastąpiła dopiero w XIX w. Przecież już w wieku XVI protestanccy teologowie przekonywali, że bogactwo może być pożyteczne.

Niektórzy dowodzą, że z matematycznego punktu widzenia wolny rynek zawsze prowadzi do koncentracji bogactwa w rękach nielicznych. Czy oznacza to, że nierówności są nieuniknione?

Ten wolny rynek to pewien stan teoretyczny. W realnym świecie rynki nie są całkowicie wolne, co możemy dziś obserwować na własne oczy, kiedy jak bumerang wraca kwestia ceł. To, co sprawdza się w matematycznym modelu, niekoniecznie znajduje odzwierciedlenie w gospodarce, gdzie w grę wchodzi ogromna liczba zmiennych. Prawdziwa gospodarka rynkowa może więc przejawiać cechy, które hamują tendencję do wzrostu nierówności. Z jednej strony byłbym zatem ostrożny wobec wszelkich nieuchronności. Z drugiej sądzę, że jeśli występuje silna tendencja do koncentracji majątku, istnieją również sprawdzone w historii narzędzia, aby jej przeciwdziałać, od progresji podatkowej po zwiększone wydatki socjalne. To, kiedy i czy w ogóle chcemy po nie sięgnąć, jest już kwestią polityki.

A jak odnosi się pan do poglądu, że ekonomiczne nierówności grają kluczową rolę w procesie integracji i dezintegracji społeczeństw?

Debata o nierównościach zawsze dotyczyła tego, jak uniknąć przemocy i utrzymać stabilność społeczną. Sądzę, że historycznym sukcesem zachodnich demokracji było zapewnienie masom szerokiego udziału w korzyściach ze wzrostu gospodarczego. Jeśli ten mechanizm przestanie działać – a w ostatnich dekadach wyraźnie się zaciął – trzeba będzie wynaleźć nowe sposoby albo nowe instytucje, aby wprawić go w ruch. Inaczej pozostaje tylko przemoc, ale traktuję to jako najgorszy scenariusz.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

© BOCCONI UNIVERSITY

REKLAMA

26 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Przez 25 lat wsparliśmy 407 naukowców!

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Formularz zgłoszeniowy: **polityka.pl/stypendia**

Na zgłoszenia czekamy do 14 czerwca!

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026

KOPIPOL®

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026

Dr Irena Eris

CONSULTRONIX®

zaks sprzyjamy wyobraźni

Patron honorowy

Marcin Kulasek
Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Patroni medialni

tokfm

FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 13db1c51da

Kompleks świątynny Angkor Wat. Imperium Khmerów miało króla, ale funkcjonowało w ramach sieci lokalnych wspólnot.

Demokracja przed Atenami

Do niedawna sądziliśmy, że demokracja narodziła się w Atenach w V w. p.n.e., a poza światem śródziemnomorskim dominowały monarchie i imperia. Z badań archeologów wyłania się inny obraz.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Zespół kierowany przez Gary'ego Feinmana z Field Museum w Chicago przeanalizował niedawno dane z 40 dawnych społeczeństw Europy, Azji i obu Ameryk, by dojść do wniosku, że systemy ograniczające władzę przywódców pojawiały się znacznie częściej, niż sądziliśmy.

Autorzy badania przyjęli dwa podstawowe kryteria analizy. Pierwsze dotyczyło stopnia koncentracji władzy, czyli tego, czy decyzje podejmowała jedna osoba lub wąska elita. Drugie odnosiło się do zakresu uczestnictwa zwykłych mieszkańców w rządzeniu. Pomocna w jego odgadnięciu była urbanistyka miast – układ przestrzeni publicznych czy monumentalna architektura – ale też przedstawienia władców w sztuce, grobowce elit oraz inne oznaki nierówności majątkowych. Jeśli w centrum miasta dominowały ogromne pałace i monumentalne grobowce, a sztuka przedstawiała władców w nadludzkiej skali, był to sygnał silnej koncentracji władzy. Z kolei rozległe place, duże budynki zgromadzeń czy brak wyraźnych rezydencji elit mogły wskazywać na bardziej rozproszony system rządów.

Gremium kolektywne

– *Opracowaliśmy narzędzie oparte na 27 wskaźnikach, które pozwoliło nam umieścić badane społeczeństwa na osi między bardziej kolektywnymi a bardziej autokratycznymi formami rządów* – wyjaśnia Gary Feinman. – *Następnie zestawiliśmy te wyniki z danymi o nierównościach i innych cechach społecznych dla tych 40 przypadków, ale żaden pojedynczy wskaźnik nie był rozstrzygający – liczył się ich łączny obraz.* Powstały „indeks autokracji" pozwolił umieścić badane społeczeństwa na skali między silnie scentralizowaną władzą a bardziej wspólnotowymi formami zarządzania – nieco przesuniętej w stronę regionów lepiej rozpoznanych, dla których jest wystarczająco dużo danych.

Ponieważ wiele dawnych społeczeństw nie pozostawiło tekstów pisanych, archeolodzy muszą „czytać" systemy polityczne z układu murów i przestrzeni publicznych. Najbardziej spektakularnym wyzwaniem dla teorii o „nieuchronnej monarchii" jest cywilizacja Doliny Indusu z III tysiąclecia p.n.e. W metropoliach takich jak Mohendżo-Daro czy Harappa, zamiast ociekających złotem pałaców i monumentalnych grobowców, odnajdujemy zaawansowaną sieć kanałów oraz ogromne, wspólne magazyny zboża. Brak centrum władzy sprawił, że społeczeństwa Indusu zaczęto interpretować jako bardziej egalitarne lub przynajmniej mniej hierarchiczne. Nie oznacza to oczywiście, że była to demokracja w sensie ateńskim. Raczej chodziło o system, w którym decyzje mogły zapadać w gremiach kolektywnych – być może radach miejskich, wspólnotach kupieckich lub innych instytucjach administracyjnych.

Bardziej rozproszona władza nie oznaczała automatycznie społeczeństwa harmonijnego, pozbawionego przemocy czy napięć. Przez długi czas cywilizację Doliny Indusu przedstawiano wręcz jako przykład „pacyfistycznej" kultury, ale badania bioarcheologiczne ostatnich 20 lat skomplikowały ten obraz. Analizy szkieletów z Harappy pokazują bowiem ślady urazów, które mogły być skutkiem przemocy, a w późnym okresie pojawiają się także oznaki niedożywienia i chorób. Z badań zespołu Feinmana wynika też, że rozproszona forma władza zwykle wiąże się z mniejszymi nierównościami, ale nie eliminuje konfliktów. Widać natomiast wyraźny związek między koncentracją władzy a skalą nierówności majątkowych – im silniej skupiona władza, tym większe różnice w zasobach, co archeolodzy odczytują choćby na podstawie wielkości domów.

Kultura Harappa nie była żadnym idyllicznym wyjątkiem, lecz raczej jednym z wielu przykładów społeczeństw, które próbowały ograniczać władzę, nie zawsze jednak unikając napięć. Zresztą i demokratyczne Ateny nie były żadnym ideałem, w końcu równość polityczna dotyczyła tylko wolnych obywateli *polis*, wykluczone były zarówno kobiety, jak i przyjezdni oraz niewolni.

Władza usieciowiona

Ten brak „pomników pychy" znajduje swoje odbicie po drugiej stronie oceanu, choć w zupełnie innej formie estetycznej. Teotihuacan w Meksyku mimo swojej ogromnej skali (między I a VII w. był

© DMYTRO BUIANSKYI/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 13db1c51da

jednym z największych miast świata, w którym mogło mieszkać nawet 100 tys. osób) konsekwentnie milczy na temat swoich liderów. Przez centrum miasta biegła szeroka Aleja Zmarłych, a wokół niej rozciągały się ogromne place i monumentalne piramidy – zaskakuje jednak niemal całkowity brak przedstawień władców. Podczas gdy sąsiedni Majowie portretowali królów w nadludzkiej skali, w Teotihuacanie artyści woleli uwieczniać procesje i symbole wspólnotowe. Może to wskazywać na system, w którym elity działały wyłącznie w ramach silnych instytucji zbiorowych.

Kolektywne zarządzanie wymagało jednak fizycznej przestrzeni do debat. Ślady takich starożytnych „parlamentów" odnajdujemy w północnoamerykańskiej Cahokii i meksykańskim Chiapa de Corzo. To pierwsze było osadą kultury Missisipi (w pobliżu dzisiejszego St. Louis), która w szczytowym okresie mogła liczyć nawet 15–20 tys. mieszkańców, co czyniło ją największym ośrodkiem protomiejskim Ameryki Północnej przed przybyciem Europejczyków. Obecność gigantycznych kopców ziemnych w Cahokii może sugerować istnienie hierarchii. Ale towarzyszące im rozległe place służyły jako miejsca zgromadzeń, na których podejmowano najważniejsze decyzje dotyczące całej społeczności. Podobnie w Chiapa de Corzo, mieście kultury Zoque, które rozwijało się w I tys. p.n.e., brak pałaców przy jednoczesnej obecności dużych budynków publicznych podsuwa wniosek, że władza była tam znacznie bardziej rozproszona niż u późniejszych, autorytarnych władców państwa Majów.

Nawet tam, gdzie archeologia wyraźnie wskazuje na obecność króla, obraz absolutnego jedynowładztwa bywa złudny. Tabliczki klinowe z Mari nad Eufratem dowodzą, że 18 wieków przed Chrystusem władcy regularnie zasięgali języka u rad starszych i zgromadzeń mieszkańców. Do tego stopnia, że w połowie XX w. badacz starożytnego Bliskiego Wschodu Thorkild Jacobsen interpretował wczesne miasta Mezopotamii jako formy „pierwotnej demokracji". Podobną dynamikę widać w średniowiecznym Angkorze – stolicy imperium Khmerów w Azji Południowo-Wschodniej. Kompleks świątynny Angkor Wat i gigantyczny system kanałów irygacyjnych sugerowałyby mocno scentralizowane państwo – i rzeczywiście potęga królewska była tam bardzo silna. Imperium funkcjonowało jednak w ramach złożonej sieci lokalnych wspólnot i zarządców, co czyniło system znacznie bardziej rozproszonym.

Żywe organizmy

Zrozumienie, dlaczego jedne miasta wybierały rady, a inne wznosiły pomniki królom, wymaga spojrzenia na ich „portfel". Najsilniejszą zależnością, jaką odkrył zespół Gary'ego Feinmana, były bowiem źródła finansowania. Systemy stawały się najbardziej autokratyczne tam, gdzie elity miały wyłączną kontrolę nad strategicznymi zasobami: handlem dalekosiężnym, kopalniami, łupami wojennymi czy pracą niewolników. Skrajnym przykładem jest chińskie Anyang – stolica dynastii Shang w Chinach w II tys. p.n.e. – gdzie bogactwo służyło wyłącznie podkreśleniu niemal boskiej pozycji władcy, stąd monumentalne grobowce królewskie pełne brązowych naczyń, jadeitu i ofiar z ludzi.

Ale to nie jest tak, że raz obrany kierunek – kolektywny lub autorytarny – definiuje społeczeństwo na wieki. Systemy polityczne nie były i nie są zabetonowane. To żywe organizmy, które potrafią się przesuwać na skali wolności w zależności od okoliczności. Najbardziej sugestywnym przykładem tej płynności jest Rzym. Przez stulecia funkcjonował jako republika, oparta na senacie, zgromadzeniach ludowych i systemie urzędów wzajemnie kontrolujących swoją władzę. Jednak ten sam organizm pod wpływem wewnętrznych napięć i koncentracji zasobów przekształcił się w cesarstwo o skrajnie scentralizowanej strukturze. Historia Rzymu pokazuje, że droga do autokracji (i z powrotem) jest zawsze otwarta, a żadna instytucja nie gwarantuje wiecznego rozproszenia władzy.

– *Zaskoczyło nas, jak słabo na charakter władzy wpływały takie czynniki jak wielkość populacji czy złożoność społeczeństwa. To tłumaczy, dlaczego tak duże miasta jak Teotihuacan czy Mohendżo-Daro mogły funkcjonować w sposób bardziej kolektywny, niż zakładaliśmy. Zdecydowanie najsilniejszą zależnością okazały się źródła finansowania władzy. Im więcej zasobów kontrolowały elity, tym systemy były bardziej autokratyczne, a im bardziej społeczeństwa finansowały władzę poprzez podatki lub wspólną pracę publiczną, tym częściej rozwijały bardziej rozproszone systemy rządów* – podkreśla Feinman.

W ostatnich latach coraz częściej pojawiają się próby przemyślenia historii władzy na nowo. David Graeber i David Wengrow w „Narodzinach wszystkiego" podkreślali, że ludzie od tysięcy lat eksperymentowali z różnymi formami organizacji politycznej. Badanie Feinmana poddaje to próbie empirycznej i prowadzi do podobnych wniosków. Historia władzy jest znacznie bardziej złożona, a demokracja – rozumiana jako ograniczanie władzy jednostki i dzielenie się decyzjami – nie była jednorazowym wynalazkiem, bo różne społeczeństwa dochodziły do podobnych rozwiązań wielokrotnie i na różne sposoby.

– *Zgadzamy się z Graeberem i Wengrowem, że ludzie w przeszłości nie byli zorganizowani wyłącznie w sposób „despotyczny" i że praktyki bardziej „demokratyczne" nie były domeną wyłącznie Europy. Widzimy jednak znacznie większą zmienność niż oni. Zarówno w przeszłości, jak i dziś współistniały różne formy rządów: od bardziej kolektywnych po wyraźnie autokratyczne. Co więcej, te same społeczności mogły z upływem czasu przesuwać się wzdłuż tego spektrum. Władza nie była raz na zawsze określona ani przypisana do konkretnej kultury. Była dynamiczna* – podkreśla Gary Feinman.

Seria wyborów

Co niezwykle istotne, badania nie znalazły wyraźnego związku między charakterem władzy a pojawieniem się rolnictwa. – *Wykorzystanie zasobów rolnych sprzyjało stabilności osadnictwa i powstawaniu większych jednostek politycznych, ale nie prowadziło automatycznie do koncentracji władzy ani wzrostu nierówności. Rolnictwo podnosiło „sufit" dla skali organizacji społecznej, ale to, czy pojawi się większa hierarchia, zależało od instytucji i ludzkich decyzji* – mówi badacz. A zatem rolnictwo mogło współistnieć z silną autokracją, jak np. w Chinach, ale gdzie indziej prowadziło do bardziej rozproszonych form organizacji. Ateńczycy nadali temu modelowi nazwę demokracja i stworzyli instytucje, które znamy z podręczników.

Archeologia potwierdza, że nie było prostej drogi prowadzącej od równości do hierarchii. Była to seria wyborów. Także dziś nie jesteśmy skazani na jeden model władzy. Tak jak w przeszłości, pozostaje on – przynajmniej częściowo – kwestią decyzji. A skoro tak, to może najciekawsze pytanie nie brzmi już: gdzie narodziła się demokracja?, lecz: dlaczego tak często o niej zapominamy? ■

eprasa.pl 13db1c51da

Pogrzeb bez ciała

Uroczystości żałobne w Warszawie, rycina Louisa Courtina. Na kolejnych ilustracjach uroczysty kondukt, grafiki Jana Feliksa Piwarskiego.

Po śmierci króla polskiego i cesarza Rosji Aleksandra I Polacy zorganizowali z wielką pompą katolickie uroczystości pogrzebowe w Warszawie. Nie przeszkodziły ani brak zwłok, ani prawosławne wyznanie zmarłego.

VIOLETTA WIERNICKA

7 kwietnia 1826 r. z Zamku Królewskiego w Warszawie wyruszył kondukt żałobników. Zmierzali do Katedry św. Jana, gdzie zaplanowano uroczystą mszę za duszę zmarłego. W liczącej 3128 osób procesji szli senatorowie, ministrowie, urzędnicy, wojskowi, przedstawiciele województw, cechów rzemieślniczych, szkół. Na katafalku jechała... pusta trumna. Pogrzeb był symboliczny, zorganizowany na cześć zmarłego przed czterema miesiącami Aleksandra I Romanowa, króla polskiego i cesarza Rosji. Władca został już pochowany w Twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu.

Źródła historyczne nie precyzują, kto był pomysłodawcą tego wydarzenia. Brat zmarłego wielki książę Konstanty (mieszkał w Warszawie i dowodził wojskiem polskim), rząd Królestwa Polskiego czy carski namiestnik gen. Józef Zajączek? Ktokolwiek wysunął tę propozycję, spotkał się z poparciem polskich elit. Jedynym przeciwnikiem ceremonii okazał się minister oświaty hr. Stanisław Grabowski utrzymujący, że w katolickiej świątyni nie należy czcić innowierczego monarchy. Jego pomruki zostały zignorowane, gdyż w powszechnej świadomości Aleksander I jawił się jako „dobroczyńca" i „wskrzesiciel Narodu Polskiego".

Rzeczywiście, zmarły był polonofilem i jeszcze za życia swojej babki Katarzyny II potępił rozbiory. Co więcej, nie miał naszym

eprasa.pl 13db1c51da

rodakom za złe udziału w napoleońskim najeździe na Rosję i w grudniu 1812 r. zastosował wobec nich prawo cesarskiej łaski. Na kongresie wiedeńskim przeforsował utworzenie autonomicznego Królestwa Polskiego połączonego z Rosją unią personalną, choć rosyjskie elity opowiadały się za zwykłym wcieleniem ziem polskich do imperium. W nowym państwie ustanowił najliberalniejszą w Europie konstytucję, choć potem sam kilkakrotnie ją złamał, m.in. wprowadzając cenzurę prewencyjną prasy i opóźniając zwołanie sejmu.

Królestwo miało własną armię i prowadziło niezależną od Petersburga politykę gospodarczą. Dzięki rozważnym działaniom rządu m.in. doprowadzono do modernizacji Warszawy znajdującej się w opłakanym stanie po wojnach napoleońskich. W latach 1815–25 w stolicy nastąpił boom budowlany dzięki założeniu tzw. funduszu żelaznego finansującego wznoszenie domów mieszkalnych. Regulowano ulice i wytyczono główną arterię miejską – Aleje Jerozolimskie. Większość placów Śródmieścia, np. Zamkowy, Teatralny i Trzech Krzyży oraz wiele budynków użyteczności publicznej, m.in. Kościół pw. św. Aleksandra (obecnie Trzech Krzyży) czy siedziba Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, znana jako Pałac Staszica, powstały za aprobatą monarchy (ciekawostką jest, że część środków na upiększenie miasta pochodziła z prywatnej szkatuły Aleksandra I). W stolicy zapanowała przedrozbiorowa atmosfera, jak odnotował przybyły z Krakowa Aleksander Jełowicki: „w Warszawie tańców bez liku; tańcują w zamkach, w ogrodach, w mieście za miastem, w lecie i w zimie".

Obecność Aleksandra I na tronie traktowano jako gwarancję dalszego rozwoju. Jego śmierć wzbudziła obawy co do przyszłości Królestwa, o czym świadczy wpis w dzienniku Juliana Ursyna Niemcewicza: „Cios wywracający wszystkie panujące układy, cios może śmiertelny dla nas, bo zawziętość przeciwko nam i narodu moskiewskiego, i Austrii, i Prusaków, wszystko się spiknie, by i tę tak wątłą Polskę wywrócić".

Gdy zapadła decyzja o ceremonii na cześć Aleksandra I, na przeszkodzie nie stanął nawet brak jego szczątków, bo królewskie pożegnania bez ciała były częścią europejskiej tradycji funeralnej. Na przykład w XVII-wiecznej Francji żałobnicy gromadzili się w sali paradnej wokół pustej trumny z portretem nieboszczyka, podczas gdy jego ciało spoczywało w pokoju żałobnym.

Nad organizacją warszawskiej ceremonii czuwał gen. Zajączek, który uwzględnił fakt, że zmarły postrzegał siebie jako kontynuatora tradycji polskiej monarchii. Dlatego na miejsce żałobnego nabożeństwa wybrano Katedrę św. Jana, gdzie odbyły się m.in. ślub Jana III Sobieskiego, koronacje Stanisława Leszczyńskiego i Stanisława Augusta Poniatowskiego, uroczystości żałobne Zygmunta II Augusta.

Kaplicę przedpogrzebową urządzono w warszawskiej siedzibie Aleksandra I – na Zamku Królewskim, który z tej okazji zyskał specjalną dekorację autorstwa wybitnego architekta Jakuba Kubickiego – czarną draperię zasłaniającą łuki arkad i okna (oprócz tych od strony wschodniej). W Sali Kolumnowej stanął okazały katafalk z okrytą płaszczem królewskim pustą trumną. Umieszczono na niej symbole władzy: koronę, berło, miecz i kulę ziemską, Obok katafalku na taboretach leżały ordery Aleksandra I i mundury, które ten ustanowił dla senatu i wojska polskiego. Właśnie do Sali Kolumnowej udawali się przedstawiciele władz państwowych i wojskowych oraz damy ze stołecznej socjety, aby oddać hołd Aleksandrowi I.

Ale głównym elementem uroczystości był pochód. Jego uczestnicy zgromadzili się obok Zamku Królewskiego 7 kwietnia o godz. 7.30 i zaczęli ustawiać się według ustalonego planu. Procesja ruszyła o 9.00 rano. Zgodnie z tradycją zapoczątkowaną podczas pogrzebu Zygmunta Starego w 1548 r. składała się z przedstawicieli różnych grup zawodowych i społecznych w następującej kolejności: straż, tj. wojsko i policja, władze Warszawy i członkowie cechów rzemieślniczych, duchowieństwo i sieroty z miejskich przytułków, nauczyciele, studenci i uczniowie, posłowie i radcy wojewódzcy, Senat, Rada Stanu i ministrowie, różne instytucje państwowe i znowu straż. Zamykały go udrapowane na czarno karety wiozące panie z warszawskiej socjety na czele z księżną łowicką Joanną, żoną wielkiego księcia Konstantego, i Aleksandrą Zajączkową, małżonką namiestnika.

Wszystkie damy założyły strój, którego wygląd określono w specjalnym zarządzeniu: czarny aksamitny beret z piórami i długim krepowym welonem, głęboko wyciętą suknię z długim trenem i naszyjnik z czarnych pereł. Dzięki temu – jak pisała w swoich wspomnieniach Bogusława z Dąbrowskich Mańkowska – „wyglądały jak jakie czarnoksiężniczki lub królowe nocy". Jedyną osobą bez wyznaczonego miejsca był wielki książę Konstanty. Jak odnotowała pamiętnikarka, „asystował całemu pochodowi, a raczej jak policjant doglądał porządku, jeżdżąc wciąż konno z jednego na drugi koniec orszaku".

Centralny punkt procesji stanowiła trumna na powozie ciągniętym przez osiem koni. Przed nią jechał rycerz we wspaniałej zbroi, z mieczem zwróconym ostrzem ku ziemi. Kroczący za trumną senatorowie nieśli symbole władzy królewskiej, a generałowie – wspomniane już ordery i mundury.

Trasa procesji przebiegała przez Krakowskie Przedmieście, Plac Saski, ulice Wierzbową, Bielańską, Długą, Miodową, Senatorską i Świętojańską. Na całej jej długości udrapowano kirem kościoły oraz balkony, drzwi i okna na parterze mijanych budynków (nadanie miastu żałobnego wyglądu było tak dużym ▶

© POLONA

eprasa.pl 13db1c51da

▶ przedsięwzięciem, że w trakcie prac kilkakrotnie zabrakło czarnej tkaniny, po którą wysyłano emisariuszy do wszystkich fabryk Królestwa). Po jednej stronie trasy ustawiono żołnierzy warszawskiego garnizonu. Po drugiej zgromadziło się ok. 30 tys. mieszkańców, a kolejni widzowie oglądali pochód, siedząc w otwartych oknach kamienic (jedynym warunkiem dopuszczającym do śledzenia ceremonii było założenie czarnego stroju). Wrażenia potęgował dźwięk dzwonów we wszystkich stołecznych świątyniach i oddawane co minutę strzały armatnie.

Na swoim szlaku procesja zatrzymywała się przy każdym kościele, m.in. wizytek, bazylianów, karmelitów, aby ofiarować królewską jałmużnę. Szambelan dworu w asyście dwóch dworzan niósł do świątyni worek z pieniędzmi, gdzie duchowny przyjmował dar i wydawał kwit.

Po trzech godzinach pochód dotarł do Katedry św. Jana. Wówczas rycerz rzucił miecz na ziemię, co oznaczało – jak wynika z „Opisu żałobnego pochodu po wiekopomnej pamięci najjaśniejszym Aleksandrze I" – że „władza, której zniknął ziemski powiernik, nigdy nie ginie, lecz wraca do źródła, z którego wypłynęła". Było to odtworzenie elementu ceremonii zapoczątkowanej podczas pogrzebu Zygmunta Starego ukazujące sakralny wymiar władzy królewskiej.

Przybyłych powitał arcybiskup warszawski Wojciech Skarszewski, a generałowie i senatorowie wnieśli trumnę do świątyni. Dekorację katedry zainspirowały uroczystości żałobne Augusta III Sasa. „Kolosalne masy tej starożytnej budowy okryto kirem żałobnym – czytamy we wspomnianym „Opisie". – Na słupach Świątyni zawieszono herby województw [...]. Ozdobne siedzenia kapłanów i odwieczne Zygmuntowskie organy powleczone były czarną i nieprzejrzaną zasłoną [...]. Wszystkie przezrocza i występy, widoczniej wpadające w oko, pokryto cyfrą [pierwszą literą imienia – przyp. V.W.] Monarchy".

Trumnę postawiono w okazałym *castrum doloris* (łac. miejsce boleści) po raz pierwszy urządzonym na pogrzebie Zygmunta III w Katedrze Wawelskiej. Było to ośmioboczne podwyższenie podtrzymywane ośmioma kolumnami korynckimi i zwieńczone baldachimem z koroną. Na trumnie złożono insygnia królewskie. Obok *castrum doloris* postawiono taborety z orderami i mundurami.

Gdy uczestnicy zajęli wyznaczone miejsca, rozpoczęła się msza żałobna celebrowana przez arcybiskupa Skarszewskiego, biskupów i wyższe duchowieństwo. 250-osobowy chór wykonał „Requiem" autorstwa Józefa Kozłowskiego – ulubionego kompozytora imperatorów i autora ówczesnego rosyjskiego hymnu „Niech rozbrzmiewa grom zwycięstwa". Arcybiskup mówił w kazaniu o zasługach Aleksandra I dla Królestwa i dojmującym smutku wywołanym jego śmiercią.

Gdy hierarcha otrzymał kwity potwierdzające wpłacenie królewskiej jałmużny, wzniósł modlitwę, by Bóg przyjął zmarłego do swojego królestwa. Przed zakończeniem nabożeństwa duchowni zaśpiewali „Salve Regina". Ostatnim akcentem uroczystości było przekazanie insygniów królewskich arcybiskupowi, które ten złożył przed ołtarzem. Następnie wszyscy rozeszli się do domów zgodnie z uprzednio wytyczonymi trasami. Mary królewskie zaniesiono do Zamku, a mundury oddano pułkom.

Władze Królestwa Polskiego uznały, że oprócz ceremonii konieczne będą inne sposoby uczczenia monarchy, dlatego mennica wyprodukowała pamiątkowe monety i medale. Poza tym 10 maja ogłoszono konkurs na najlepszą ilustrację wydarzenia w Katedrze św. Jana. Artyści mogli wybrać jeden z sześciu tematów, np. „Widok wewnętrzny kościoła katedralnego w chwili modlitwy za duszę Aleksandra" czy „Widok wewnętrzny kościoła katedralnego w chwili składania insygniów na wielkim ołtarzu". Z okazji pogrzebu w prasie drukowano utwory poetyckie o wątpliwej wartości literackiej, lecz ukazujące ówczesne nastroje, na przykład Ludwik Kondratowicz był autorem takiego dzieła:

„Śmierć ALEXANDRA wiecznie dla Polski pamiętna
Cudami nawet Niebios kreśli żali piętna
Natura z Nim straciwszy dzieł swoich ozdobę
W dniu ostatniej posługi przywdziewa żałobę".

Architekt Jakub Gay otrzymał zadanie zaprojektowania pomnika Aleksandra I, którego odsłonięcie zostało opóźnione z powodu wybuchu powstania listopadowego. Uczyniono to dopiero w 1835 r. Pomnik stanął na terenie wzniesionej rok wcześniej Cytadeli Warszawskiej, której nadano nazwę Aleksandrowska na cześć zmarłego imperatora.

VIOLETTA WIERNICKA

© POLONA

REKLAMA

Zachęcamy do zapisywania się do nowego newslettera historycznego Polityki.

Co tydzień wybór tekstów i tematów poświęconych **przeszłości Polski, Europy i świata.**

polityka.pl/newslettery

eprasa.pl 13db1c51da

Złodziej koron

Ukradzione regalia Karola II

Ubiegłoroczną kradzieżą z Luwru klejnotów Bonapartych, w tym korony cesarzowej Eugenii, żyła cała Europa. Ale jeszcze zuchwalsza kradzież królewskich insygniów miała miejsce ponad 350 lat temu w Londynie.

ANNA KALINOWSKA

Cała historia rozegrała się wiosną 1671 r. Angielskie insygnia koronacyjne, podobnie jak dzisiaj, przechowywane były w Tower of London. Oficjalnie za ich bezpieczeństwo odpowiadał sir Gilbert Talbot, urzędnik dworski, do którego zadań należał nadzór nad królewskimi klejnotami i srebrami stołowymi. Talbot miał dużo obowiązków, był też naukowcem amatorem, w związku z czym sporo czasu poświęcał różnego rodzaju eksperymentom i badaniom (znalazł się wśród członków założycieli Towarzystwa Królewskiego, jednej z najpoważniejszych korporacji zrzeszających naukowców). Niespecjalnie mógł, a zapewne też nie za bardzo chciał mieszkać w średniowiecznej twierdzy. W efekcie osobą, która na co dzień opiekowała się królewskimi klejnotami, był niejaki Talbot Edwards.

Edwards wraz z rodziną zajmował kwaterę bezpośrednio nad piwnicą, w której znajdowała się skrzynia z regaliami i innymi kosztownościami. Uznano najwyraźniej, że to wystarczy jako zabezpieczenie, ponieważ nie zadbano o zorganizowanie dodatkowego nadzoru czy straży, mimo że tuż obok znajdowała się, tłumnie odwiedzana przez Londyńczyków i turystów, królewska menażeria słynąca z posiadania kilku lwów. Co więcej, Edwards był już wiekowy – według niektórych źródeł miał blisko 80 lat – i kiepsko wynagradzany, ponieważ chętnie prezentował insygnia każdemu, kto gotów był uiścić niewielką opłatę.

Można przypuszczać, że dla oglądających były to dobrze wydane pieniądze, bo mieli okazję zobaczyć z bliska regalia wykorzystane podczas koronacji Karola II w 1661 r. Korona św. Edwarda, ta sama, której do dziś używa się podczas tego rytuału, nie była co prawda dokładną kopią wcześniejszej, zniszczonej po egzekucji Karola I w 1649 r., ale królewski jubiler Robert Vyner wykonał ją z blisko 2 kg złota. Druga, tzw. korona imperialna, w której król występował przy innych okazjach, była lżejsza. Jedyne, co mogło dziwić, to brak w obu szlachetnych kamieni. Z powodów finansowych specjalny komitet, który zajmował się przygotowaniami ceremonii koronacyjnych, zdecydował bowiem, że zamiast kupować diamenty, szafiry czy rubiny i umieszczać je w koronach na stałe, rozsądniej będzie je wypożyczyć (co wg rachunków kosztowało 500 funtów), a potem wymontować i zwrócić właścicielom. Dodatkowo pod opieką Edwardsa znajdowały się – również nowe – królewskie berło i jabłko.

Plan kradzieży wykorzystał bezlitośnie to swobodne podejście do kwestii bezpieczeństwa. Pewnego dnia w kwietniu 1671 r. do Edwardsa z prośbą o pokazanie insygniów zwróciła się para odwiedzająca Tower. Mężczyzna, ubrany w strój pastora, przedstawił się jako doktor Ailoffe, a towarzysząca mu kobieta ▶

© HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES

eprasa.pl 13db1c51da

▶ podawała się za jego żonę. Doktor z podekscytowaniem oglądał korony, berło i jabłko, ale niestety nie mógł podziwiać ich tak długo, jak by chciał, ponieważ jego małżonka nagle zaniemogła. Edwards zaniepokojony jej niedyspozycją zaproponował, by odpoczęła w jego mieszkaniu, a w dojściu do siebie pomogły jej jego żona i córka. Pani doktorowa dość szybko poczuła się lepiej i mogła wrócić do domu, ale jej mąż poruszony dobrocią Edwardsów wrócił po kilku dniach, by specjalnie im podziękować. Dało to początek przyjaznych relacji między dwiema rodzinami. Ailoffe zaproponował nawet małżeństwo pomiędzy swoim majętnym bratankiem i córką Edwardsa, i propozycja ta została entuzjastycznie zaakceptowana.

Zdecydowano, że ślub powinien odbyć się rankiem 9 maja. Około godz. 7.00 rano pan młody, jego wuj oraz przyjaciele przybyli do Tower, gdzie trwały przygotowania do uroczystości. Ponieważ oczekiwano na przybycie pani Ailoffe, padła propozycja, by tymczasem mężczyźni obejrzeli klejnoty koronne. W pomieszczeniu, w którym je przechowywano, Edwards został jednak obezwładniony, a jeden z napastników zdzielił go tak mocno w głowę, że stracił przytomność. Złodzieje podzielili regalia pomiędzy siebie – przy okazji częściowo je niszcząc, np. zgniatając kilka elementów korony św. Edwarda – i mieli zamiar oddalić się z miejsca przestępstwa.

W tym momencie zdarzyło się coś nieprzewidzianego – tego właśnie ranka do Londynu niezapowiedzianie wrócił syn Edwardsa, który przez kilka lat przebywał na Kontynencie. Nie zastawszy ojca w domu, udał się do piwnicy, gdzie znalazł nieprzytomnego rodzica i wszczął alarm, a następnie rzucił się w pościg za nieznajomymi, których minął w drzwiach. Ci nie zdołali uciec zbyt daleko – mimo że czekały na nich konie, nie mogli opuścić terenu Tower, ponieważ drogę zablokował im przypadkowo przejeżdżający wóz. Cała grupa, w tym jej przywódca, została aresztowana, a insygnia odzyskane.

W ramach śledztwa wyszło na jaw, że doktor Ailoffe to tak naprawdę niejaki Thomas Blood, jego domniemany bratanek w rzeczywistości był jego synem, a pozostali uczestnicy napadu to awanturnicy dobrze znani w londyńskim półświatku. Biorąc pod uwagę, co planowali ukraść, można by się spodziewać, że wszyscy zostaną przykładnie ukarani. Tymczasem nikt za tę kradzież nie odpowiedział, a pomysłodawca całego przedsięwzięcia, Blood, zyskał wręcz status celebryty. Był widywany regularnie na dworze, bywał chętnie w publicznych miejscach, gdzie z łatwością go rozpoznawano, a nawet miał swój stolik w jednym z londyńskich coffee-houses, White's w pobliżu Royal Exchange.

Kradzież w Tower of London, XIX-wieczne wyobrażenie malarza Henry'ego Perroneta Briggsa

Blood urodził się w Irlandii, najprawdopodobniej ok. 1618 r., w rodzinie kowala. Pierwsze dwadzieścia kilka lat jego biografii spowija tajemnica. Najpewniej służył w wojsku, co wyjaśniałoby używaną przez niego szarżę pułkownika, choć jego nazwisko nie pojawia się w żadnym ze spisów oficerów i żołnierzy walczących podczas kolejnych odsłon konfliktu domowego na Wyspach Brytyjskich. W połowie lat 50. miał pewien majątek: według spisu mieszkańców było to 220 akrów ziemi w okolicach Sarney w irlandzkim hrabstwie Meath. Miał też żonę i rozrastającą się rodzinę – w sumie doczekał się sześciorga dzieci. Ponieważ był protestantem, mógł cieszyć się w czasach rządów Olivera Cromwella, który intensywnie zwalczał katolicyzm, licznymi przywilejami, dlatego bez entuzjazmu powitał zmianę polityki wobec Irlandii będącą efektem powrotu do władzy Stuartów.

Od początku lat 60. zaczął angażować się w różnego rodzaju spiski przeciwko nowym władzom, m.in. w 1663 r. wziął udział w próbie zajęcia zamku w Dublinie. Przez jakiś czas przebywał w Szkocji i w Holandii, potem pojawił się w Londynie, gdzie – jak wynika z raportów agentów rządowych – nie ustawał w wysiłkach obalenia monarchii. Wiosną 1666 r. ponownie udał się na Kontynent. Wraz z innymi znanymi przeciwnikami Stuartów nawiązał kontakt z mieszkającym na wygnaniu w Szwajcarii Edmundem Ludlowem, jednym z „królobójców", których podpisy znalazły się na wyroku śmierci Karola I, i próbował – bezskutecznie – przekonać go do przyłączenia się do konspiracji.

Po powrocie do Anglii Blood postanowił... zostać medykiem. Zaczął od założenia apteki w Shoreditch, jednym ze wschodnich przedmieść Londynu. Następnie zaczął praktykować jako lekarz. I zapewne kontynuowałby nową karierę, gdyby nie jego niespokojne usposobienie. Latem 1667 r. zaangażował się w próbę odbicia eskortowanego do sądu innego antykrólewskiego spiskowca, Johna Masona. W ataku zabito pięciu strażników, a Blood został ciężko ranny.

Z kolei w grudniu 1670 r. zorganizował próbę porwania byłego Lorda Namiestnika Irlandii – Jamesa Butlera, księcia Ormond. Blood miał mieć do niego żal o to, że po restauracji Stuartów książę zarekwirował część jego majątku w Irlandii oraz doprowadził do egzekucji jego przyjaciół, z którymi spiskował

© DP

eprasa.pl 13db1c51da

w początku lat 60. Porywacze wyciągnęli księcia z karety, gdy ten wracał z uczty u króla Karola II. Planowali zabrać go do Tyburn, gdzie odbywały się egzekucje londyńskich przestępców, by tam go powiesić. Arystokrata zdołał jednak się oswobodzić i wezwać pomoc. Śledztwo wykazało, że za atakiem stali Blood, jego syn Thomas Junior i niejaki Richard Holloway. Za informacje na temat miejsca ich pobytu wyznaczono wysoką nagrodę, ale wszyscy zdołali uciec. Dość szybko zaczęły się jednak pojawiać głosy, że za porwaniem stał ktoś znacznie potężniejszy, czyli George Villiers, drugi książę Buckingham, który był zaciekłym politycznym oponentem Ormonda. W końcu kilka miesięcy później miała miejsce próba kradzieży insygniów.

Najbardziej intryguje w historii pułkownika fakt, że nigdy nie został skazany, choć władze doskonale zdawały sobie sprawę z jego wywrotowej działalności. Potwierdzałoby to tezę, że mógł być podwójnym agentem i w czasie, gdy dwoił się i troił, by organizować antykrólewskie spiski, tak naprawdę pracował dla Stuartów.

Po próbie kradzieży w Tower skończyło się jedynie na przesłuchaniu. Trzy dni po kradzieży Blood stanął przed obliczem samego Karola II. Król miał go zapytać, jak by się zachował, gdyby pomimo jego zbrodni darowano mu życie. Odpowiedź brzmiała, iż próbowałby udowodnić, że była to dobra decyzja. Monarcha musiał być nią usatysfakcjonowany, bo awanturnik co prawda spędził w areszcie cztery miesiące, ale potem uzyskał immunitet od odpowiedzialności za wszystkie swoje wcześniejsze zbrodnie oraz... majątek ziemski w Irlandii przynoszący dochód w wysokości 500 funtów rocznie, co było znaczącą sumą.

W kolejnych latach Blood już otwarcie pracował dla władz. Zajmował się pozyskiwaniem informacji oraz przekonywaniem swoich dawnych przyjaciół spiskowców do uznania nowego reżimu. Przez pewien czas utrzymywał dobre relacje z księciem Buckingham – co potwierdzałoby przypuszczenia, że to na jego zlecenie dokonał ataku na Ormonda – ale ostatecznie popadł w niełaskę.

Możliwe, że chcąc się odegrać na arystokracie, w 1680 r. wplątał się w spisek przeciwko Buckinghamowi. Celem było skompromitowanie księcia z powodu jego domniemanego homoseksualizmu. Blood twierdził, że został poproszony – za pośrednictwem właściciela jednej z londyńskich tawern – o spotkanie przez niejakich Samuela Rythera i Philemona Coddana, którzy poinformowali go o niemoralnych praktykach Buckinghama. Doprowadzeni przez pułkownika przed oblicze urzędników sądowych powtórzyli swoje oskarżenia, ale nie dano im wiary. Wkrótce jednak sprawa wróciła. Jego informatorzy zgłosili bowiem władzom, że do złożenia wcześniejszych zeznań zostali skłonieni przez Blooda, który obiecał im w zamian pieniądze i inne korzyści. W efekcie pułkownik wylądował w więzieniu Gatehouse, gdzie podupadł na zdrowiu. Co prawda został z niego po kilku miesiącach zwolniony, ale wkrótce zmarł. A ponieważ zaczęły krążyć plotki, że tylko sfingował swoją śmierć, władze zdecydowały o ekshumacji jego ciała, by udowodnić, że naprawdę nie żyje.

Blood nie zostawił pamiętnika, a jedynie zwięzłe zapiski. Wskazują one na to, że był głęboko religijny i starał się stosować do różnych biblijnych nakazów w codziennym życiu, np. unikał alkoholu i nieobyczajnych rozrywek. Nie wyjaśniają one jednak, jak taką postawę potrafił pogodzić z działalnością tajnego informatora, zwłaszcza że często szpiegował ludzi o światopoglądzie bardzo podobnym do swojego. Nie pomagają one też w znalezieniu odpowiedzi na pytanie, jakie motywacje stały za kradzieżą insygniów. Element finansowy nie wydaje się decydujący – Blood potrafił zdobywać pieniądze w mniej ryzykowny sposób.

Jedna z teorii głosi, że cała sprawa miała na celu zwrócenie uwagi króla, by go przekonać do zmiany polityki wobec wyznawców bardziej konserwatywnych odłamów protestantyzmu, do których Blood należał. Inna, że chodziło mu o odzyskanie zaufania tych z przyjaciół, którzy uznali próbę zabicia Ormonda za akt zbyt agresywny. Nie można jednak wykluczać, że za najsłynniejszą kradzieżą królewskich insygniów stała po prostu fantazja organizatora, jego niespożyta energia i upodobanie do sprawdzania, jak daleko można się bezkarnie posunąć. Jeśli rzeczywiście tak było, to rację miał autor poświęconej pułkownikowi anonimowej broszurki powstałej wkrótce po jego śmierci, pisząc, że Blood „wiedział, że projekt ten [kradzieży regaliów] albo zapewni mu sukces, albo przyniesie mu zgubę; że jeśli nawet poniesie porażkę, to przedsięwzięcie wywoła takie poruszenie na świecie, że z pewnością stanie się kolejnym Herostratesem i przejdzie do historii ze względu na niezwykłość, jeśli nie sukces swoich prób". W rejestrze pochówków przy jego nazwisku figuruje notka „ten, który ukradł koronę". Innymi słowy, wszystkiemu winna była żądza sławy.

ANNA KALINOWSKA

REKLAMA

POSZERZAMY HORYZONTY
MEDYCYNA • PSYCHOLOGIA • EKOLOGIA
HISTORIA • NOWE TECHNOLOGIE
Kwietniowy numer już w kioskach!
Prenumerata papierowa: sklep.polityka.pl/wiz
Prenumerata cyfrowa: projektpulsar.pl
KUP TERAZ

eprasa.pl 13db1c51da

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

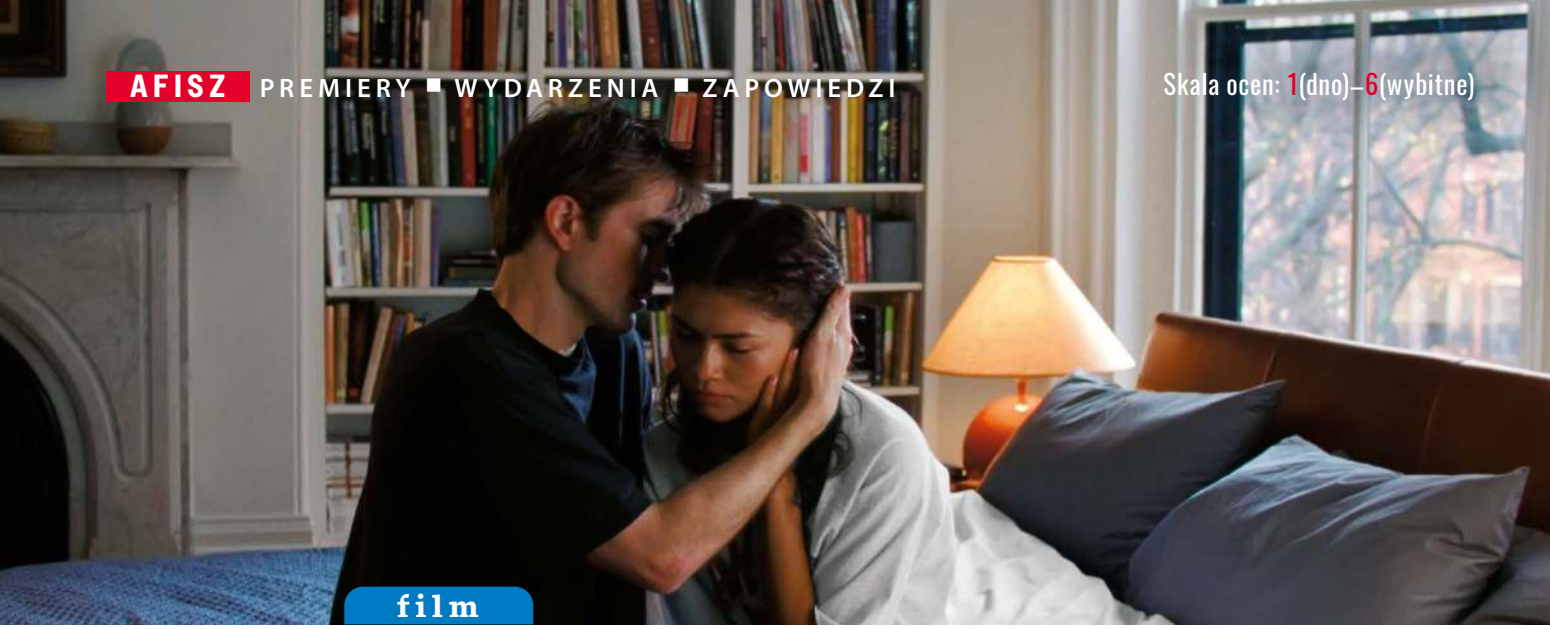

film

Wielkie kłamstewko 5/6

Drama, reż. Kristoffer Borgli, prod. USA, 105 min, w kinach od 10 kwietnia

Kampania reklamowa filmu obiecywała coś w rodzaju komedii romantycznej, w której relacja dwojga ludzi zostaje wystawiona na próbę, gdy poznają pewne niewygodne wydarzenia ze swojej przeszłości. Tyle że ani norweskiego reżysera Kristoffera Borgliego – autora „Chorej na siebie" i „Dream Scenario" – ani tym bardziej producenta Ariego Astera nie interesuje raczej podporządkowywanie się gatunkowym regułom. Jeśli „Drama" jest komedią, to raczej czarną i mocno podlaną groteską, na dodatek wymieszaną z psychologicznym dramatem i społecznym komentarzem.

Emma i Charlie wydają się parą idealną. Ona pracuje w księgarni, on jest dyrektorem muzeum, oboje młodzi, piękni, inteligentni. Przygotowania do wesela oznaczają jednak spory stres, więc pewnego wieczoru siadają przy stole z dwójką przyjaciół i postanawiają zabawić się opowiadaniem o najgorszych rzeczach, jakie zrobili w życiu. To, co zdradzi jedno z nich, okaże się wstrząsem dla wszystkich: do ślubu kilka dni, a ustabilizowane, idealne życie dwojga młodych ludzi właśnie zaczęło się sypać.

Tu streszczenie należy zatrzymać, bo siła „Dramy" płynie z zaskoczenia i konfuzji, która udziela się publiczności. Nawet jako prosta historia o kryzysowym zarządzaniu w związku pewnie by działała dzięki fantastycznym aktorom; **Zendaya** i **Robert Pattinson** nie pierwszy raz udowadniają, że należą do najbardziej utalentowanych gwiazd swojego pokolenia. Ale Borgli zdziera banalną warstwę, żeby powiedzieć coś więcej o społecznych oczekiwaniach, o maskach, jakie zakładamy nawet w intymnych sytuacjach, o budowaniu piętrowych kłamstw, o hipokryzji i amerykańskich paranojach. Można mu pewnie zarzucić cynizm – choć swoich bohaterów portretuje z zaskakującą empatią – lecz to wciąż propozycja błyskotliwa i prowokacyjna. A gorący temat, do którego odnosi się w scenariuszu Borgli, zdążył już wywołać oburzenie części (szczególnie amerykańskich) krytyków, co tylko potwierdza, że „Drama" trafiła w bardzo czuły punkt.

JAKUB DEMIAŃCZUK

serial

Potężny jak nastolatka 4/6

Testamenty, twórca serii: Bruce Miller, 10 odc., Disney+

Margaret Atwood opublikowała „Testamenty", ciąg dalszy „Opowieści podręcznej", 34 lata po premierze tej głośnej powieści o pozbawianiu kobiet praw człowieka i wraz z trzecim z sześciu sezonów serialu Bruce'a Millera na jej podstawie. Serial, uznawany za komentarz do rządów Donalda Trumpa, zakończył się w ubiegłym roku, a teraz dostajemy pierwszy sezon kontynuacji. Do Gileadu wracamy kilka lat po tym, jak June (Elisabeth Moss), tytułowa podręczna z „Opowieści", po raz ostatni ślubowała zniszczyć zamordystyczną, mizoginistyczną teokrację, w którą zmieniły się Stany Zjednoczone, i uratować swoją córkę. I to ta ostatnia, grana przez **Chase Infinity** („Jedna bitwa po drugiej") 14-latka szykowana do ślubu jest główną bohaterką nowej produkcji. Obok także nastoletniej Daisy (**Lucy Halliday**), przemyconej do Gileadu z Kanady członkini ruchu oporu, oraz znanej już Ciotki Lydii (**Ann Dowd**), która tu przewodzi akademii szkolącej przyszłe żony dla najważniejszych urzędników systemu – głównemu miejscu akcji. Nowa opowieść, wciąż rozgrywana w świecie przemocy ubranej w piękne kostiumy i wzniosłe słowa, ma klimat filmów coming-of-age, z rodzącą się dziewczęcą przyjaźnią i wspólną walką o wyzwolenie. „Nie ma na świecie nic tak potężnego jak 14-letnia dziewczyna" – mówi jedna z bohaterek. I taki jest ten serial: piękny, świetnie zagrany, prosty. I potrzebny w czasach, gdy internetowe influencerki stare podporządkowanie mężom sprzedają w nowym, lśniącym opakowaniu lifestyle'owego trendu tradwife.

ANETA KYZIOŁ

© MONOLITH FILMS, DISNEY+, MP (2), MAURYCY STANKIEWICZ, KAROLINA JÓŹWIAK, ELLIOTT ERWITT/MAGNUM PHOTOS

eprasa.pl 13db1c51da

scena

Szkic do portretu 3/6

Vader. Wojna totalna, na podstawie książki Jarka Szubrychta, reż. Tomasz Man, Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie

Spośród polskich zespołów metalowych Vader był tym, który jako pierwszy odniósł znaczący międzynarodowy sukces. Wspinaczka na szczyt, zwłaszcza gdy startowało się z olsztyńskiego bloku, wydawała się w czasach transformacji ustrojowej misją niemożliwą. A jednak się udała: mieszanina talentu, pasji, uporu i czystego fartu sprawiła, że Piotr „Peter" Wiwczarek (na scenie odgrywany przez Krzysztofa Plewako-Szczerbińskiego) mógł stanąć w szeregu najważniejszych postaci muzycznej ekstremy. A gdy w 1993 r. na antenie MTV pojawił się teledysk do utworu „Dark Age" z debiutanckiej płyty Vadera, było to wydarzenie, o którym słyszeli nawet ci, którzy metalu nie słuchali. Ten pierwszy triumf w spektaklu Tomasza Mana jest jednak finałem – „Wojna totalna" nie opowiada o karierze zespołu, ale raczej o trudach dorastania ambitnego, umiarkowanie zbuntowanego nastolatka, który chciał grać tak, jak inni w Polsce nie grali. Z materiału źródłowego, czyli obszernej biografii Vadera napisanej przez Jarka Szubrychta, reżyser bierze co bardziej smakowite lub zabawne kawałki, które w niemal telegraficznym skrócie – spektakl trwa zaledwie godzinę – podaje czterech stojących na scenie aktorów (towarzyszy im grająca na żywo gitarzystka). Koncepcja ciekawa, lecz odbiera tej historii emocje, a nagromadzenie faktów i anegdot mimo wszystko nie tłumaczy postronnym widzom fenomenu grupy.

JAKUB DEMIAŃCZUK

festiwal

O sobie, czyli o nas

58. Międzynarodowy Festiwal Teatralny Kontrapunkt, Szczecin, 10–26 kwietnia

Podtytuł tegorocznej edycji zasłużonej szczecińskiej imprezy brzmi: „Sprawa osobista/ It's personal". „Artyści Kontrapunktu 2026 pokazują, że opowiadając o sobie, można poruszyć sprawy wszystkich – i że czasem dopiero wtedy zaczyna się prawdziwy dialog" – tłumaczą go organizatorzy. Program główny został sprawiedliwie, bo po połowie, oddany twórcom i twórczyniom spektakli rodzimych i zagranicznych. Pierwsze to: warszawskie **„Fobia"** Markusa Öhrna i Karola Radziszewskiego z Nowego Teatru, **„Orfeusz"** w reż. Anny Smolar z TR-u i taneczny „Kocham balet" z Komuny Warszawa, w choreografii nominowanej do Paszportu POLITYKI Ramony Nagabczyńskiej oraz „Wchodzi Duch" w reż. Weroniki Szczawińskiej z olsztyńskiego Jaracza. Z zagranicy przyjadą zaś: „Fuck me" Mariny Otero – ostatnia część autobiograficznego tryptyku „Remember to Live", tym razem rozpisana na sześcioro wykonawców „poddających się instrukcjom pełnej urazy reżyserki", „Poussière" Company Infra – lalkowa impresja o kruchości świata, „Swiping Right" stworzony przez Sophie Annę Veelenturf na podstawie jej własnych randek z konserwatystami oraz „The Choice" z Vilnius Theatre „Lélé" – taneczno-lalkowa opowieść o wybaczeniu. Do tego bogate programy Młodzi na Kontrapunkcie i wydarzeń towarzyszących (w tym koncert projektu Współgłosy, także nominowanego do naszych Paszportów). AK

Szczegóły: kontrapunkt.pl

galeria

Tak było... 4/6

Elliott Erwitt. Retrospektywa, Dom Spotkań z Historią, Warszawa, wystawa czynna do 20 września

Wdość nieoczywisty i zaskakujący sposób fetuje 20-lecie działalności stołeczny Dom Spotkań z Historią – wystawą Elliotta Erwitta, amerykańskiego fotografa i współtwórcy słynnej agencji Magnum. Tak czy inaczej, cieszyć się wypada, bo dostajemy rzetelny i niemały (130 zdjęć) przegląd jego legendarnego wręcz, 70-letniego dorobku. W tym ciekawostka: trzy fotografie z pobytu artysty w Polsce w 1964 r. Szkoda, że tak mało, ale rozumiem, że trzeba było zmieścić jego liczne fascynacje, podróże, legendarne ujęcia. A wszystkie składają się na jeden wielki hymn na cześć świata, który bezpowrotnie odszedł. To polifoniczne świadectwo przeszłości, i to w podwójnym znaczeniu. Po pierwsze tego, co zostało utrwalone na kliszach: architektury, samochodów, mody, obyczajów, zachowań itd. Po drugie tego, jak to zostało utrwalone: starannie wybrane kadry, niekiedy cierpliwie wyczekane w wielogodzinnym podpatrywaniu, czasem zaś uzyskane dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu i refleksowi artysty. Dziś, gdy pstrykanie fotek stało się bezmyślnym odruchem bezwarunkowym, to kunszt, który uwodzi. Zdjęcia Erwitta są przenikliwe, zaskakujące, niekiedy nostalgiczne, niekiedy pełne humoru, zawsze i nieodmiennie przyciągające uwagę. Od portretów przypadkowo spotkanych na ulicy piesków z ich właścicielami w tle (jeden z ulubionych motywów) po portrety wielkich tego świata, sławnych artystów. Czasem triumfuje treść, kiedy indziej forma, a najczęściej ich doskonała synteza.

Elliott Erwitt, „Stulecie wieży Eiffla", 1989 r.

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 13db1c51da

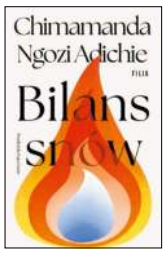

Coś prawdziwego 4/6

Chimamanda Ngozi Adichie, **Bilans snów**, przeł. Kaja Gucio, Wydawnictwo Filia, Poznań 2026, s. 464

Od premiery poprzedniej powieści Chimamandy Ngozi Adichie minęła przeszło dekada. „Amerykaana" była wydarzeniem, a nigeryjska autorka uchodzi odtąd za kogoś, kogo warto czytać i z kim dobrze iść na barykady. W tamtej powieści bohaterki, imigrantki, usiłowały zadomowić się w Ameryce, ale zawsze coś je zdradzało. Bohaterki „Bilansu snów" też próbują się odnaleźć, lecz głównie w roli rozrzuconych po świecie kobiet z różnym temperamentem i bagażem. Chiamaka chce pisać powieści, ale pisze teksty podróżnicze. Stać ją na próby, błędy i mieszkanie w USA, bo jej ojciec jest krezusem. Z rodziną i przyjaciółkami, też Nigeryjkami, którym poświęcone są osobne części książki, kontaktuje się przez Zoom, bo czasy mamy pandemiczne. Ma czas na bilans przeszłości, a wspomina głównie miłości, wszystkie równie nieudane. Nieważne, czy obiektem westchnień jest „Denzel Washington świata akademickiego", czy żonaty Anglik. Pierwsze zdanie powieści dobrze ją całą organizuje: „Zawsze pragnęłam, by jakaś inna istota ludzka poznała mnie tak prawdziwie". To pragnienie wystawia na cierpienie, zwłaszcza połączone z naiwnością. Najważniejsze są przy tym relacje siostrzane. Najciekawsze: naturalnie wplatane w akcję dramatyczne wydarzenia, a nawet aluzje do sprawy francuskiego ministra Dominique'a Strauss-Kahna, oskarżonego o gwałt. U Adichie jest miejsce na miłość, złamane serce, marzenia i zrujnowane nadzieje. Taki bilans, ani ujemny, ani dodatni. Ludzki.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

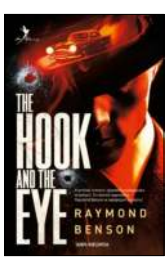

W cieniu Bonda 3/6

Raymond Benson, **The Hook and the Eye**, przeł. Robert J. Szmidt, Skarpa Warszawska, Warszawa 2026, s. 368

Równolegle do wznowień książek Iana Fleminga wydawnictwo Skarpa Warszawska publikuje współczesne powieści z bondowskiego uniwersum: dla największych fanów agenta 007 zapewne obowiązkowe, dla czytelników szukających dobrej szpiegowskiej literatury jednak niekonieczne. W „The Hook and the Eye" (tytuł wydawca pozostawił w angielskim brzmieniu) centralną postacią jest Felix Leiter. Właśnie stracił posadę w CIA po tym, jak rekin odgryzł mu prawą rękę i część nogi (zainteresowanych odsyłam do powieści „Żyj i pozwól umrzeć"), podejmuje więc pracę jako detektyw w agencji Pinkertona. Najpierw śledzi grupę Polaków, być może szpiegujących na rzecz Sowietów – akcja toczy się w latach 50. – potem eskortuje jedną z podejrzanych przez pół Ameryki. W tle są eksperymenty z bronią nuklearną, złowroga organizacja Smiersz i jeszcze parę nieodzownych elementów bondowskiej powieści.
Raymond Benson, Amerykanin, który w serii o 007 już parę książek (niewydanych w Polsce) napisał, nie potrafi jednak skonstruować wciągającej fabuły, polega na gatunkowych schematach, a Leiter w jego interpretacji jest agentem wyjątkowo naiwnym, definiowanym raczej przez swoją protezę z hakiem niż przez charakter. Fleming nie był wybitnym pisarzem, ale miał zmysł do opowiadania wciągających historii. W „The Hook and the Eye" Benson wydaje się jedynie jego bladym epigonem.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Praca obiecana 4/6

Marek Szymaniak, **Młócka. Reportaże o pracy przyszłości**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026, s. 256

Podobno od pracy gorszy jest tylko brak pracy. „Młócka" obiecuje zbiór reportaży o pracy przyszłości, ale ta przyszłość już tu jest. I nie jest zachęcająca, bo brzydko pachnie również przeszłością, i to taką z XIX w. W książce, tak jak w naszej rzeczywistości, XXI w. płynnie miesza się z opowieściami jak z Victora Hugo. Ile razy, mijając dostarczycieli jedzenia, myślimy o tych nędznikach? Ten rys społecznej wrażliwości w książce raz bywa jej siłą, raz słabością, bo Marek Szymaniak momentami lekko szarżuje. Ale może czasy są takie, że reporterskie oko nie może być już chłodne. Bo przecież nie tyle znikają dziś zawody, ile obumierają całe gałęzie przemysłu. Jest to również książka o tym, co praca nam daje, ale i o tym, co zabiera. O ułudach – choćby elastycznego zatrudnienia, które elastyczne jest głównie dla zatrudniających. Szymaniak ładnie wyłapuje te wszystkie napięcia. Fajnie jest mieć dowiezioną do domu pizzę. Ale czy równie fajnie jest dowozić do domów pizzę?
Mało kto zadaje sobie dziś pytania, co się stało z naszą pracą. A szkoda, bo dotyczą one również naszej godności, przyszłości, kondycji. Szymaniak pyta też, gdzie nas i naszą pracę zaprowadzi technologia AI. Dobrze, że nie próbuje na nie odpowiedzieć. Czy XVIII-wieczny robotnik obsługujący maszynę parową umiałby powiedzieć, dokąd tamta technologia zaprowadzi ludzkość? Szymaniak, jak na rasowego reportera przystało, pyta, obserwuje, słucha. Grzebie w danych jak w kuble ze śmieciami, próbując zbudować z tego jakąś szerszą opowieść. Nie jest to książka optymistyczna, nie daje pocieszenia. Momentami nie jest także porywająca. A jednak warto wykonać tę pracę i ją przeczytać.

JULIUSZ ĆWIELUCH

© MIKE COPPOLA/MG25/GETTY IMAGES/THE MET MUSEUM/VOGUE, LESZEK ZYCH, BEST FILM, AL PEREIRA/WIREIMAGE/GETTY IMAGES, MP (8)

eprasa.pl 13db1c51da

Wielka, ale płaska 3/6

Crimson Desert, Pearl Abyss, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S, MacOS

Oczekiwania wobec nowej produkcji studia Pearl Abyss, znanego z popularnej gry sieciowej „Black Desert Online", były monstrualne. Składane obietnice przekonały niektórych, że oto nadciąga gigant zdolny konkurować z wyczekiwanymi „GTA 6" i „Wiedźminem 4"; opowieść o fantastycznym świecie rycerstwa, magii i heroicznych wyzwań o niespotykanym dotąd rozmachu. I choć grze rzeczywiście zdarza się olśnić prezencją, a ogrom kontynentu Pywel robi wrażenie, kuleją dwa konie pociągowe każdej gry fabularnej: opowieść i protagonista. Główny bohater Kliff jest płaski jak rozwinięty naleśnik. Fabuła? Długo czekamy, aż się pojawi główny wątek, zanim zdamy sobie sprawę, że już się rozpoczął, tak bardzo jest nijaki. Świat „Crimson Desert" jest pełen miejsc do odkrycia i pomniejszych atrakcji – to udana gra eksploracyjna, ale przygodzie brak kręgosłupa. Pojawiła się przy tym wątpliwość, w jakiej mierze grę pomagała tworzyć AI. Gracze odkryli typowe dla niej błędy graficzne, obecnie ad hoc usuwane przez studio.

Duszny i klasyczny 5/6

Resident Evil: Requiem, Capcom, Cenega, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S, Nintendo Switch 2

28 lat po tragedii w Racoon City dochodzi do serii tajemniczych zgonów ocalałych z epidemii. Czyżby powrót wirusa? Początkująca analityczka FBI Grace Ashcroft, córka znanej z „Resident Evil: Outbreak" Alyssy Ashcroft, ma za zadanie zbadać zwłoki znalezione w ruinach spalonego hotelu. Wpada w pułapkę zastawioną przez psychopatę, który przed laty prawdopodobnie zabił jej matkę. Jego tropem rusza dobrze znany koneserom serii „Resident Evil" agent Leon S. Kennedy. „Requiem" to klasyczny „Resident Evil": duszny, klaustrofobiczny, mroczny, z psychologicznym tłem, zmuszający uwięzionych bohaterów do szukania wyjścia z opresji w sytuacji ciągłego zagrożenia. Przełączając odbiorcę między Grace a Leonem, gra różnicuje wyzwania i tempo akcji, ale walka o przetrwanie nigdy nie jest łatwa. Wyreżyserowana przez Koshiego Nakanishiego („Resident Evil 7") gra jest wręcz zachowawcza, ale weterani serii z pewnością nie uznają tego za regres.

Wabik z zombie 3/6

John Carpenter's Toxic Commando, Saber Interactive, Focus Entertainment, Plaion, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S

Umieszczenie w nazwie gry wabika w postaci znanego nazwiska wróży zwykle okrojenie budżetu o słoną kwotę wykupu licencji od rzeczonej sławy albo rozpaczliwy manewr producenta, który dostrzegł szansę na rynkowy sukces nieudanego produktu. W przypadku „John Carpenter's Toxic Commando" można uwierzyć, że tytułowy reżyser takich klasyków kina grozy jak „Mgła", „Halloween" i „Coś", co najmniej współkomponował muzykę do gry, bo taki ma zwyczaj w przypadku filmów. Scenariusz jest natomiast tak kadłubkowy, że równie dobrze mógł go, niestety, machnąć od ręki prosty agent AI. Chodzi tu jedynie o masową rozwałkę napierających na nasze komando hord rozmaitych zombie, tyle że istotną rolę grają pojazdy, którymi się czasem przemieszczamy. Grze warto stawić czoło w drużynie ze znajomymi. Grając samotnie, otrzymujemy wsparcie od kompanów sterowanych przez komputer, co jest znośne, ale o wiele mniej zabawne.

OLAF SZEWCZYK

nie przegap

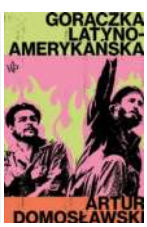

Artur Domosławski, **Gorączka latynoamerykańska**, Wydawnictwo Poznańskie

Zbiór reportaży z Ameryki Centralnej i Południowej Artura Domosławskiego to dziś już klasyka literatury faktu. I to taka, do której chce się wracać. Zapadające w pamięć obrazy układają się w złożony, wnikliwy portret regionu nieustannie balansującego na granicy rewolucji. I choć od pierwszego wydania minęło ponad 20 lat, „Gorączkę latynoamerykańską" warto czytać, by zrozumieć także współczesną politykę kontynentu. JD

Dmuchawce, reż. Momoko Seto, w kinach od 10 kwietnia

Niezwykły film – łączący animację poklatkową, efekty komputerowe oraz zdjęcia dokumentalne – nagrodzony w ubiegłym roku na festiwalach w Cannes i Annecy. Po zagładzie Ziemi cztery nasionka dmuchawca wyrzucone w przestrzeń kosmiczną szukają dla siebie miejsca na obcej planecie. Mądre, zaskakująco poruszające, z ekologicznym przesłaniem. Także dla dorosłych widzów, którzy jeszcze lepiej niż dzieci zrozumieją zawarte w „Dmuchawcach" memento. JD

Flea, **Honora**, Nonesuch

Basista grupy Red Hot Chili Peppers uczył się kiedyś grać na trąbce – i do tego instrumentu wraca na solowym debiucie. Nie da się na to nie patrzeć jako na kaprys wielkiej gwiazdy rocka, która może sobie pozwolić na zaproszenie innych gwiazd (m.in. Thom Yorke i Nick Cave). Flea jako trębacz nie jest wirtuozem, nie odkrywa też nowych ścieżek dla jazzu, którym się inspiruje, ale w kilku momentach („A Plea", „Wichita Lineman") wychodzi ponad przeciętność, a w innych będzie intrygujący dla fanów. BCH

eprasa.pl 13db1c51da

„Heweliusz"

Prawda ekranu

MIROSŁAW PĘCZAK

„Na faktach" – taki dopisek przy anonsie filmu czy serialu zwyczajowo ma być świadectwem wiarygodności. W praktyce te fakty trzeba często poświęcić dla atrakcyjności fabuły i dramaturgii.

„Gierek"

© ROBERT PAŁKA, JAROSŁAW SOSIŃSKI

eprasa.pl 13db1c51da

Tak się składa, że w epoce postprawdy chcemy, nawet bardziej niż dawniej, oceniać przekazy medialne – nawet te rozrywkowe – właśnie ze względu na ich wiarygodność lub jej brak. Niby dawno już temu medioznawcy oznajmili, że wiarygodność to nie to samo co mówienie prawdy, ale jakoś przywykliśmy do tego, że skoro masy czemuś (komuś) wierzą, to musimy to mimo wszystko uwzględniać również w perspektywie zgodności z faktami. W efekcie jesteśmy świadkami rosnącej popularności dokumentalnych kanałów tematycznych telewizji i wypełniających je seriali oraz pełnometrażowych filmów relacjonujących prawdziwe wydarzenia z przeszłości.

Weźmy „Titanic", kinowy przebój sprzed 30 lat: mimo że w fabule rekonstruowano fakty, cały pomysł koncentrował się na wymyślonej na potrzeby scenariusza historii miłosnej. Mimo to pokłosiem dzieła Jamesa Camerona stała się lawina dokumentów emitowanych przez Discovery czy National Geographic tudzież komentarzy w popularnej prasie poświęconych katastrofie legendarnego transatlantyku, co trwa do dziś.

W ostatnim czasie jedną z najgłośniej komentowanych pozycji w ofercie serwisu Netflix w Polsce był wyreżyserowany przez Macieja Pieprzycę serial „Ołowiane dzieci". Opowiada o wydarzeniach na Śląsku z lat 70. ubiegłego wieku. W 1974 r. lekarka Jolanta Wadowska-Król odkryła liczne przypadki chorób wśród dzieci mieszkających na robotniczym osiedlu w pobliżu Huty Metali Nieżelaznych Szopienice. Z pomocą prof. Bożeny Hager-Małeckiej, dyrektorki kliniki pediatrii w Zabrzu, która rozpoznała u dzieci ołowicę, rozpoczęła akcję ratunkową i podjęła szeroko zakrojone badania nad chorobą. Lokalne władze chciały uniknąć rozgłosu, reakcje prasy też pozostawały skromne, dopiero po latach temat zwrócił uwagę dziennikarzy i reportażystów, a w końcu zainteresował znanego twórcę filmowego.

W marcu media poinformowały, że rodzina prof. Hager-Małeckiej zamierza pozwać Netflix za naruszenie jej dóbr osobistych. Według pełnomocnika rodziny prof. Hager-Małecka (jej grana przez Agatę Kuleszę postać ma w filmie zmienione nazwisko) została w serialu przedstawiona w negatywnym świetle, choć według pełnomocnika „w rzeczywistej historii ratowania chorych dzieci z Szopienic odegrała kluczową i pozytywną rolę".

Od realiów odbiega w „Ołowianych dzieciach" także wizerunek głównej postaci – Jolanty Wadowskiej-Król (rola Joanny Kulig). Już w pierwszych komentarzach wytknięto twórcom, że młoda lekarka przedstawiona jest jako osoba obca lokalnej społeczności, ekspatka nierozumiejąca Śląska, zaskoczona niczym XIX-wieczny angielski antropolog opisujący afrykańskich „dzikich". W rzeczywistości Wadowska-Król urodziła się w Katowicach i ukończyła Śląską Akademię Medyczną w Zabrzu. Jak powtarzają znający tę historię Ślązacy, „doktórka" nigdy nie była postrzegana jako obca.

W wywiadzie dla radiowej Trójki reżyser Maciej Pieprzyca, notabene sam wywodzący się ze śląskiej rodziny, mówił: „Generalnie nie lubię historii wyssanych z palca. Lubię, kiedy historia w mniejszym lub większym stopniu jest oparta na faktach. Oczywiście to nie jest dokument, tylko produkcja fabularna i te fakty gdzieś mieszają się z fikcją. Czasem ta fikcja jest nam potrzebna właśnie po to, żeby dojść do prawdy, do tych faktów. To zawsze wpływa na odbiór filmu i tego, co się opowiada".

I to jest clou problemu. Dobra fikcja nie musi, a nawet nie może fałszować rzeczywistości, co w połowie XIX w. odkrył Karol Marks, kiedy zastanawiał się nad tzw. paradoksem Balzaka. Francuski pisarz realista, choć osobiście był gorącym fanem monarchii, w swoim cyklu powieściowym znakomicie zobrazował upadek arystokracji i początki ekonomicznej tudzież kulturowej ekspansji burżuazji. Marks w listach do Engelsa przekonywał, że talent nie pozwalał Balzakowi ignorować prawdy historycznej.

Dzisiejsze spory o historię nie koncentrują się jednak na dziejowych procesach i ich rozumieniu, ale najczęściej na tym, jak bardzo ktoś – dziennikarz, pisarz, reżyser czy scenarzysta, a także polityk – rozminął się z faktami albo za ich pomocą w kogoś uderzył. I liczy się raczej szczegół niż plan ogólny, i raczej to, co doraźne. Poza tym ważny jest sens polityczny zniekształcania czy fałszowania historii.

Kiedy Grzegorz Braun obwieszcza, że w dawnych czasach Żydzi praktykowali mord rytualny, a w Auschwitz nie było komór gazowych, to nie chodzi mu o jakiekolwiek rozstrzygnięcia historiograficzne, ale o zamanifestowanie antysemityzmu jako atrybutu skrajnej prawicowości. W ten sposób określa się politycznie i liczy na poparcie antysemitów, których wciąż jest w Polsce niemało. Podobnie gdy Ewa Stankiewicz w filmie „Solidarni 2010" relacjonuje komentarze „ludzi z ulicy" na temat katastrofy rządowego Tupolewa w Smoleńsku, nie chodzi jej o wyjaśnienie, dlaczego doszło do wypadku, ale o to, aby wywołać wrażenie, że katastrofa obciąża (co najmniej) moralnie Donalda Tuska i Platformę Obywatelską.

W obu przypadkach przywoływanie szczegółów wcale nie musi sprzyjać prawdzie. W kłamstwie oświęcimskim zwraca się uwagę na domniemane faktograficzne paradoksy. Spory o liczbę ofiar Holokaustu czy lokalizację komór gazowych w obozie Auschwitz-Birkenau mają na celu generalne podważenie prawdy o Zagładzie, a przynajmniej zrównanie jej koszmaru z cierpieniami nieżydowskich ofiar drugiej wojny światowej. W pisowskiej narracji o katastrofie smoleńskiej uwaga musi się skupić na tezie o zamachu, która okazała się niezwykle ważna w budowaniu zbiorowej tożsamości „ludu pisowskiego". Niby mamy dość codziennej sieczki politycznej, ale wciąż chcemy wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło. Przy czym nie musi chodzić o faktyczne odkrywanie prawdy, ale o przekonywanie, że już za moment tę prawdę odkryjemy. Na tym od zawsze opierały swoją strategię tabloidy, ale teraz ta strategia jest powszechnie przyswajana, już nie tylko w bulwarowym dziennikarstwie czy doraźnym uprawianiu polityki, ale również w przemyśle serialowo-filmowym.

Telewizyjna widownia ekscytuje się reportażami z „życia elit" i w swoich ocenach daje bonus dla fabuły „opartej na faktach". Co nie przeszkadza, że na drugim biegunie fascynacji mamy nieprzejmujące się jakąkolwiek faktografią totalne szaleństwo fabularne, z tegorocznymi oscarowymi hitami filmowymi, jak „Jedna bitwa po drugiej" czy „Grzesznicy". Nie do końca wiadomo, czy to zwykła przeciwwaga dla siły przyciągania „filmu na faktach", czy ciąg dalszy wyczerpanej, jak się mogło wydawać, estetyki postmodernistycznej – tak czy inaczej, dwa wymienione i nagrodzone Oscarami tytuły dają do myślenia. ▶

eprasa.pl 13db1c51da

„Ołowiane dzieci"

▶ Tworzy się swoiste continuum: od całkowitej fikcji po precyzyjną rekonstrukcję faktów, od czystej rozrywki po ważny poznawczo przekaz historyczny. Zgadzając się, że ludzie odczuwają mniej lub bardziej potrzebę oderwania się od rzeczywistości, skoncentrujmy się na innej potrzebie: odbierania opowieści o tym, co zdarzyło się naprawdę. Oczywiście przede wszystkim dotyczy to dzieł relacjonujących wydarzenia z nieodległej przeszłości. Temu miały służyć „Ołowiane dzieci" czy dwa, również emitowane przez Netflix, seriale Jana Holoubka: „Wielka woda" i „Heweliusz".

W „Wielkiej wodzie" twórcy zdecydowali się w niektórych przypadkach na fikcjonalizację. Przedstawiona w filmie podwrocławska wieś Kęty została wymyślona, wszelako protesty przeciw wysadzaniu wałów powodziowych miały miejsce w kilku wsiach. Fikcyjny jest także zbiornik retencyjny w Gierżoniowie. Mimo tych zabiegów faktografia wielkiej powodzi z 1997 r. nie ucierpiała, podobnie jak rekonstrukcja ówczesnych emocji społecznych.

To samo można powiedzieć o „Heweliuszu". Prywatne wątki, na których opiera się fabuła, nie wchodzą w żadną kolizję z polityczno-społecznym tłem akcji reprezentującym realia transformacji pierwszej połowy lat 90. Do tego dochodzi dbałość o szczegóły obyczajowe i „scenograficzne". Śmiało można powiedzieć, że Jan Holoubek jako autor obu wymienionych seriali oraz paru innych dzieł (np. serialu „Rojst" czy filmu „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy") stał się znakomitym twórcą produkcji, w których elementy fikcji splatają się z historyczną faktografią na zasadzie wzajemnego dopełnienia: na podobnej zasadzie jak tzw. mała historia splata się z tą wielką, nie zaś wyłącznie po to, by podtrzymać tempo i zwiększyć dramaturgię.

Filmem z zupełnie innej półki jest natomiast „Gierek", który wszedł na ekrany pięć lat temu. Jak pisał Adam Leszczyński w OKO.press, to „bajka o kochanym przez lud dobrym władcy, który marzy o tym, żeby kraj się rozwijał, a ludzie żyli lepiej. Ma doskonały pomysł, wszystko idzie świetnie, ale obala go spisek mrocznego generała w czarnych okularach (to oczywiście gen. Wojciech Jaruzelski) oraz zapijaczonego aparatczyka (to Stanisław Kania, chociaż w filmie nosi nazwisko Maślak). Za sznurki pociągają demoniczni Rosjanie z KGB oraz przewrotni amerykańscy bankierzy, którzy zastawiają na dobrodusznego i nieco naiwnego Gierka pułapkę".

Do końca nie wiadomo, jaki zamiar mieli twórcy tego osobliwego produktu. Czy chodziło o wzmacnianie nostalgii za latami 70. (szynka „jak za Gierka")? A może o odkłamywanie historii, jeśli założyć, że ów partyjny przywódca jest dziś niesprawiedliwie oceniany? Owszem, nostalgia bywa niezłym paliwem dla show-biznesu, o czym dobrze wiedzą spece od przemysłu fonograficznego, ale trudno uznać propagandę sukcesu, osławione milicyjne „ścieżki zdrowia" czy spędy załóg robotniczych na stadiony po wydarzeniach czerwca 1976 r. za powód do jakiegoś rozczulania się czy dziwnej tęsknoty. Podobnie jak nie da się obronić tezy o Gierku jako wybitnym, a nawet zwyczajnie uczciwym polityku.

Co innego „Jack Strong", czyli film Władysława Pasikowskiego o płk. Ryszardzie Kuklińskim. Tu wiemy doskonale, że chodzi o kino akcji. Reżyserowi wypada więc traktować fakty i prawdę historyczną jako maszynerię do wywoływania emocji. Poza tym Pasikowski ma ambicje wplecenia w wartką akcję jakiegoś szlachetnego przesłania. Tak było nawet w jego filmach o gangsterach, nie mówiąc już o „Pokłosiu", podejmującym kwestię polskiego antysemityzmu. Ucieczka Kuklińskiego z Polski do Ameryki to bogate źródło filmowych pomysłów właśnie dla takiego reżysera: afera szpiegowska, wielka międzynarodowa polityka i osobisty dramat oficera współtworzącego aparat totalitarnej władzy, a w końcu przerażonego jej celami i praktykami.

© ROBERT PAŁKA

eprasa.pl 13db1c51da

Osobną kategorią filmów na faktach były zawsze megaprodukcje, określane jako filmy historyczne albo kostiumowe. Jednym z najważniejszych w ostatnich dekadach okazał się „Braveheart” z 1995 r. – hollywoodzki hit wyreżyserowany przez Mela Gibsona, który jednocześnie zagrał w nim główną rolę. Bohaterem jest tu William Wallace, pochodzący z ludu narodowy bohater Szkotów, średniowieczny bojownik o niepodległość Szkocji walczący z Anglikami. Brytyjski socjolog Tim Edensor w książce „Tożsamość narodowa, kultura popularna i życie codzienne” pisze: „»Braveheart« pojawił się w kluczowym momencie rekonstruowania szkockiej tożsamości, w okresie ustanawiania szkockiego parlamentu. Wielu komentatorów mówi o tak zwanym efekcie Braveheart, który się przyczynił do pojawienia się odnowionej świadomości narodowej. Jednak popularne reakcje na film ujawniają liczne niejednoznaczności i konflikty wokół konstrukcji szkockiej tożsamości i reprezentacji Szkocji, które to kwestie wcale nie są nowe”.

Marginalne w tym kontekście wydają się zarzuty, że filmowy Wallace nosi kilt, który pojawił się naprawdę kilka wieków potem (słynny przykład „tradycji wynalezionej”, przypisany góralom szkockim, a wskazany przez historyka Erica Hobsbawma), albo że malował twarz na niebiesko, co nie było bynajmniej zwyczajem średniowiecznych szkockich wojowników, i wreszcie, że przedstawiano go w filmie jako górala (*highlander),* choć naprawdę pochodził z nizin (*lowlands*). Istotna jest konstrukcja postaci bohatera i konfliktu szkocko-angielskiego, całkowicie rozbieżna z historyczną prawdą, za to najbardziej bliska populistycznej idei politycznej Mela Gibsona.

W naszym polskim doświadczeniu odpowiednikiem „Braveheart” może być imponujące rozmachem filmowe dzieło Aleksandra Forda „Krzyżacy”. Tysiące statystów, malownicze sceny walk, próby odwzorowania dworsko-rycerskich obyczajów – a jednocześnie trudny do ukrycia zamiar propagandowy. Gomułkowska propaganda, tak jak dzisiaj pisowska, musiała straszyć Niemcem. I dlatego, notabene zgodnie z literackim pierwowzorem Sienkiewicza, rycerz zakonu musiał być metaforą Niemca. Nacjonalistyczny wydźwięk filmu, zdecydowanie wyraźniejszy niż w powieści Sienkiewicza, spotkał się jednak z krytycznym odbiorem publicystów filmowych już po pierwszych pokazach (premiera w lipcu 1960 r.) jako przykład propagandowego wykorzystania tematu historycznego, co władza szybko wyciszyła, w kolejnych zaś latach dzieło Forda, wyświetlane w kinach i emitowane w telewizji, stało się poręcznym narzędziem w konstruowaniu wyobraźni historycznej Polaków, podobnie jak młodszy o kilka lat serial „Czterej pancerni i pies” w odniesieniu do wyobrażeń o drugiej wojnie światowej.

Dziś publiczne debaty ożywiają raczej małe niż wielkie narracje. Protestuje rodzina śląskiej lekarki profesorki, protestuje wnuk Johna Kennedy’ego Jack Schlossberg, ponieważ jego zdaniem nowy serial Disney+ „Love Story: John F. Kennedy Jr. i Carolyn Bessette” fałszywie przedstawia potomka politycznej dynastii, jedynym celem jego twórców jest „zarobienie mnóstwa pieniędzy na groteskowym pokazaniu czyjegoś życia”. Prywatne historie rodzinne wpisują się w zgiełk sporów o politykę i społeczną pamięć, która zawsze podlegała manipulacjom i całkiem doraźnym celom, niezależnie od prawdy historycznej, w której obiektywne prezentacje mało kto już wierzy.

MIROSŁAW PĘCZAK

REKLAMA

58 KONTRAPUNKT
Międzynarodowy Festiwal Teatralny

10–26.04.2026
Szczecin

osobista

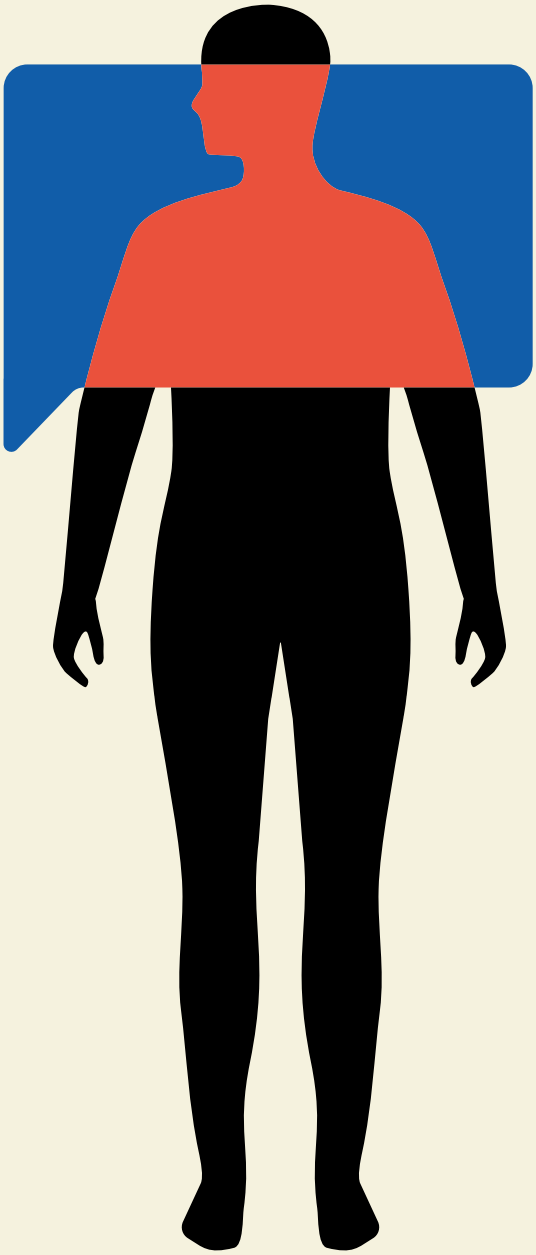

sprawa

kontrapunkt.pl

PATRONAT MEDIALNY:

eprasa.pl 13db1c51da

NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI

Grono finalistów 15. edycji Nagrody Architektonicznej

Domy nauki

PIOTR SARZYŃSKI

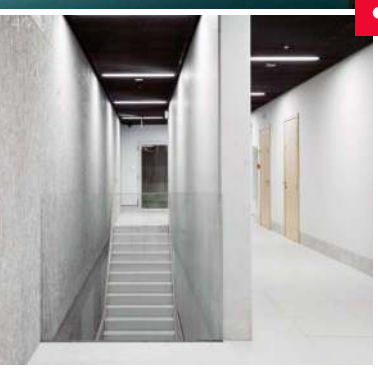

Szeroko poza środowisko projektantów rozlała się w 2024 r. gorąca dyskusja o walorach nowego gmachu Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Towarzyszące jej przymiotniki tworzyły kontinuum od „szkaradny" po „wybitny". W kolejnym roku zabrakło architektonicznego pretekstu do takich zażartych narodowych sporów. Nie brakowało natomiast emocji wewnątrz społeczności architektów. Bodaj najciekawszy był zakończony rozprawą przed Krajową Izbą Odwoławczą spór dotyczący wyników konkursu na nowy gmach biblioteki w Rzeszowie. Znana z wielu dużych realizacji pracownia WXCA, mająca za sobą wsparcie wielu branżowych autorytetów, zakwestionowała wybór zwycięskiego projektu przygotowanego przez światowej sławy architekta Kengo Kumę, popieranego dla odmiany przez prezydenta miasta.

Z kolei Krakowianie emocjonowali się deweloperskim projektem, który zakłada wysiedlenie mieszkańców szeregu kamienic przy ul. Józefa na Kazimierzu i stworzenie w tym miejscu luksusowego hotelu, co kolejny raz pogorszy niepowtarzalny lokalny klimat. A w Tarnowie trwała społeczna akcja zachowania niezwykłego i unikatowego świadectwa budownictwa modernistycznego (wraz z kompletną aranżacją wnętrz z epoki), czyli willi dr. Książka. Pojawiła się szansa, że budynek wykupi Ministerstwo Kultury (nie na takie wille wykładano pieniądze za poprzedniej władzy), ale na razie pani minister wydaje się nie spieszyć z decyzją.

W Zakopanem, już słynącym z niemającego sobie równych w kraju kociokwiku urbanistyczno-architektonicznego, zaczął się materializować projekt Hotelu Bajkowego, brawurowo i radykalnie przesuwającego granice tego, co tradycyjnie zwie się stylem zakopiańskim. Z kolei w podwarszawskim Podolszynie oddano do użytku osiedle Zielono Mi, które pokazuje, że powszechnie krytykowana tzw. urbanistyka łanowa nie tylko ma się dobrze, ale może osiągać trudne do wyobrażenia parametry. W tym przypadku – kilkudziesięciu domów jednorodzinnych, ustawionych jak w wojskowym szeregu pośrodku (faktycznie) zielonych pól uprawnych.

Mieliśmy w historii Nagrody Architektonicznej POLITYKI okres, gdy królowały obiekty kultury, lepsze czasy dla budownictwa mieszkaniowego, wyraźną koniunkturę na tereny użyteczności publicznej: przystanie wodne, infrastrukturę turystyczną, a w końcu parki. Ten rok wydaje się należeć do edukacji. W finałowej piątce znalazły się aż cztery obiekty, które można uznać za przeznaczone do szerzenia wiedzy. A poza finałem, ale wcale nie tak daleko, są dwa inne: Centrum Edukacyjne Campus Bemke w Kleczy Dolnej (proj. Medusa Group) oraz szkoła podstawowa i przedszkole przy ul. Świderskiej w Warszawie (Bujnowski Architekci). I oby ów trend trwał jak najdłużej.

A czas płynie nieubłaganie. Kolejne budowle, postawione stosunkowo niedawno, trafiły w ubiegłym roku do rejestru zabytków: katowicki Spodek (1971 r.), którego otwarciu kibicowałem jako nastolatek, ale też warszawska księgarnia Universus

© HANNA KAZANTSEVA, MARIUSZ GUĆ, ADAM KUJAWSKI, SEBASTIAN RZEPKA (2), SYLWESTER CISZEK, JULIUSZ SOKOŁOWSKI (3)

eprasa.pl 13db1c51da

POLITYKI pokazuje, że miniony rok należał do edukacji.

(1980 r.) czy krakowski Hotel Forum (1988 r.), których otwarcie obserwowałem już jako człowiek dorosły.

Tymczasem po raz 15., od początku przy życzliwym wsparciu firmy Atlas, wręczamy naszą nagrodę. Czy także któryś z jej tegorocznych finalistów ma szanse trafić w przyszłości do rejestru zabytków? Oto oni.

Akademia Muzyczna im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy (plus3 architekci). Jeszcze przed dekadą takich imponujących skalą realizacji pojawiało się w przestrzeni polskich miast po kilka w roku. Dziś należą już do rzadkości. A jest to obiekt rzeczywiście potężny: osiem kondygnacji, 700 pomieszczeń, cztery sale koncertowe, w tym największa, symfoniczna, z widownią na 420 osób, a także kameralna, operowa i organowa.

Ale nie tylko rozmach decyduje o wyjątkowości tej realizacji. Obiekt powstał na terenach postindustrialnych nieużytków dawnej cegielni i podniósł jakość urbanistyczną najbliższych okolic. Jego bryła niejako wynurza się z sąsiadującego oczka wodnego, a dynamikę doskonale podkreślają konsekwentnie poprowadzone wertykalne podziały elewacji. Masywne rozmiary całości są skutecznie rekompensowane ciekawie, choć oszczędnie, rozrzeźbieniem bryły i jej linią, która nie tylko załamuje gmach, ale też – obniżając się – równocześnie zwęża go w kształt klina. Warto wspomnieć, że wielkoskalową szklaną elewację profesjonalnie zabezpieczono przed kolizjami z ptakami, stosując specjalną siatkę umieszczonych na szybach kropek. Ciekawostką jest dobór szyb o odcieniach naprzemiennie jaśniejszych i ciemniejszych – nasuwają skojarzenia z klawiaturą fortepianu.

Wiele walorów nowej siedziby Akademii Muzycznej jest jednak niewidocznych. To przede wszystkim doskonała akustyka osiągnięta dzięki pełnej izolacji dźwiękowej sal koncertowych i sal prób. To także nowoczesny system oszczędności energii, wykorzystujący ciepło ziemi i naturalną wentylację. Po Operze Nova to kolejny w Bydgoszczy obiekt związany z muzyką, który ma szansę stać się ikoną miasta.

Szkoła Podstawowa nr 119 przy ul. Konstruktorskiej 10 w Warszawie (WWAA). Jeżeli do projektowania placówki edukacyjnej zabiera się pracownia WWAA, specjalista w tej dziedzinie, to można być pewnym, że realizacja nie przemknie bez echa. Tak jest i tym razem, a starsi mogą tylko ponarzekać, że pobierali nauki w czasach dominacji „tysiąclatek". Być może sama architektura nie rzuca na kolana jakimiś spektakularnymi rozwiązaniami, ale imponuje głębokim zrozumieniem problemu.

Intencją było bowiem stworzenie poniekąd wzorcowego budynku szkoły we współczesnym mieście, uwzględniającego aktualne trendy edukacyjne i ekologiczne, wpisującego się urbanistycznie i społecznie w lokalną tkankę miejską. W efekcie powstał pełnowartościowy obiekt dla 450 dzieci, z 19 salami lekcyjnymi, salą gimnastyczną, boiskiem szkolnym, stołówką itd. Do centralnego, osiowego ▶

eprasa.pl 13db1c51da

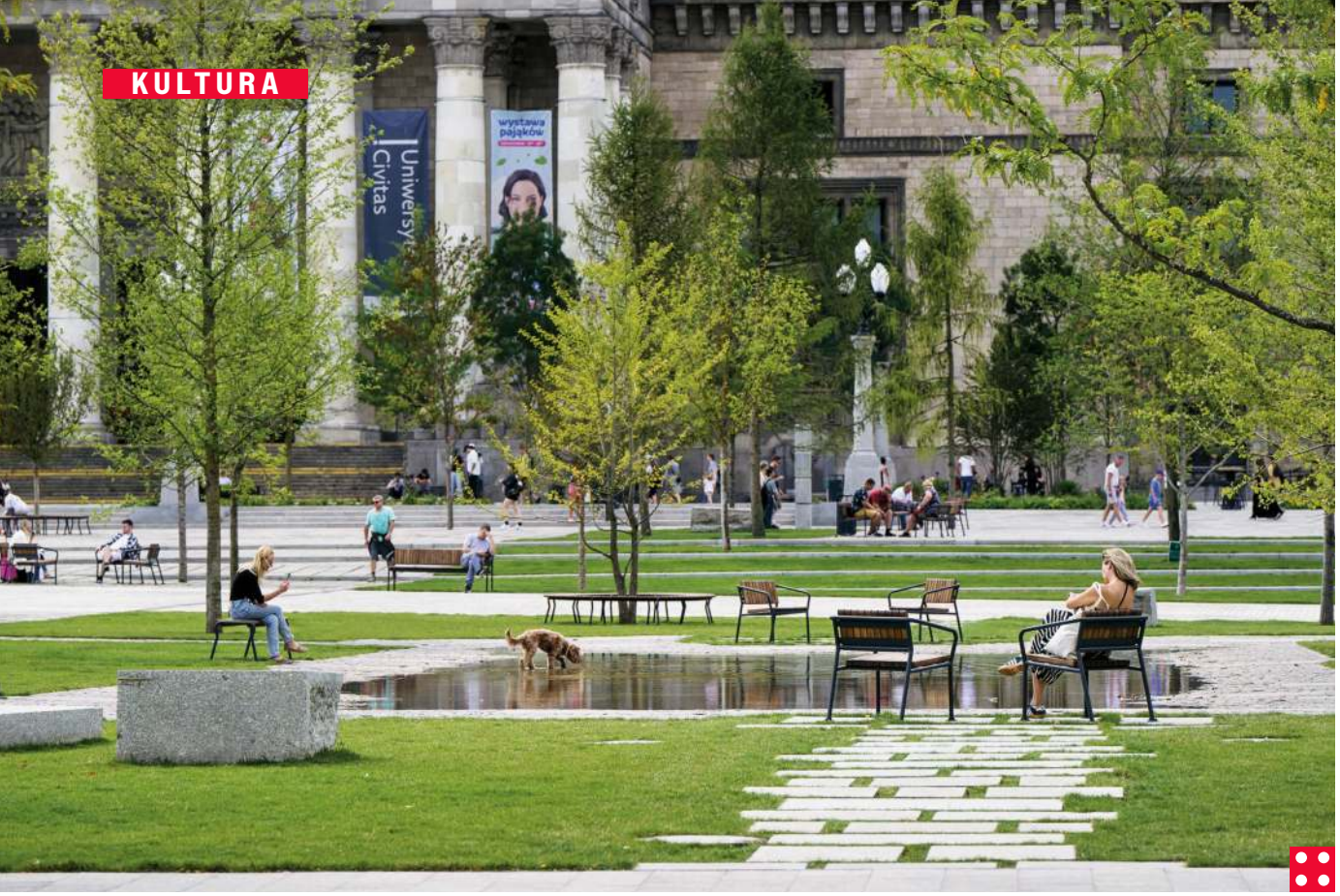

▶ budynku niejako doklejono trzy bryły, odpowiadające trzem założonym funkcjom: powszechnej, dostępnej dla lokalnej społeczności (np. sala gimnastyczna), półpublicznej (np. jadalnia) oraz prywatnej, zamkniętej, przeznaczonej do szkolnej edukacji. Z osobną częścią dla klas nauczania początkowego.

Zadbano – co już jest standardem – o zieleń. Przewidziano jej obecność zarówno na elewacjach, jak i kilku otwartych lub zamkniętych przestrzeniach wokół szkoły. W tym także miejsce do nauki na świeżym powietrzu. Wszystkie sale lekcyjne mają narożny układ (okna na dwóch ścianach), co pozwala na optymalne doświetlenie pomieszczeń i ich naturalną, efektywną wentylację. Ciekawe jest i to, że szkoła – i jest to pierwszy tego typu przypadek w Polsce – ma prywatnego inwestora. To firma Dom Development, która potraktowała tę inwestycję jako uzupełnienie (ale i atut) budowanego wokół osiedla mieszkaniowego.

Ośrodek Szkoleniowo-Naukowy Okręgowej Izby Lekarskiej w Gdańsku (TOPROJEKT). Trzy lata temu w finale naszej nagrody znalazła się placówka o charakterze medycznym, sopockie Europejskie Centrum Rodziny. I wracamy do Trójmiasta w związku z realizacją, której patronuje zdrowie. Ośrodek powstał w ciekawym miejscu – dzielnicy Aniołki. To z jednej strony rejon klimatycznych, przedwojennych willi, z drugiej – obszar szczególnego natężenia instytucji związanych ze zdrowiem, od kampusu Akademii Medycznej po siedziby licznych prywatnych klinik i przychodni. Zresztą nowa realizacja powstała na działce sąsiadującej z siedzibą Okręgowej Izby Lekarskiej, inwestor ma więc do niej dosłownie przez ulicę.

Ośrodek składa się z dwóch budynków. Większy mieści dużą salę konferencyjną na 300 osób oraz – na piętrze – część hotelową na 50 osób. Budynek mniejszy to „areopag", z biblioteką i kameralną salą spotkań. Na poziomie -1 umieszczono... ogólnodostępne siłownię i kręgielnię, co było warunkiem otrzymania tego terenu od miasta i jego zabudowy. Są też trzy ogrody o zróżnicowanym charakterze; od ogólnodostępnego, przez półpubliczny, po zamknięty, wewnętrzny. Z architektonicznego punktu widzenia charakterystyczne są dwa elementy, które nadają realizacji oryginalne cechy. Po pierwsze, niekonwencjonalne trójkątne okna. Po drugie zaś – zaskakująca elewacja. Otóż, by optycznie pomniejszyć główny budynek i dostosować go do skali otoczenia, architekci zdecydowali się na ścisłe połączenie ceglanej elewacji z dachówką o tym samym kolorze, co tworzy wrażenie dachu spływającego do ziemi. To było technologicznie duże wyzwanie: zużyto 95 tys. ręcznie układanych cegieł i 125 tys. dachówek.

Plac Centralny w Warszawie (A-A COLLECTIVE). Przestrzeń publiczna to w ostatnich latach oczko w głowie wielu samorządów miejskich w kraju. Zdaniem niektórych krytyków zaczyna niekiedy nawet niebezpiecznie dominować nad innymi funkcjami miasta. Dwa lata temu, początkowo w naszym konkursie, a następnie na świecie, furorę zrobił stołeczny Park Akcji „Burza". Plac Centralny, choć też jest zorientowany na masowego użytkownika, to jednak zupełnie inna opowieść.

Jedyne, co łączy oba miejsca, to silne konteksty historyczne. Także tu, przed Pałacem Kultury i Nauki, podkreślone umiejętnie i nienachalnie. Choćby poprzez pozostawienie i odnowienie słynnej trybuny honorowej, która odgrywała niebagatelną rolę we wszystkich pochodach pierwszomajowych w PRL. Teraz zazieleniona, stanowi idealne miejsce na krótki odpoczynek i towarzyskie spotkanie. Także poprzez pamięć o przedwojennym gęstym układzie urbanistycznym, którego ulice, kamienice i podwórka zaznaczono symbolicznie różnymi kolorami i gatunkami płyt granitowych oraz

© JĘDRZEJ SOKOŁOWSKI, NATE COOK, ONI STUDIO (2)

eprasa.pl 13db1c51da

kostki brukowej, odzyskanej z dawnej nawierzchni placu. Czy poprzez zaznaczenie granicy przebiegającego przez to miejsce muru getta lub pozostawienie kilku kandelabrów z lat 50. XX w.

W centrum Warszawy nie było jednak zastanej roślinności, którą można by swobodnie formować, tylko wielka betonowa przestrzeń. Zasadzono więc 100 drzew, 550 krzewów i 81 tys. roślin cebulkowatych i bylin, wytyczono trawniki, starannie zaprojektowane miejsca odpoczynku, postawiono miejskie meble. Nieco asymetryczny układ placu wobec Pałacu ma swój urok, acz trzeba będzie pewnie trochę poczekać na wzrost roślinności, tak by do już widocznej elegancji doszedł jeszcze komponent przytulności i swojskości.

Wydział Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego (PROJEKT PRAGA). Kolejna placówka akademicka w finałowej piątce, co jest chyba rekordem w dotychczasowej historii naszej nagrody. Stanęła w kampusie uniwersyteckim na warszawskiej Ochocie. Na pierwszy rzut oka gmach się niczym nie wyróżnia spośród wielu podobnych w stolicy: elegancka, regularna bryła, dyskretnie, umiejętnie wpisana w urbanistyczny kontekst. Analizujący ten projekt na łamach „Architektury Murator" Piotr Żabicki trafnie napisał o „pięknie, które nie krzyczy". To, co może z zewnątrz przyciągać uwagę, to sporo zieleni i przeszklenia nadające całości transparentny charakter.

Ale nadrzędne hasło tej realizacji, czyli otwartość, doskonale rozwija się dopiero w środku. We foyer wzrok przyciąga duża przeszklona aula. Jednak najważniejsze jest to, co czeka na poziomie pierwszego piętra, na które najlepiej powędrować nieco brutalistycznymi, spiralnymi schodami. Czyli ogromne, ciągnące się aż po szczyt budynku, patio, wokół którego dookoła przebiegają galerie prowadzące do pomieszczeń dydaktycznych, oraz efektowne, łączące kolejne poziomy schody. Całości dopełnia znajdujący się na dachu ogród i wypoczynkowy taras widokowy. Obok tych wyraźnie wspólnotowych przestrzeni jest też trochę zakątków, w których można „zagubić się" w lekturze. Choć gmach jest duży, jego wewnętrzna struktura i logika komunikacji są bardzo czytelne. Przyjazny od pierwszego kontaktu charakter tego miejsca doskonale łączy się z powagą i akademickim sznytem. W porównaniu z poprzednim gmachem Wydziału Psychologii UW to jak przeniesienie się z czyśćca do nieba.

PIOTR SARZYŃSKI

REKLAMA

Wybierz Architektoniczną Realizację Roku 2025

PLEBISCYT

Laureata Grand Prix Nagrody Architektonicznej POLITYKI wybierze jury, ale chcemy też poznać opinię czytelników i internautów o finałowej piątce.

Na Twój głos czekamy do niedzieli 19 kwietnia 2026 r.

Zagłosuj na polityka.pl/architektura

© SLAS architekci

15 NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI

Sponsor Główny Nagrody Architektonicznej POLITYKI

ATLAS

eprasa.pl 13db1c51da

Lato pełne jasności

Wolałbym, żebyśmy się spierali o inne książki niż o Sienkiewicza, ale budujący jest fakt, że o jakieś się jeszcze kłócimy – mówi Radek Rak, pisarz, laureat Nagrody Nike, który właśnie napisał książkę dla dzieci „Maja i czas motyli”.

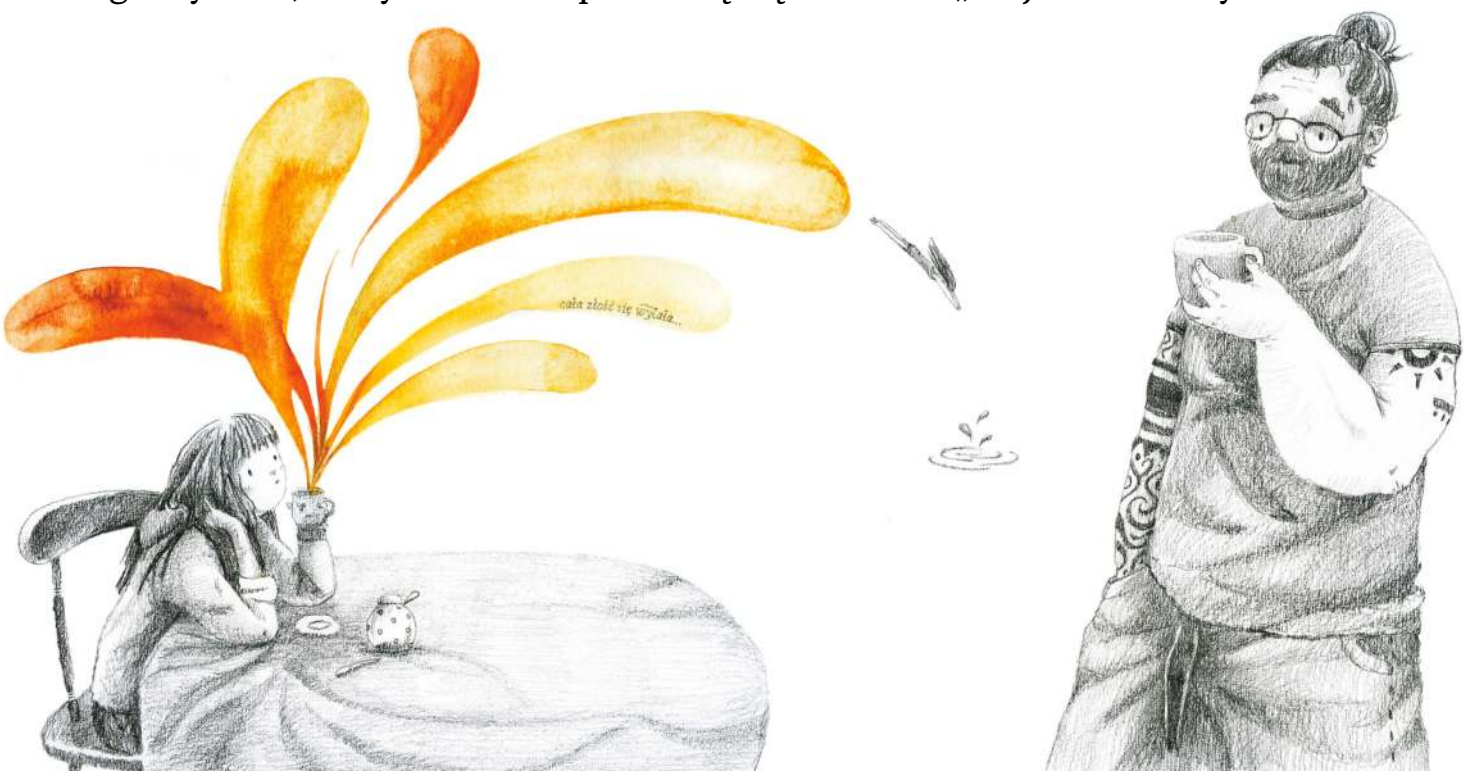

Książkę „Maja i czas motyli” ilustrowała Aleksandra Krzanowska. Powyżej: **jeden z jej rysunków do tej opowieści.**

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– „Maja i czas motyli” to pańska pierwsza książka dla dzieci, opowieść o dziewczynce, która po rozstaniu rodziców uczy się radzić sobie z nowymi emocjami, a jednocześnie zaczyna się fascynować otaczającą ją miejską przyrodą. Skąd Maja wzięła się w pana życiu?**

RADEK RAK: – Cała przygoda zaczęła się od tego, że moja córka, która długo nie rozumiała, czemu ojciec tak często siedzi w jednym miejscu z jakimiś papierami albo z komputerem, w końcu dowiedziała się, co robię. I oczywiście zapytała, gdzie jest książeczka dla niej. Więc musiałem odpowiedzieć, że będzie. A potem ją stworzyć. Z rozpędu napisałem jeszcze powieść dla syna, która ukaże się dopiero za jakiś czas. A napisałem ją, bo brakowało mi chłopackich książek, z czego wcześniej nawet nie zdawałem sobie sprawy. Dziś jest mnóstwo świetnych lektur z dziewczynkami na pierwszym planie, a mało takiej literatury, jaką ja sam kiedyś czytałem.

Pamięta pan swoje pierwsze literackie zachwyty?

Jako dziecko chciałem mieszkać w bibliotece. Spędzałem tam mnóstwo czasu, wypożyczałem dużo książek, aż wreszcie bibliotekarki pozwalały mi pomagać przy jakichś drobnych pracach. I z tych wczesnych czasów pamiętam jeszcze książkę Hansa Petersona „Magnus i pies pokładowy Jack”. Czytałem ją nie wiem ile razy, dziś nic z niej nie pamiętam, ale zapisała się w mojej pamięci jako bardzo chłopacka. Moje ukochane książki z dzieciństwa były pisane przez panów w tweedowych marynarkach i panie w dziwnych nakryciach głowy, bo wychowałem się głównie na literaturze angielskiej. Na pewno był wśród nich „Hobbit” Tolkiena, a później oczywiście „Władca pierścieni”. „Opowieści z Narnii” Lewisa. A jak miałem jakieś dziesięć lat, to zetknąłem się ze Światem Dysku Terry’ego Pratchetta. Wtedy nawet nie wiedziałem, że to są śmieszne książki. Większość żartów była dla mnie przezroczysta, bo nie znałem dzieł literatury, do których bezpośrednio się odnosiły. Dopiero gdzieś na wysokości „Trzech wiedźm” zorientowałem się, że to nawiązanie do „Makbeta”, i od tej pory Pratchetta czytałem już inaczej. Może „Narnię” trudno uznać za książkę dla chłopców. Chłopcy, może oprócz Piotra, zawsze są tam nieogarnięci, popełniają błędy, muszą przejść jakąś przemianę. A dziewczynki były bardziej sensowne, dlatego zawsze najbardziej lubiłem Łucję i to z nią się identyfikowałem. Ale już Tolkien był przede wszystkim chłopięcą literaturą.

eprasa.pl 13db1c51da

To rozgraniczenie na literaturę dziewczęcą i chłopięcą jest w ogóle istotne?

W pewnym wieku tak. Przynajmniej w mojej rodzinie tak to działa. Dla mojej córki jeszcze jakiś czas temu nie miało znaczenia, kto jest bohaterem, ale teraz jest dla niej ważne, żeby w książce, którą czytamy, była dziewczynka. Ewentualnie jakieś zwierzątko, bo nawet jeśli to jest on – jak szczurek wodny w „O czym szumią wierzby" – to mimo wszystko wpada w lukę genderowej neutralności.

Napisał pan niedawno piękny esej poświęcony „O czym szumią wierzby" Kennetha Grahame'a. Czyta pan teraz tę książkę córce. Ale czy nie boi się pan wracać do ulubionych lektur z dzieciństwa?

„O czym szumią wierzby" czytamy nieco wybiórczo. Na razie omijam dłuższe opisy przyrody, bo bardzo łatwo młodych czytelników zniechęcić do lektury. I bardzo chętnie wracam do książek, które kiedyś kochałem, nigdy nie miałem wrażenia rozczarowania. Jednocześnie wiem, że jeśli moje dzieci będą chciały z własnej woli czytać klasyczną literaturę dziecięcą, to na pewno są książki, przy których trzeba się będzie zatrzymać, porozmawiać z nimi o tym, co przeczytały. Pamiętam „Braci Lwie Serce" Astrid Lindgren. Byłem zafascynowany tą ciemną atmosferą Północy, smok Katla był przerażający, napięcie fajnie budowane. Ale wymowa książki mnie zaszokowała, do dziś uważam, że jest bardzo kontrowersyjna i wymaga ostrożności. I nie mam na myśli tematu śmierci, ale na przykład podejścia do niepełnosprawności, zwłaszcza w finale powieści.

„Bracia Lwie Serce" ukazali się ponad pół wieku temu, dziś wrażliwość czytelników, także dorosłych, jest inna.

Na pewno. Na fali dyskusji o „W pustyni i w puszczy" przypomniałem sobie pierwszą część serii o doktorze Dolittle i postać czarnego księcia Bumpo, który ratuje doktora i jego zwierzęta w zamian za to, że Dolittle wybieli mu twarz, bo zostanie białym księciem było jego wielkim marzeniem. Już jako dziecko, czytając „Doktora Dolittle", czułem, że to coś z zupełnie innej epoki, z innego porządku myślowego. Przy tym dyskusje o kolonializmie u Sienkiewicza nieco bledną i od wielu lat książka Loftinga jest wydawana w zmienionej wersji. Moim zdaniem niesłusznie, bo jeśli jakaś powieść nie pasuje do dzisiejszej rzeczywistości, a tak jest w tym przypadku, po prostu usuńmy ją z kanonu. Albo wydawajmy w niezmienionej wersji, za to z obszernym komentarzem, który objaśni wszystkie konteksty. Ten wątek rasistowski jest uderzający, ale zmiana treści tak, żeby nam pasowała do dzisiejszej wrażliwości, osłabia wymowę książki. Myślę, że w przypadku lektur to jest temat, który nigdy nie zniknie, i już zawsze będziemy się kłócili o Sienkiewicza i „W pustyni i w puszczy". Wolałbym co prawda, żebyśmy się spierali o inne książki, ale już sam fakt, że w ogóle się o jakieś kłócimy, jest dla mnie budujący.

Mam wrażenie, że o kanon literacki, zwłaszcza lektur szkolnych, spieramy się w Polsce nieustannie.

To ważne zagadnienie. Kanon ma być przygotowaniem do funkcjonowania w rzeczywistości, która cię otacza. Czy kanon lektur szkolnych powiedział mi cokolwiek o świecie? Nie za bardzo. Podejrzewam, że w dzisiejszych czasach mówi jeszcze mniej. A nie zawsze tak było. Jakiś czas temu znajomy podesłał mi listę lektur szkolnych z lat 30. I tam oprócz rzeczy, które są z tego kanonu nieusuwalne, jak Mickiewicz czy Słowacki, znalazł się pisarz stosunkowo współczesny, czyli Żeromski, lecz także wiele pozycji lżejszych: a to jakaś powieść o marynarzach, a to lektura dla dziewcząt, a to książki podróżnicze. Krótko mówiąc, rzeczy z tamtego punktu widzenia nowoczesne. Z takiego kanonu niemal każdy uczeń byłby w stanie wybrać coś, co jest dla niego interesujące.

„Maja i czas motyli" to pańska pierwsza książka niefantastyczna. Jest tu sporo magii, ale takiej codziennej, wynikającej z zachwytu bohaterki światem. Kojarzyła mi się ze skandynawską literaturą dla dzieci, od „Dzieci z Bullerbyn" po „Muminki".

Jakieś korzenie skandynawskie ta książka ma na pewno, choćby dlatego, że moja córka bardzo lubi serię o Pettsonie i Findusie, opowiadania o starszym panu, który mieszka w Szwecji i ma kota, i ten kot wpędza go w różne perypetie. Cechą tych książeczek są obrazki, które są nie tylko ilustracją tekstu, ale też dzieje się na nich wiele innych rzeczy, więc same w sobie stanowią odrębne historyjki samoopowiadające się z obrazka na obrazek. I to była dla mnie inspiracja dla tej uważnej obserwacji świata, nawet jeśli przyroda w „Pettsonie i Findusie" potrafi czasami być bardzo fantastyczna i odrealniona.

„Dzieci z Bullerbyn" to dobre skojarzenie. Mam w pamięci poświęcony tej książce tekst Renaty Lis, która pisała, że rzeczywistość, w której żyją bohaterowie, jest idealna, a w związku z tym bezpieczna. ▶

Radek Rak (ur. 1987 r.) – jeden z czołowych twórców polskiej literatury fantastycznej, z wykształcenia lekarz weterynarii, który porzucił zawód na rzecz pisania. Autor m.in. cyklu „Agla" oraz uhonorowanej Nagrodą Nike „Baśni o wężowym sercu". „Maja i czas motyli", jego pierwsza książka dla dzieci i zarazem pierwsza powieść niefantastyczna, ukazała się nakładem wydawnictwa Powergraph.

© ALEKSANDRA KRZANOWSKA/DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WYDAWNICTWA POWERGRAPH, WOJCIECH MATUSIK/POLSKAPRESS/EASTNEWS

eprasa.pl 13db1c51da

▶ Tekst był zasadniczo o czym innym, ale najlepiej zapamiętałem z niego właśnie to. I uświadomiłem sobie, że przed laty wracałem myślami do „Dzieci z Bullerbyn", podobnie jak wracałem do spokojniejszych czy wolniejszych fragmentów „Opowieści z Narnii" czy książek Tolkiena. Wyobrażałem sobie, że sam mieszkam w Bullerbyn albo że niczym Szasta w „Koniu i jego chłopcu" trafiam do domu karłów, które robią jajecznicę z pieczarkami. Do dzisiaj czuję jej zapach; kilkoma słowami Lewis tak oddał atmosferę domu, że ja jako czytelnik czułem się tam dobrze, bezpiecznie.

Chciałem dać czytelnikom takie wrażenia. Rzeczywistość, w której żyje Maja, nie jest idealna, rodzice dziewczynki się rozstali, ona sama ma kłopoty do przezwyciężenia, lecz chciałem, żeby w tej książce były fragmenty, które stanowią w tej rzeczywistości bezpieczną przystań. Maja szuka bezpiecznych miejsc: kryjówek, norek, domków na drzewie. Chyba każdy w dzieciństwie tak robił, budował namioty z koców, bazy z poduszek, a już taki domek na drzewie to było coś wspaniałego.

Dom, w którym mieszka Maja, jest stary, z pozoru nieprzyjazny, ale dziewczynka odkrywa w nim coraz więcej elementów, które pozwalają jej oswoić tę przestrzeń. Nawet jeśli są to nietoperze hibernujące na strychu. To otwiera bohaterkę na spotkanie z innymi istotami żywymi.

Lubię pisać o rzeczach, które są wokół mnie, które znam. Odkąd przestałem pracować jako weterynarz i poświęciłem się wyłącznie pisaniu, to w przerwach zajmowałem się domem i zagospodarowałem balkon. Zorientowałem się, jak wiele przylatuje tam form życia, zwłaszcza takich, które mają bardzo dużo nóżek. I pewnie w innej sytuacji nie zwracałbym na nie uwagi, ale zacząłem obserwować, jak do doniczek przylatują miesierki, czyli dzikie pszczoły, które robią sobie norki w ziemi i wyściełają je liśćmi wyciętymi w piękne półksiężyce, robią z tego kokony, składają jajka z pyłkiem, a później w tych norkach rozwijają się larwy, aż wreszcie wylatują dorosłe pszczoły.

Cudownym zjawiskiem jest przeobrażenie zupełne owadów, które trochę naokoło opisałem już w „Agli", a teraz piszę o nim już wprost. Przygotowaliśmy z żoną specjalny habitat, gdzie mamy rośliny, na których żerują sobie gąsienice. A gdy już widzimy, że zaraz będziemy mieli dorosłą postać imago, to wynosimy tę roślinę na łąkę, z której została zabrana gąsienica, żeby owad mógł się spokojnie wydostać z kokonu.

Wrażliwości na świat przyrody nauczył pana zawód weterynarza?

Odkąd pamiętam, chciałem być weterynarzem. Od dzieciństwa interesował mnie świat przyrody. Głównie ptaki i ssaki, owady wtedy mniej. Szkoła, niestety, skutecznie sprawiła, że przestałem się interesować biologią, i wróciłem do niej właściwie dopiero na studiach. I mniej więcej wtedy trafiłem też na książkę Roberta Pucka „Pająki pana Roberta", która nie tylko wyleczyła mnie z arachnofobii, lecz także sprawiła, że zacząłem szukać pająków we własnym domu i ogródku. Fascynująca książka, takie połączenie XVIII-wiecznego traktatu i eseju, w którym autor opisuje, co mu tam akurat do domu przyszło. Przeczytałem tę książkę jako dorosły człowiek, kiedy to niby już nic nie może cię odmienić, a jednak w moim przypadku tak się stało. Wniosła do mojego życia dużo światła, otworzyła mi oczy na świat bliskiej przyrody.

W miastach chyba jednak nie do końca potrafimy żyć z nią w zgodzie?

Wydaje mi się, że właśnie potrafimy, i to w sposób niejednokrotnie lepszy niż poza miastem. Nie wynika to jednak ze zwiększonej świadomości czy wrażliwości, lecz z tego, że przypadkowo stworzyliśmy wydajny ekosystem. Josef Reichholf, niemiecki badacz, autor książki „Motyle", przez kilka dekad gromadził dane dotyczące liczebności motyli nocnych w trzech miejscach: w centrum Monachium, w swojej rodzinnej wsi nad rzeką Inn oraz w lesie łęgowym, a więc w trzech odmiennych ekosystemach. I z tych badań wynika, że na wsi liczebność motyli spadła o przynajmniej 80 proc., w lesie – o 8 proc., co – jak sugeruje Reichholf – wynika z naturalnych zmian w populacji owadów, za to w mieście nieznacznie wzrosła.

Skąd te zmiany?

Reichholf pisze, że to niekoniecznie skutek stosowania pestycydów, ale raczej nawozów przyspieszających wzrost roślin, które w wyniku tego stają się niedostępne dla owadów na pewnym etapie ich cyklu życiowego, po prostu larwy nie mają czasu, żeby żywić się miękkimi młodymi roślinami. W mieście natomiast nawozów raczej się nie stosuje, więc warunki do rozwoju motyli są lepsze. Co więcej, w miastach często jest dużo rozproszonej zieleni, ogródków działkowych albo przydomowych, albo ogródków przed blokami, i to jest dokładnie to, czego owady potrzebują. Książka Reichholfa ubiera w słowa pewien problem, z którym spotykamy się na co dzień, ale rzadko go sobie uświadamiamy. Między innymi dlatego w „Mai i czasie motyli" chciałem się skupić na tym, co jest wokół nas, ale zazwyczaj jest słabo dostrzegalne.

„W życiu wiele rzeczy jest tylko na chwilę, więc przez cały czas można się czuć jak na wakacjach", pisze pan w „Mai i czasie motyli". Kończył pan tę książkę w czasie, gdy leczył chorobę nowotworową. Czy to doświadczenie zmieniło sposób, w jaki patrzy pan na życie?

Zacząłem pisać „Maję" jeszcze przed diagnozą, ale przeczuwając, że coś niedobrego się dzieje. Na poziomie rękopisu powstała szybko, bo chciałem zdążyć. Ostatnie zdania pisałem dosłownie kilka godzin przed operacją. Ale książkę dla dzieci chciałem napisać już wcześniej, ciągle brakowało mi czasu. Wiosną ubiegłego roku, gdy skończyłem pisać ostatni tom „Agli", miałem wrażenie, że żyję już bardzo długo. Mam 39 lat, ale gdy patrzyłem na swoje życie wstecz, to wydawało mi się, że jestem jak jakiś pradawny smok, że studia, praca wydarzyły się strasznie dawno temu.

Miałem w życiu bardzo dużo szczęścia, spotkałem wielu wspaniałych ludzi, byłem i cały czas się czuję otoczony miłością. I nawet jeśli miałem jakieś perturbacje w życiu, łącznie z doświadczeniem śmierci klinicznej, które wydarzyło mi się jako młodemu człowiekowi, to zawsze czułem, że nie jestem sam. I miałem wrażenie, że wszystko, co chciałem zrobić w życiu dla siebie, już zrobiłem. A gdy pojawiły się dzieci, to życie się zmieniło, lecz wciąż jest piękne i wspaniałe. Jeśli kiedykolwiek w czasie choroby czułem się zmęczony lub zniechęcony, to myślałem o moim synku i córce i o tym, że wszystko, co robię, robię dla nich.

Ale czy coś pan w życiu zmienił?

Nie, po prostu robiłem to, co zawsze: spędzałem czas z żoną i dziećmi, zajmowałem się domem, uprawiałem rośliny na balkonie, odwiedzałem rodziców, pisałem, pojechaliśmy na wakacje, bardzo fajne i w dodatku niedaleko. Mimo wszystko to było lato pełne jasności.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl 13db1c51da

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Paweł Deląg znów zostanie ojcem. Gratulacje. W 2022 r. Paweł został dziadkiem. Mój dziadek mawiał: „Gdy jedne drzwi się zamykają, inne się otwierają". Był dobrym dziadkiem, ale szaf składać nie potrafił.

●

Media żyją informacją o skandalicznym państwowym dofinansowaniu biznesu Roberta Lewandowskiego w Giżycku na kwotę 40 mln zł. To news z października 2020 r. Dofinansowałbym fachowców.

●

Ponad 6 mln widzów oglądało mecz Polska–Albania z trudem wygrany przez naszych 2:1. Wiadomo. Okres wielkanocny to czas celebrowania męki.

●

Jarosław Jakimowicz w jednej z warszawskich restauracji obrzucił wyzwiskami typu „I co pe...le, żydowska kur...o?" dziennikarza TVN (czyli mnie). Niestety nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi na jego pytania.

Ralph Kaminski ujawnił, że w młodości tworzył erotyczne filmy animowane, a ich dubbingowanie powierzał mamie. Teraz rozumiem, skąd się wziął tytuł jego płyty „Bal u Rafała".

●

Xavier Wiśniewski rozstał się z siostrą Sebastiana Fabijańskiego. Brawo. Jest lepszy od ojca. Potrafi się rozejść jeszcze przed ślubem.

●

Maciej Kurzajewski po dwóch latach wrócił z podkastem „Serio?", tym razem bez Katarzyny Cichopek. Do pierwszego odcinka zaprosił Radka Majdana, by porozmawiać o byłych żonach. Sugeruję tytuł „Nudno".

●

I to jest naprawdę smutna wiadomość. Jedna z najpiękniejszych par show-biznesu, czyli Young Leosia i Kacper Blonsky, rozstała się. Staromodnie. Nie dość, że facet z kobietą, to jeszcze w zgodzie.

„Ja wszystko w życiu osiągnąłem i właśnie to jest mój problem". To Krzysztof Gojdź. Taka Natalia Janoszek minus Bollywood.

●

Anna Mucha poinformowała świat, że zaczęła nierówną potyczkę z gołębiami, które zas...ły jej balkon, a następnie z czyścicielem balkonów. Będę szczery. W tym pojedynku jestem za gołębiami.

●

Eksperci od mediów zdiagnozowali, że pojawienie się Filipa Chajzera w Polsacie to walka Edwarda Miszczaka o prawicowego widza. Na miejscu prawicowego widza bym się obraził.

●

SDP rozdało nagrody. Główne laury trafiły do Republiki, wPolsce i Krzysztofa Stanowskiego. Tym samym tytuł Hieny Roku, który dostałem kiedyś od tego towarzystwa, smakuje jeszcze bardziej.

●

Skoro już jesteśmy przy SDP. Okazuje się, że członek zarządu Paweł Gąsiorski przez kilka lat zarządzał licznymi stronami porno w sieci. Takie doświadczenie z pewnością pomaga w selekcji laureatów.

●

Za roczny program mentoringowy u pani o danych Riya Sokół trzeba zapłacić 65 tys. zł. Trudno się odnieść. Niedawno jako wokalistka występowała za mniejsze pieniądze.

●

Trwa medialny rozwód Michała Wiśniewskiego z piątą żoną. „Wszystko, co tracisz, robi miejsce na wszystko, czego potrzebujesz" – napisała Pola Wiśniewska. I wszystko jasne. Będzie szósty ślub.

●

„Tłum gwiazd na Jupiterach Roku Plotka. Hajduk, Pela, Hyży". To koniec informacji. Czytana od drugiej strony brzmi jeszcze zabawniej.

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Paula Karpowicz-Zimecka, wokalistka zespołu disco polo Topky, została ugryziona w pośladek przez żółwia na Zanzibarze. Przerażające. Teraz on będzie musiał przez 200 lat z tym żyć.

eprasa.pl 13db1c51da

Witkowski

Kanister nadziei

Wielkanoc to święto nadziei i nabiału, ale skupmy się na pierwszej z tych wartości. Jej prawdziwą lekcję dała nam tuż przed świętami piłkarska kadra. Wyobraźmy sobie bowiem, że pobiliśmy Szweda i myślami już jesteśmy na lotnisku w Houston. O czym byśmy dumali przy wielkanocnym stole wobec milczącej akceptacji jajek i majonezu? O tym, „jak to będzie w tej Ameryce" i „gdzie znaleźć tani nocleg"? To prozaiczne urlopowe dywagacje, raz się jedzie zwiedzać Międzyzdroje, a raz Minneapolis, ot, życie. Może więc wymienialibyśmy się uwagami na temat naszych szans na wyjście z grupy? W obliczu wyjazdu Polaków na mundial nie byłoby to jednak żadne trwanie przy nadziei. Trener Urban i jego piłkarze podarowali nam na te święta coś więcej – kanister metafizycznego paliwa, które uwzniosła i odrywa od doczesności, zgodnie z wielkanocnym obowiązkiem.

Przegraliśmy najważniejszy mecz od dawna, grając najpiękniejszy futbol od dawna. Straciliśmy szansę, by pomścić paulinów bohatersko broniących Najświętszej Panienki w roku 1655. A gdyby tego było mało, mecz wypaczył na naszą niekorzyść inny Słowianin. Mieliśmy więc asumpt, by poczuć się znów niezrozumiani, potraktowani haniebnie. I by na nowo uruchomić młyny mętnej historiozofii, a potem szukać ratunku.

Spójrzmy na to z optymizmem. Absencja na mundialu oznacza, że ominie nas Ogólnopolskie Pompowanie Balonika.

Dzięki temu jest szansa, że spod tych wszystkich reakcji w stylu „Co z tym Grabarą? Chłop jest elektryczny jak węgorz!" wychynęła w ostatnich dniach odrobina nadziei. Choćby na to, że może zagramy jeszcze kiedyś na mundialu, że los się odmieni, że dostaniemy to, co się nam należy jak psu kość. Mistrzostwa świata w 2030 r. to perspektywa dość odległa i nie wiadomo, czy będzie wtedy jeszcze jakiś świat, w którym można „mistrzować". Ale ćwiczenie się w nadziei wydaje się dzięki temu bardziej wskazane niż kiedykolwiek.

Popatrzmy na to jednak nie tylko z nadzieją, ale i z pewną dozą – również wielkanocnego – optymizmu. Absencja na mistrzostwach oznacza, że ominie nas Ogólnopolskie Pompowanie Balonika. Żadnych naklejek z Mattym Cashem, żadnych gorących kubków z Janem Bednarkiem na opakowaniu. I tak po kilku tygodniach stają się już tylko pamiątką po zaprzepaszczonej szansie. Albo po prostu śmieciami, całość będzie więc miała też walor ekologiczny. A skoro nie ma przedturniejowej gorączki, nie ma również Jana Tomaszewskiego tłumaczącego w każdej stacji telewizyjnej, co poszło nie tak. To z kolei walor higieniczno-zdrowotny.

Podczas amerykańskiego mundialu będziemy mieli w trakcie niedoszłych meczów Polaków wolne. Da to nam, nie licząc przerwy i czasu doliczonego, przynajmniej 270 dodatkowych minut, które możemy spędzić na rozmowie z najbliższymi. Ponadto niektóre mecze będą się odbywały w godzinach nocnych. Kto pamięta wstawanie na walki Andrzeja Gołoty, ten wie, jak to się czasem kończyło, i prawdopodobnie nie ma już do tego zdrowia.

Nieobecność na turnieju to także świetny sposób, by uniknąć nieprzyjemności niewychodzenia z grupy. Ominą nas sążniste analizy oraz ewentualny Kangur Matematyczny związany z szansami na awans. Do tego zero frazesów o „nieobliczalnych Tunezyjczykach" czy „zawsze groźnych Holendrach". A zresztą, gdybyśmy nawet wyszli z grupy, to pojawiłoby się ryzyko kłótni o premie oraz sporu kompetencyjnego, czytaj: „kto ma odwiedzać piłkarzy w szatni, prezydent czy premier?". Chcieliby Państwo w tym miłym miesiącu czerwcowym oglądać naparzankę dwóch niemłodych kibiców Lechii Gdańsk? No właśnie.

Pięknie to ujął w niedawnej rozmowie kolega Michał Dymny: „rozbudza się w nas słynną polską nadzieję, tylko potem nie wiemy, co zrobić z jej ciałem". Już wydawało nam się, że „możemy mieć ładne rzeczy": wymieniać piłkę na małej przestrzeni, odgrywać bez przyjęcia, dryblować, a przy tym wygrywać. Rzeczywistość jednak zaskrzeczała – albo gramy piach i zwyciężamy, jak z Albanią, albo zgarniamy wysokie noty za styl i wracamy na tarczy. Znów jednak: może to dobrze? Przynajmniej mamy jasność w temacie stylu narodowego, „laga na Roberta", a nie żadne „brazylizmy". A że Roberta za chwilę zabraknie? Tu też widzę plusy. Pozbędziemy się wygórowanych oczekiwań wobec reszty drużyny.

Albo inaczej: Lewandowskiego zabraknie, ale przecież Zalewski i Szymański też potrafią grać w piłkę. Trener Urban potrafi natomiast sprawić, żeby panowie, często nader skromni, nie ukrywali tych umiejętności przed kibicami. Może więc nie trzeba sobie tej nadziei aż tak wmuszać? W poszukiwaniu optymizmu warto sięgnąć po również niezawodne „inni mają gorzej". Co mają bowiem czuć tacy Włosi, którzy na mundial nie pojadą po raz trzeci z rzędu? A wiedzą państwo, jak się czuje Polak, który kibicuje i naszej reprezentacji, i azzurrim? Bo ja wiem. Do zobaczenia w roku 2030!

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 13db1c51da

Konstytucja i duch inności

Że platformy społecznościowe wywołują coś w rodzaju gangreny mózgu wie każdy, komu zdarza się spędzić „w telefonie" więcej niż kilka minut. Wpada się wtedy w stan będący fuzją wyczerpania, niepokoju i przygnębienia, a mimo to skroluje się dalej, ponieważ mózg ugrzązł w błędnym kole pogoni za nagrodą. Dwa sądy w Ameryce orzekły właśnie w sprawach przeciw koncernowi META i YouTube'owi, że mechanizm uzależnienia nie jest przypadkowym skutkiem działania platform, tylko świadomą polityką. Zasądzone zostały kary w wysokości dotkliwej nawet dla technokrezusów.

Na fali słusznej krytyki społecznościówek łatwo zapomnieć o pożytkach z nich płynących. Czy ktoś pomyślał np., jak potężny deficyt ekspertów pociągnęłoby za sobą zamknięcie Facebooka? Gdzież podziałyby się mównice tych wszystkich specjalistów od szczepionek, geopolityki i monetaryzmu, którzy objawiają się tysiącami po każdym brejking njusie? Produkują się w sieci od brzasku do świtu, zawsze gotowi podrzucić link do zatajonej prawdy i napomnieć niewiernych Tomaszów: „Włącz myślenie!".

Ostatnio klimat zrobił się u nas taki, że bujnie wzeszli specjaliści od konstytucji. Rzecz ciekawa, obrodzili tylko po prawej stronie. Chyba nadszedł czas, by panie i panowie z KOD przekazali następcom koszulki z napisem KON-STY-TU-CJA, które już dwa lata leżą u nich zapomniane na dnie szafy. Nowi eksperci będą mogli robić sobie w nich bojowe fotki, trzymając w ręku ustawę zasadniczą otwartą na artykule 18. Bo to on jest przedmiotem – by nie rzec: ofiarą – ich eksperckiej prawdy. Wierzą, że Duch Konstytucji wybrał ich sobie na naczynie, by przypominali światu niewygodne fakty o małżeństwie. „NSA kłamie" – stwierdził z rozbrajającą prostotą lider jednej z Konfederacji, ugodzony w uczucia ideologiczne wyrokiem Naczelnego Sądu Administracyjnego z 20 marca. Nie on jeden wierzy, że konstytucja definiuje małżeństwo jako związek mężczyzny i kobiety.

> Ostatnio bujnie nam obrodzili specjaliści od artykułu 18 konstytucji. Rzecz ciekawa, tylko po prawej stronie.

Zostańmy ekspertami i my; urządźmy sobie *close reading*. Artykuł 18 brzmi: „Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej". Jest to zdanie proste w konstrukcji, ma jedno orzeczenie. Mówi o tym, że państwo ma szczególne obowiązki wobec pewnych instytucji i ról życiowych, w tym „małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny". Problem sprawia czytającym zwłaszcza wyrażenie „jako związek...". Intuicyjnie można je rozumieć na dwa sposoby: jako dopowiedzenie, które wyczerpuje i zamyka znaczenie małżeństwa, albo jako określenie, które wyodrębnia i podkreśla związek kobiety i mężczyzny, nie wykluczając innych związków. Zależy, kto czyta: liberał czy konserwatysta. Treść i forma artykułu 18 nie dają przewagi żadnej z tych opcji. Ustawodawca nie zadbał o usunięcie dwuznaczności. Nigdzie nie napisał, że „małżeństwo jest związkiem kobiety i mężczyzny". Zakładając, że nieźle władał językiem polskim, można przyjąć, że potrafiłby zdefiniować małżeństwo, gdyby istotnie miał taki zamiar.

W ogóle całe to wyliczenie jest dziwne. Małżeństwo, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo nie są tym samym, ale nie są też całkowicie rozłączne. Zachodzą na siebie znaczeniowo i życiowo. Po co wymieniać je wszystkie? Czy dla ustawodawcy małżeństwo jest równoznaczne z rodziną, macierzyństwem i rodzicielstwem, czy może odwrotnie: rodzina istnieje czasem niezależnie od małżeństwa, a rodzicielstwo bez związku z macierzyństwem? I dlaczego nie mówi się nic o ojcostwie – czyżby nie było społecznie cenne?

Można się w tym pogubić. Albo przeciwnie – odnaleźć. Może artykuł 18 wcale nie został źle napisany. Od ustawy zasadniczej nie należy oczekiwać zamkniętego katalogu form życia, które zasługują na szacunek państwa. Konstytucja nie może być powtórką prawd wiary ani zbiorem maksym towarzysza Mao. To dobrze, że zostawia przestrzeń, w którą możemy wpisać swoje różnorodne życia. Daje wolność, ale nie dowolność: granice tego, co możliwe, wyznaczają jej pozostałe artykuły. Żaden nie nakazuje uzgadniać kodeksów z nauczaniem Kościoła; kilka mówi za to o równoprawności światopoglądów i prawie do życia w zgodzie ze sobą.

Wzruszające są usiłowania neofitów konstytucji, by zrekonstruować „prawdziwe" intencje jej twórców. Nie ma znaczenia, co poeta miał na myśli. Liczy się to, co napisane, a prawo powinno nadążać za życiem. Z systemowej interpretacji konstytucji nie wynika, że państwo ma dyskryminować związki inne niż małżeństwo kobiety i mężczyzny. Ma za to chronić rodzinę, macierzyństwo i rodzicielstwo, a więc również rodziny tęczowe. Z konstytucji może też wynikać, że małżeństwu kobiety i mężczyzny należą się jakieś nieokreślone bliżej przywileje. Mimo że nie zgadzam się tu z ustawodawcą – zamiast kobiety i mężczyzny uprzywilejowałabym związki wychowujące dzieci – myślę, że jest to coś, o czym konstytucja rzeczywiście pozwala rozmawiać. W duchu społecznej mądrości, nie katechizmu.

RENATA LIS

eprasa.pl 13db1c51da

Koziołek

Mój stary szlafrok

Pierwszy raz widzę pana w szlafroku! – prawie wykrzyknęła sąsiadka.

– A myślała pani, że śpię w marynarce? – odburknąłem ze złością, ponieważ w środku golenia przypomniałem sobie, że zostawiłem samochód na kopercie wolnej do siódmej. A wiem, że minutę po rozbrzmiewają telefony straży miejskiej z informacjami o takich jak ja.

– Wygląda pan w nim... – zawahała się – jakoś tak bardziej ludzko.

Zatrzymałem się w pół kroku. – Co pani ma na myśli? Że w garniturze przestaję być człowiekiem?

– Jak każdy na stanowisku, nie wiadomo, kim pan jest. Dziura się panu robi, tu, z boku – pokazała palcem.

W domu spojrzałem z namysłem na szlafrok. Zielony materiał w kratkę na wysokości prawej kieszeni nie wytrzymał prasowania i zrobiły się dwie brązowe dziury. Dlaczego go nie zmieniam, choć stać mnie na nowy? Nie przedstawia dla mnie wartości sentymentalnej; nie jest markowy ani szczególnie ładny. Być może obawiam się tragikomicznego losu Diderota, który poniewczasie uświadomił sobie, jak brzemienna w skutki jest decyzja pozbycia się starego szlafroka:

W słynnym szkicu „Żale po moim starym szlafroku albo rada dla tych, którzy mają więcej smaku niż majątku" (1769 r.) dokumentuje narodziny „smaku", rozumianego jako – na pozór – indywidualna wolność kupowania tego, co mi się podoba, zamiast trwać przy rzeczach, które przekazali nam przodkowie albo których używa większość naszej społeczności. Kiedy prawo do rzeczy i stylu życia zaczyna być powiązane nie z urodzeniem, lecz jedynie z pieniędzmi, mogę nareszcie swobodnie sięgać po to, co mi smakuje, podoba się, odpowiada mojemu gustowi, z którym się nie dyskutuje. Kto w takim razie mówi nam, co jest ładne, smaczne; co nam pasuje, a co nie? W poczuciu zagrożenia niepodległości swoich gustów wykrzykujemy: „Nikt!". Jasne. Tylko my sami decydujemy o fryzurze, kolorze ścian, kroju spodni, jedzeniu z pudełek albo z garnków.

> Nic nikomu do tego, że smakuje mi kapusta z beczki i pasztetowa. Ale może się okazać, że jest to zły smak i niedobry gust.

Pewnie, że ironizuję. Diderot – luminarz oświecenia, które proklamowało powszechne wykształcenie – przenikliwie przewidział tyranię smaku, który bynajmniej nie jest własnością jednostki. To znaczy – jest. I nic nikomu do tego, że smakuje mi kapusta prosto z beczki i pasztetowa. Ale może się okazać, że jest to zły smak i niedobry gust. Podobnie, jeśli się zagapię i nie zamienię koszulki fit na oversized, muszę liczyć się z dezaprobatą. Mniej więcej od czasu, kiedy dogmat tradycji został zastąpiony przez dogmat mody. W XIX w. kapitalizm i prasa stały się katalizatorami masowych zachowań estetycznych, których jedyną stałą cechą jest zmienność wywołana niezaspokojonym pragnieniem bycia „na czasie".

Aby jednak człowiek stał się niestrudzonym i nienasyconym pochłaniaczem nowości, musi zostać wygnany z domu swoich zmysłowych przyzwyczajeń i uznać, że jego gust wymaga nieprzerwanej naprawy. A skąd u mnie smak na mule, których żaden z moich przodków nie wziąłby do ust? O tym mniej więcej jest esej Diderota, opisujący perypetie przeobrażania mieszkania, wymianę mebli, nabywanie rzeźb i obrazów, aby dopasować swoje lokum do „purpurowego intruza" – jak nazywa nowy szlafrok. A w istocie – do „swojego" smaku.

Uroczo naiwne są te dylematy wczesnego kapitalizmu, w którym dokonuje się emancypacja smaku i ubóstwa. Kształcimy się, dorabiamy, kupujemy coraz więcej ładnych rzeczy i tak powinien się toczyć światek. Niestety, pod spodem czai się histeryczny niepokój o to, czy w tych odmianach mody jest coś stałego lub choćby trwałego, skoro przeszłość przestała być godną szacunku tradycją i stała się mega second handem; kupą porzuconych z niesmakiem rzeczy, które jeszcze wczoraj uważaliśmy za piękne i niezbędne. Wokulski – kapitalista dojrzewający – chciał móc kupić sobie wszystko oraz żeby Izabela go kochała, a ludzie szanowali. My jesteśmy jeszcze bardziej śmieszni. Dzięki niskim kosztom pracy „gdzieś tam" my, ludzie Zachodu, możemy sobie niedrogo kupić wszystko bez poczucia winy, że dorobiliśmy się na wojnie. Czujemy za to dyskomfort, ponieważ kupujemy, zużywamy, zjadamy za dużo, bez potrzeby, tylko dlatego, że mamy na to ochotę. Z konsumpcyjnego poczucia winy zrodziła się „kultura vinted", czyli globalny obrót rzeczami używanymi. Sprzedaję swój szlafrok, bo chcę inny, a nie dlatego, że się zużył.

Może spróbować rozwiązania Müllera? To jeden z milionerów w „Ziemi obiecanej", który zaczynał jako prosty tkacz. Kiedy „w pantoflach klapiących drewnianymi podeszwami i w barchanowym, podwatowanym i mocno zatłuszczonym kaftanie" oprowadza Borowieckiego po swoim pałacu, wyznaje mu, że w nim nie mieszka. „Po co mi to, kiedy mi wygodniej w starej chałupie. (...) Kosztuje drogo, niech kosztuje i niech sobie stoi, niech ludzie wiedzą, że Müller może mieć pałace, a woli mieszkać w starym domu". I nosić dumnie swój szlafrok niczym mundur buntownika. Jak Big Lebowski i Pat Calhoun („Jedna bitwa po drugiej").

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 13db1c51da

Passent

Rąbać i palić

Do spektakularnych wydarzeń historycznych, w których uczestniczyłam, należały stan wojenny i rozwałka muru berlińskiego. Tej ostatniej dokonał oczywiście jednym kopnięciem nasz wielki Polak elektryk. Zapamiętałam propozycje kulinarne tamtych czasów. Raz w roku partyjna dyrektorka mojej podstawówki wkraczała do klas, przerywała lekcje i każde dziecko otrzymywało coś w rodzaju dużego plastikowego słoika, a w nim pomarańczę i niejadalne konfiety. Dziś myślę, że mogły być to pomarańcze z Krymu. Wiedząc o pustych półkach u sąsiadów przez mur, zachodni Niemcy podczas listopadowego szaleństwa w 1989 r. z ciężarówek rzucali w enerdowców bananami i pomarańczami.

Dziś cytrusy w sklepach się przejadły i wypada mieć całe drzewko pomarańczowe, nawet gaj. Na warszawskim Powiślu w kawiarni Milkbar kolejka nabotoksowanej ludzkości z psieckami w sweterkach od Prady wije się po obłędnie smaczne syrniki (ukraińskie słodkie paluszki serowe ze śmietaną) i kawę z sokiem ze świeżej pomarańczy. Tzw. orange espresso, wynalazek ukraiński, który nauczyłam się pić od przyjaciela z Kijowa, wyparło matcha latte. Im bliżej upadku twierdzy Donbas, tym bardziej Lwów przenosi się do Warszawy, a Warszawa migruje na Sycylię i Teneryfę. Warszawiacy nie mogą już tylko protekcjonalnie narzekać na to, jak „nasza Ukrainka” myje okna przed świątecznymi śniadaniami, bo Ukraińcy to już często nasi pracodawcy. Niekoniecznie na budowie. Zdarza się, że duma rodziny, nasz Jaś czy Małgosia, dostali się u naszej pani doktor z Iwano-Frankowska na praktyki chirurgiczne w szpitalu powiatowym.

> To już nie ciche posapywanko pryszczatych jutubowych inceli, ale chór cierpiących za miliony szeregowych Konradów.

Pomarańcze może są, ale dobra żona czy kochanka nie serwują ich już ładnie obranych i pokrojonych mężowi do meczu czy przed pracą. Samotni mężczyźni chorują na depresję, zapadają się wraz ze swą dną moczanową i otyłością brzuszną w manosferę, w której lamenty gremialnie się wsłuchujemy. To już nie ciche posapywanko pryszczatych jutubowych inceli i szurii ze zlotów dr. Zięby, ale donośny chór cierpiących za miliony szeregowych Konradów. Z małych miejscowości, gdzie nie ma pracy, bo zakłady na Mazurach wszystkie zamknięte; z uczelni, gdzie panoszą się kolejne docentki czy profesorki, zamiast rezygnować z awansów na rzecz pieluch; z wielkomiejskich ławeczek, gdzie stać ich już tylko na hot doga z żaby.

Idylliczna stara wizja skrytego mięśniaka drwala jest tak wytęskniona, że książka „Porąb i spal. Wszystko, co mężczyzna powinien wiedzieć o drewnie” wyprzedała się w milionowych nakładach. Nawet męskość jazzowo-motoryzacyjna z wczesnego Wajdy czy ta ojczyźniano-poetycka z Herberta, a nawet rockowo-jarocińska, wyginęły i mamy antropocen, z którego panowie się nie cieszą. Panie uwolniły się od ciąż, połogów i gwałtów małżeńskich (ponad 50 proc. żon nie czerpie przyjemności z seksu – dowiedziałam się, rozmawiając w radiu z dr. Andrzejem Depką), a panowie stawiają na celibat.

Wygląda na to, że przymusowe lekcje religii odniosły skutek – Polacy tak bardzo nie chcą się kochać w realu poza Pornhubem, że lekcje o zdrowiu są klapą frekwencyjną. Przynajmniej może kiła w odwrocie – przydałoby się, bo na NFZ minister Domański nie ma już grosza i pozabierał nam uroki kolonoskopii. Własne jednostki jelitarne wyleczy sobie w szpitalu MSWiA, a rodzinę prywatnie, więc o co kaman?

Matki moich koleżanek licealistek bały się puszczać dzieci pod namiot, a gdy mój syn był w liceum, przyjaciółki szczerze mi zazdrościły: „Serio? Jego dziewczyna u was nocuje? Ale masz szczęście! Widziałaś ją? Oni nie przez kamerkę?”. W czasach posuchy erotycznej trudno być spełnionym katolikiem i dbać o rozwój plemników. Dorosły plemnik i tak nie miałby gdzie się podziać, bo w Warszawie metr mieszkania kosztuje średnio 18 tys. zł, a złe babcie nie umierają, tylko ćwiczą pilates.

Na domiar złego konkurencją dla plemników i dużych katolickich rodzin stały się roboty. Melania Trump pokazała się na salonach w parze z takim właśnie osobnikiem, czemu się nie dziwimy, znając powab jej małżonka. Globus to Trump ma, ale patrząc na działania wojenne, nie jestem pewna, czy odróżnia Iran od Iraku. Jedno i drugie zaczyna się na „I” i można tam bombardować islam w obronie zagrożonych Żydów i katolików, tyle że trudno potem się mienić obrońcą życia, witając swoich chłopców i dziewczęta wracających w trumnach.

Feminizm w Polsce przejadł się jak te banany i pomarańcze. Wreszcie, po latach widma dżenderyzmu krążącego po Niepodległej, można w mejnstrimie pochylać się nad losem katolików i mężczyzn. Czy jednak ta współczesna katolicka męska kontrrewolucja pod wodzą rozmodlonego J.D. Vance’a, Czarnka walczącego z OZE i Bąkiewicza snującego się po moście w Słubicach w poszukiwaniu filmików z hordami Czyngis-chana nie naraża nas na szybką śmierć? Rosja właśnie zbombardowała katolicki kościół we Lwowie.

AGATA PASSENT

eprasa.pl 13db1c51da

Świństwo w państwie

Najważniejsze jest teraz bezpieczeństwo Polski, dlatego informacja, że prezydent Nawrocki wezwał do siebie kluczowych generałów z pominięciem szefa MON, zelektryzowała opinię publiczną. Przeciwnicy prezydenta uznali to za groźne dla bezpieczeństwa Polski, zwolennicy uspokajają, że chciał się dowiedzieć, co generałowie robią dla zapewnienia tego bezpieczeństwa, a zwłaszcza czy nie robią czegoś, co by mu zagrażało.

Prezydentowi mogło np. zależeć na ustaleniu, jacy generałowie odpowiadają za to, że polskie wojsko entuzjastycznie poparło program SAFE i na czyj rozkaz opowiadają w mediach kłamstwa, że program SAFE zwiększa bezpieczeństwo Polski, choć faktycznie je zmniejsza, gdyż jest programem niemieckim, co sprawia, że Nawrocki, zamiast popierać finansowaną w ramach tego programu polską zbrojeniówkę, musi popierać zbrojeniówkę amerykańską i zamiast w polskim Borsuku czy Krabie fotografować się w myśliwcu F-35, chociaż wolałby w Białym Domu.

W obliczu zagrożenia, jakim było nagłe wezwanie do Pałacu Prezydenckiego, generałowie okazali spokój i lojalność wobec polskiego rządu, zwracając się o pozwolenie na rozmowę z prezydentem do szefa MON. Ten zapewnił, że „nikt nie będzie ograniczał prawa do rozmowy prezydentowi", co uważam za rozsądne, w dodatku zbieżne z intencjami prezydenta, który daje jasno do zrozumienia, że jeśli idzie o bezpieczeństwo Polski, także nie będzie się w niczym ograniczał.

Zdaniem Nawrockiego najważniejsze dla zapewnienia bezpieczeństwa Polsce jest jak najszybsze obalenie rządu Tuska, w czym ma pomóc wyznaczony przez prezesa Kaczyńskiego przyszły premier Przemysław Czarnek. To doskonały wybór, biorąc pod uwagę jego miażdżącą skuteczność w zwycięskiej wojnie z panelami fotowoltaicznymi, które Czarnek ośmieszył i ukarał serią celnych wypowiedzi za to, że były nieopłacalne i szpeciły jego dach. Niektórzy upierają się, że to raczej panele wygrały, bo wciąż są na dachu i przynoszą Czarnkowi niechciane oszczędności, ale ten w ostrym tonie zapewnia, że los „tego świństwa" jest przesądzony i zostanie ono ostatecznie i bezlitośnie zdemontowane, gdy tylko „moja żona wyjdzie z okresu trwałości projektu".

Miejmy nadzieję, że okres trwałości tego projektu minie, zanim zrealizuje się projekt Jarosława Kaczyńskiego, żeby Czarnek był premierem. Oby tylko ten projekt nie został tak złośliwie wymyślony, że opuszczenie go będzie niemożliwe ze względu na korzyści, jakie przynosi. W oczekiwaniu na wyjście żony z projektu Czarnek wezwał rząd Tuska do natychmiastowego wyjścia z unijnego systemu ETS.

GALERIA POLITYKI

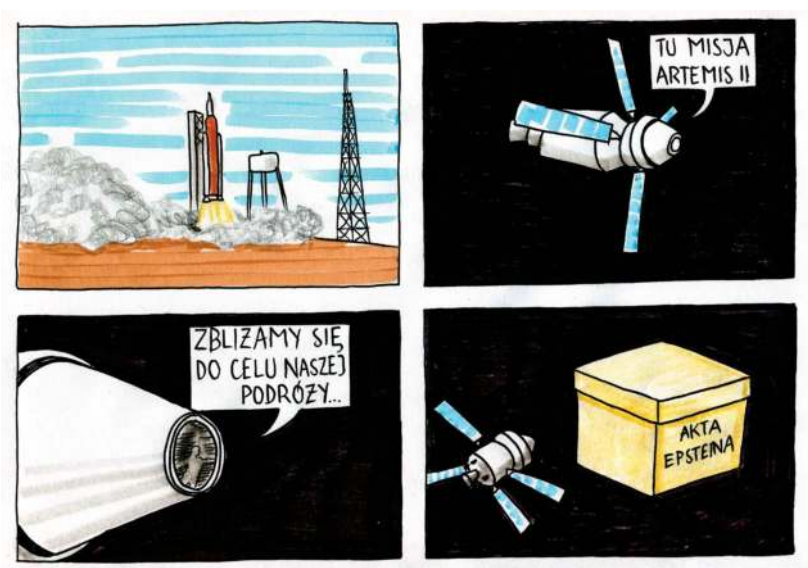

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint leipa passion process technology

eprasa.pl 13db1c51da

Pulsar zagra w Poznaniu

Czy muzyka może być źródłem dezinformacji? W jaki sposób potrzeba poszukiwania prawdy wpływa na jej odbiór przez słuchaczy? To pytania, które stawia Jacek Mazurkiewicz – kontrabasista, kompozytor i performer. **Autorski projekt BioFoNIA Jacka Mazurkiewicza będzie częścią spotkania „Dlaczego fakty do nas nie przemawiają?", zaplanowanego na 10 kwietnia o godz. 18 w Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu (ul. Św. Marcin 80/82).**

PODRÓŻ PO WIEDZĘ

BioFoNIA jest syntezą muzyki współczesnej i nauki. Powstała z potrzeby zrozumienia i wykorzystania w kompozycjach procesów elektrycznych zachodzących w roślinach.

Poznańska dyskusja jest pierwszą z cyklu „Podróż po wiedzę". Kolejne, poświęcone innym tematom, odbędą się w maju w Gdyni, w czerwcu w Krakowie, we wrześniu w Warszawie, w październiku w Lublinie, w listopadzie w Szczecinie oraz w grudniu w Katowicach. Serdecznie Państwa zapraszamy.

SPONSOREM CYKLU SPOTKAŃ JEST ENEA.

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

45 lat temu w numerze 15. z 1981 r. w korespondencji z USA „Zamach w Waszyngtonie" Stanisław Głąbiński pisał o próbie zabójstwa prezydenta USA Ronalda Reagana, do której doszło 30 marca 1981 r.

Korespondencja z USA

ZAMACH W WASZYNGTONIE

STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

Nie wiem co pisze prasa polska na temat nieudanego, czy też częściowo udanego zamachu na prezydenta Reagana. Przypuszczam, że część, nawet zapewne znaczna część wiadomości, jaką przekażę w tej korespondencji, jest już czytelnikom polskim znana. Niemniej oczywiste jest, że wydarzenia rozgrywające się w Waszyngtonie oglądam niejako od środka. Wiele godzin bezpośrednio po poniedziałkowym zamachu spędziłem w samym sercu cyklonu, a więc w Białym Domu. Sądzę, że warto podzielić się wrażeniami.

OTÓŻ, że prezydent Reagan zdarzy się wczorajszym popołudniem w poniedziałek 30 marca o hotelu Hilton na spotkanie z członkami okręgowej (na kontynencie) centrali związkowej AFL/CIO (ok. dziesięciu okręgowych ryc Białego Domu, powiadomione o w piątek. Patriotart wczoraj (ci mogli o tym w poniedziałek rano przeczytać w „Washington Post", ogólnoprzy dziennik stołecznym, który każdego dnia przynosi w specjalnej rubryce rozkład odrębnych dni prezydenta.

Ze sam około 14 wyjechał do Białego Domu, aby wziąć udział przyjęciu prezydenta do związkowcy a zamachu. Podano, że zamach był nieudany, że prezydent nie został uraniony i że wraca do Białego Domu.

W tej spodzi chyba cała Ameryka, a w kilka minut potem i świat dowiedział się o zamachu. Przez kilkanaście minut utrzymywała się wersja, że prezydent wyszedł cało. Wiemy obecnie oczywiście, że było inaczej.

SZEŚĆ STRZAŁÓW

A sam moment zamachu wyglądał tak.

Prezydent wygłosił w Sali Balowej hotelu Hilton około 20-minutowe przemówienie i po zejściu z mównicy jeszcze chwilę rozmawiał z działaczami związkowymi. Potem skierował się do wyjścia. Za nim o dwa kroki szedł rzecznik prasowy Białego Domu James Brady, wokół kilku agentów służby bezpieczeństwa Białego Domu, zwanej tu Secret Service.

Skierowano się do bocznego wyjścia. Głównego wyjścia nie ubrano z uwagi na bezpieczeństwo prezydenta. To boczne wyjście wychodzi na mały skwerek i boczną ulicę.

O tym, że prezydent tedy właśnie wyjdzie wiedzieli wszyscy, a kto nie wiedział, mógł się z łatwością dowiedzieć. Naprzeciwko wyjścia ustawiła się grupa reporterów i ekipy telewizyjne. Kamery zwróciły prezydent i towarzyszący mu wyszli na chodnik. Dochodziła 14.30 czasu waszyngtońskiego. Temu winny, że Secret Service popełniła dość poważny błąd, który zapewne będzie gruntownie dochodzenia. Limuzyna prezydenta, czarny opancerzony Lincoln, nie stała naprzeciwko wyjścia z hotelu. Po wyjściu prezydent musiał skręcić w lewo i przejść około 15 metrów, ażeby dojść do samochodu. Gdyby dokładnie ustawiono limuzynę, odległość wynosiłaby nie więcej jak 5 metrów. Co ważniejsze, idąc prosto, Reagan nie przechodziłby koło stojącego pod murem hotelu i na razie przez nikogo nie zauważonego młodego mężczyzny (...).

Reagan zrobił kilka kroków i nie zatrzymując się, machał ręką, pozdrawiając skupiony po drugiej stronie skwerku tłumek przypadkowych przechodniów. Dziennikarze usiłowali zadawać jakieś pytania, ale prezydent najzwyczajniej nie zareagował odpowiedzi. Szedł do samochodu. Znajdował się od niego o metr najwyżej, gdy padł pierwszy strzał. Ten właśnie pierwszy strzał sięgnął Reagana. Trafił go w momencie, gdy prezydent podniesiona lewą ręką odwrócił przechodniów.

Drugi strzał wydaje się, że również [illegible] odległości [illegible] wiedział, że został trafiony. Wydawało mu się, że [illegible] poważne znaczenie poli-

Zamachowca wrzucono do samochodu policyjnego, który natychmiast odjechał

„(...) Prezydent wygłosił w Sali Balowej hotelu Hilton około 20-minutowe przemówienie i po zejściu z mównicy jeszcze chwilę rozmawiał z działaczami związkowymi. (...) Potem skierował się do wyjścia. Za nim o dwa kroki szedł rzecznik prasowy Białego Domu James Brady, wokół kilku agentów służby bezpieczeństwa Białego Domu, zwanej tu Secret Service. (...)

Prezydent i towarzyszący mu wyszli z hotelu na chodnik. Dochodziła 14.30 czasu waszyngtońskiego. (...) Limuzyna prezydenta, czarny opancerzony Lincoln, nie stała naprzeciwko wyjścia z hotelu. Po wyjściu prezydent musiał skręcić w lewo i przejść około 15 metrów, ażeby dojść do samochodu. Gdyby dokładnie ustawiono limuzynę, odległość wynosiłaby nie więcej jak 5 metrów. Co ważniejsze, idąc prosto, Reagan nie przechodziłby koło stojącego pod murem hotelu i na razie przez nikogo nie zauważonego młodego mężczyzny (...).

Reagan zrobił kilka kroków i nie zatrzymując się, machał ręką, pozdrawiając skupiony po drugiej stronie skwerku tłumek przypadkowych przechodniów. (...) Szedł do samochodu. Znajdował się od niego o metr najwyżej, gdy padł pierwszy strzał. Ten właśnie pierwszy strzał sięgnął Reagana. (...)

Drugi strzał (...) Reagana już nie sięgnął. Natychmiast bowiem zasłonił go własnym ciałem agent ochrony Timothy McCarthy. Prezydent został przez idących za nim agentów Secret Service dosłownie wrzucony do samochodu, który natychmiast ruszył, jeszcze przed zamknięciem drzwi. (...)

Człowiek stojący pod murem strzelał z niezwykłą prędkością. Chociaż rzuciło się na niego kilku agentów i policjantów, zdążył oddać łącznie sześć strzałów. Pierwszy trafił prezydenta. Drugi – agenta ochrony. Jeden z kolejnych strzałów zranił mundurowego policjanta Thomasa Delehanty, a jedna kula, najfatalniejsza, trafiła w czoło idącego tuż za prezydentem jego rzecznika prasowego Jamesa Brady.

(...) Ujawniono nazwisko zamachowca w jakieś dwie godziny po wydarzeniu (...). Nazywa się John Hinckley i jest mieszkańcem Denver w stanie Colorado. Ojciec jest zamożnym (...) wiceprezesem jednej z firm naftowych. Rodzina jest bogata, konserwatywna, mieszczańska i republikańska. Rodzice należą do zwolenników i wyborców Reagana. John ma 25 lat. (...) Nie ukończył studiów, zamknięty w sobie, samotny, coraz bardziej oddalał się od rodziny. (...) Hinckley nie zajmował się polityką i nikt nigdy nie słyszał, ażeby wypowiadał się na temat Reagana. (...) Jakie były w ogóle motywy jego działania? (...) W rzeczach Hinckleya w pokoju hotelowym znaleziono niewysłany list do dość znanej amerykańskiej aktorki młodego pokolenia Jodie Foster (...). W liście tym John pisze: »Teraz zapewne dowiesz się, kim jestem, poznasz mnie«.

Hinckley znał oczywiście Jodie Foster z ekranu i z całą pewnością widział ostatni i najbardziej znany film z tą aktorką. Film nosi tytuł »Taksówkarz« i jest fabularną historią opartą na zamachu dokonanym przed kilku laty na kandydata do stanowiska prezydenta Wallace'a. Przebieg zamachu na filmie jest niemal identyczny do zamachu, jaki miał miejsce przed hotelem Washington Hilton (...)".

© ARCHIWUM POLITYKI

eprasa.pl 13db1c51da

TREND

Bunt czytelników

Do Polski dotarła moda na Ciche Kluby Książki. Na jakie potrzeby odpowiada dziś wspólne czytanie w ciszy?

Piątkowy wieczór, a Biblioteka Oliwska przyciąga światłem, parującą kawą i herbatą, i oczywiście książkami. Koło 19.00 zaczyna się ruch. Młodzi (w większości) ludzie zajmują fotele i sofy. Sięgają po książki przyniesione z domu albo zdjęte z bibliotecznych półek. Zapada cisza przerywana jedynie szelestem kartek. Żadnych telefonów, żadnych esemesów, żadnych powiadomień.

Krystyna, przed którą egzamin na pedagogikę baletową, wgryza się w „Krótki zarys historii tańca i baletu". To wymagająca lektura, a w domu trudno się skupić. Z podobnych powodów Mateusz, polonista, czyta „Okręt" Lothara-Günthera Buchheima właśnie na spotkaniach klubu. Mikołaja, studenta nawigacji, zwabiła tu obietnica wyłączenia technologicznych bodźców i nowe towarzystwo. Czyta „Homo deus" Harariego.

Oliwski Silent Book Club (SBC) powstał dwa lata temu jako drugi w Polsce. Pierwsza była stolica, ale dziś ten warszawski oddział już nie działa. – *Cichy Klub Książki to idealny pomysł dla czytelników z introwertyczną naturą* – tłumaczy Magdalena Basińska, bibliotekarka i twórczyni Klubu. I dodaje: – *Ale nie tylko – po długim tygodniu pracy wielu z nas potrzebuje spokoju, głębokiego oddechu. Bez dyskusji o przeczytanych książkach, ścigania się na efektowne komentarze. Tu wystarczy pobyć razem w zaciszu bibliotecznych regałów, popijać kawę i dać się ponieść lekturze. Potem można pogadać, podzielić się wrażeniami i polecajkami, ale obowiązku nie ma.*

Aleksandra Kozłowska – dziennikarka, autorka książki „Ambulans jedzie na wieś. Śladami wędrownych wyrwizębów" (Znak), współautorka z Mirellą Wąsiewicz reportażu „Islandia i Polacy. Historie tych, którzy nie bali się zaryzykować" (Znak Literanova).

Najwyraźniej idea SBC trafia w ludzkie potrzeby, bo wspólnota cichych czytaczy rośnie. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gdańsku zapowiada otwarcie kolejnych klubów, w lutym ruszył SBC w gdyńskiej Bibliotece Wzgórze. W gliwickiej Bibliotece Centralnej fanki czytania (na walentynkowym spotkaniu klubu zdecydowanie dominowały kobiety) zajęły całą salę. Od jesieni zeszłego roku SBC działa też w kawiarni KLAR w Gliwicach. – *Zainteresowanie jest spore. Przychodzą całe grupki znajomych, każdy z własną lekturą. Ci mniej książkowi znajdują motywację i inspiracje. Nawet nie musimy pisać, że na czas czytania prosimy o wyciszenie telefonów, ludzie sami mają dosyć rozpraszaczy* – mówi Sandra Błaszczuk, organizatorka wydarzeń w KLAR-ze.

Hasłem „To nie jest czas na czytanie w samotności" reklamują Kolektywne Czytanko, cykl spotkań latających po całym Trójmieście i dalej, jego pomysłodawcy Sylwia Bruna i Marek Rogala, aktywiści związani z grupą Stocznia.dzielnica. W Poznaniu cykl „Silent Book. Ludzie, książki, rozmowy" organizuje Teatr Polski. Uczestnicy przynoszą własne książki, w ciszy czytają, a po godzinie mogą porozmawiać o swojej i innych lekturach. Chęć wymiany myśli sygnalizują żółtą zakładką, brak nastroju do pogawędek białą. Warszawa ma m.in. „Silent Saturday. Ciche czytanie" w Big Book Cafe. A w Białej Podlaskiej latem Miejska Biblioteka Publiczna zaprasza na akcję „KsięgoZbiór" – wspólne ciche czytanie w przestrzeni publicznej, czyli w założeniu zamkowym Radziwiłłów.

Pierwszy Silent Book Club otworzyły Guinevere de la Mare i Laura Gluhanich z San Francisco. W 2015 r. założyły „organizację z misją jednoczenia globalnej społeczności miłośników książek poprzez wspólną radość czytania". Zasady: wstęp wolny, otwarte dla wszystkich, zero dyskryminacji i nienawiści, zero tolerancji dla trollingu. Dziś światowa sieć SBC łączy ponad milion osób, obejmuje 2,2 tys. miejsc w ponad 60 krajach na wszystkich kontynentach.

Dla części z uczestników wspólna cicha lektura to z pewnością także wyraz zmęczenia wirtualnym światem. Spotkania czytelników odbywają się „naprawdę", wśród żywych ludzi i tradycyjnych książek. Ale mogą też być czymś jeszcze. 29 stycznia tego roku założycielki Silent Book Clubu umieściły na klubowym blogu wpis zatytułowany „Reading is an Act of Resistance" (Czytanie jest aktem oporu). Wyraziły w nim solidarność z odbywającym się następnego dnia ogólnoamerykańskim strajkiem przeciw przemocy ICE i przypominały, że demokrację można wspierać w różny sposób, także budując społeczności promujące integrację, w tym niezależne księgarnie, biblioteki i kluby czytelnicze. Wspólna cicha lektura może też być aktem społecznego buntu. ■

© SHUTTERSTOCK AI, ARCHIWUM PRYWATNE, @AI.CINEMA021, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 13db1c51da

WIRAL

Zakochane owoce

Śledząc historię mediów internetowych, łatwo zauważyć, że są ekstremalnym rozwinięciem telewizji – nieskończony strumień portalowych wiadomości wywodzi się z nadających całą dobę kanałów informacyjnych. Era sztucznej inteligencji jeszcze bardziej uwydatniła ten proces – po *reality show*, dostarczających niewybrednej, ale emocjonującej rozrywki, przyszedł czas na programy całkowicie nierealne.

Oto klasyczny format „Love Island. Wyspa miłości", w którym piękni ludzie dobierają się w pary i konkurują ze sobą o przychylność widzów, rozgrywając emocjonujące dramy rodem z telenoweli, znienacka objawił się w wydaniu tzw. brei AI. W „AI Fruit Love Island" z TikToka @ai.cinema021, zamiast śledzić perypetie muskularnych młodzieńców i opalonych panien, ogląda się równie atrakcyjne... hiperrealistyczne antropomorficzne owoce, jak śliwek Plumero czy arbuzica Watermelina. I jak widać po wciąż rosnącej liczbie widzów (3,1 mln), sztuczna inteligencja potrafi wygenerować całkowicie fałszywe obrazy, ale i zupełnie prawdziwe emocje. Zadeklarowaną fanką „Owocowej Wyspy Miłości" jest piosenkarka Zara Larsson. Być może żartowała, być może ogląda „dla beki", ale to trochę jak z hipsterami ironicznie słuchającymi disco polo, którzy po jakimś czasie otwierają się na autentyczne przeżywanie muzyki.

Źródeł „Fruit Love Island" należy się doszukiwać wśród włoskiego brainrota i jego surrealistycznych potworków w stylu Balleriny Cappucciny (rzecz jest wciąż popularna wśród młodzieży dzięki grze Roblox, a także w chińskich animacjach o kotach). To prawdziwe czarne zwierciadło ludzkiej kultury i natury; krótkie opowiastki stanowiące ekstrakt poruszających narracji znanych z brazylijskich telenoweli, azjatyckich *drama* czy amerykańskich oper mydlanych. Zdrady, katastrofy życiowe, poświęcenie rodzica dla dziecka; wszystko odegrane przez absurdalnie kiczowate człekokształtne koty. Breja AI przypomina futurystyczne wizje, w których jedzenie zostało zastąpione przez pigułki i galaretki. Można na nich przeżyć, ale co to za życie?

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Twarze Ozempicu

Od czasu „Ostrego dyżuru" i „Dr. House'a" nie było tak głośnego serialu medycznego jak „The Pitt". Każdy z dwóch sezonów opowiada historię jednej zmiany na amerykańskim SOR, gdzie diagnoza goni diagnozę, a w dialogach padają dziesiątki medycznych terminów na minutę. W tym czysto środowiskowe – takie jak *boarding*, czyli przetrzymywanie chorych na oddziale ratunkowym z braku łóżek w szpitalu – albo charakterystyczne tylko dla serialowego szpitala, choćby „kod hula-hoop" opisujący atak pacjenta na kogoś z personelu (oba zjawiska znamy także z polskich realiów). Serial zbiera nagrody, warto się jednak zatrzymać przy medycznym słowniku, który stał się ostatnio głośniejszy niż jakikolwiek inny żargon branżowy: od bogatej terminologii koronawirusa, aż po omawiane ostatnio (POLITYKA 10) nazwy leków w polskim rapie. Skończyło się na tym, że firma Inter Polska zorganizowała plebiscyt na Medyczne Słowo Roku. Potrwa do 22 kwietnia i ma dwuetapowy przebieg, trochę jak Młodzieżowe Słowo Roku. Najpierw propozycje zgłaszają studenci kierunków medycznych.

MÓWIĄ RYMY

Wczoraj dałem fest, dziś mam minę słabą
Wyszedłem po chleb, a wróciłem z dziabą
Unda, Czy to już melanż??, 2025 r.
dziaba – tatuaż

Na razie ujawniono garść pierwszych zakwalifikowanych haseł. Jest wśród nich m.in. *biohaking*, czyli trend przejmowania kontroli nad własnym zdrowiem poprzez optymalizację diety, snu czy innych aktywności z wykorzystaniem zbieranych o sobie danych, jest też diagnoz AI, czyli diagnoza wspomagana przez algorytmy sztucznej inteligencji. Z drugiej strony pojawia się SORodówka, która (jak piszą organizatorzy) ma „w ironiczny sposób komentować zmiany organizacyjne w ochronie zdrowia". Poza środowiskową bańkę wyszło za to inne określenie zgłaszane w plebiscycie: ***ozempic face*** – „symbol ubocznych efektów szybkiej utraty masy ciała i rosnącego wpływu trendów na medycynę". O fenomenie twarzy osób, które prowadzą terapię odchudzającą za pomocą coraz popularniejszych leków na cukrzycę, pisaliśmy już w Ludziach i stylach piórem Pawła Walewskiego (POLITYKA 20/24) – wspominał wtedy o tym, że Ozempic spopularyzowali celebryci, a później twarze wyszczuplonych gwiazd, prezentowane na internetowych portalach, wywołały modę na określenie „ozempikowa twarz". Miało być zdrowiej, wyszło niezdrowo.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 13db1c51da

PODRÓŻE

Przed stu laty Brno opanowała architektoniczna gorączka nowoczesności. Awangardowe perełki z tamtych czasów zachwycają do dziś.

Szklane domy

Białe tafle mlecznego szkła na fasadzie siedziby Morawskiego Banku na głównym placu Brna wyróżniają się wśród zdobnych budynków z przełomu wieków. Odruchowo traktujemy ją jako współczesną plombę w zabytkowej zabudowie. Z błędu wyprowadza nas Michal Kolář, ekspert od XX-wiecznej architektury i kurator Willi Tugendhatów, brneńskiej ikony modernizmu. – *Bank zbudowano w latach 1928–30 według projektu Bohuslava Fuchsa i Ernesta Wiesnera* – pokazuje nam archiwalne, czarno-białe zdjęcie. – *Na parterze mieszczą się lokale komercyjne, na wyższych piętrach biura, a na samej górze mieszkania*. Wszystko zaprojektowane z funkcjonalistyczną precyzją, w maksymalnie uproszczonej formie. Przez środek prowadzi pasaż, bardzo popularny w Brnie element – podobny zobaczymy zaraz przy ulicy Jánskiej w Pałacu Alfa, także z lat 20. Powtarzać się będą również zaokrąglone narożniki przy wejściach, ze szkła i metalu.

Brno stoi modernizmem. Był to w pewnym sensie sztandarowy styl młodej Republiki Czechosłowackiej – za jego sprawą dokonywano architektonicznego zerwania z przeładowanym historyzmem Austro-Węgier. Michal Kolář pokazuje m.in. dawną siedzibę sklepu Baty z początku lat 30., a także Hotel Avion, kolejny projekt Fuchsa. Ten sam architekt odpowiadał również za Zeman Café, założycielskie dzieło brneńskiego modernizmu.

Dzisiejsza Zeman Café to, niestety, tylko kopia budynku z 1926 r. (oryginał wyburzono w 1964 r.; replika powstała w latach 90.). Kolář opowiada, że kawiarnia wzbudziła w mieście konsternację: – *Wielu najbardziej raził całkowity brak dekoracji. Pół biedy, gdyby chodziło o fabrykę, ale to przecież kawiarnia! Ludzie chcieli czuć się w niej luksusowo*. Nie przekonywały ich początkowo nawet wielkie, wychodzące na park okna. Można je było otworzyć, co stanowiło wówczas technologiczne novum, a przy tym doskonały przykład modernistycznej koncepcji łączenia wnętrza z tym, co na zewnątrz.

Ideę tę w Brnie najpełniej wciela w życie dzieło innego architekta: **Willę Tugendhatów**, budynek wpisany na listę UNESCO, zaprojektował sam Ludwig Mies van der Rohe, guru modernizmu. Dom stoi na stromo opadającej działce, którą Greta i Fritz Tugendhatowie otrzymali w prezencie od ojca Grety, bajecznie bogatego magnata tekstylnego. Jego własny dom – secesyjna Willa Löw-Beer w dolnej części ogrodu – jest dość mroczny, pełen ciemnego drewna i ciężkich kotar. Uzmysławia to, jak wielką rewolucją był wtedy minimalistyczny projekt Miesa van der Rohe. – *Architekt użył stalowej konstrukcji szkieletowej. Rozwiązanie to wcześniej stosowano tylko w fabrykach, szklarniach czy wieżowcach. Dzięki niemu ściany nie pełnią funkcji nośnej, a to pozwoliło na stworzenie przestrzeni w pełni otwartej na otoczenie* – przewodniczka wskazuje na piękny ogród. Po tym wstępie część sypialna na najwyższej kondygnacji, do której wchodzimy z poziomu ulicy, wydaje się zaskakująco skromna. Owszem, duże okna wychodzą na zieleń, ale całość wygląda prawie jak współczesne mieszkanie z pokojami dla dzieci i rodziców.

Awangardowy rozmach widać dopiero piętro niżej, w mierzącym 280 m kw. salonie. Jest tu ogromny okrągły stół obramowany obłą mahoniową ścianą oraz słynne fotele Brno i Tugendhat, do dziś kopiowane i budzące pożądanie miłośników dobrego designu. Zaprojektowała je Lily Reich, wieloletnia życiowa i zawodowa partnerka Miesa van der Rohe. Za nimi lśni ściana z miodowego onyksu pokrytego misterną plątaniną żyłek.

Najwspanialsze jednak w Willi Tugendhatów jest wielkie okno: nieprzerwany ciąg gigantycznych tafli szkła od podłogi aż po sufit. Aby nic nie psuło widoku, architekt zaprojektował innowacyjny system klimatyzacji i ogrzewania, a także elektrycznego opuszczania wielkich szyb. Wystarczyło, że Greta czy Fritz nacisnęli guzik, a po chwili cały dom wypełniał śpiew ptaków i szelest liści. Stojąc przed ścianą ze szkła, czujemy się, jakbyśmy szybowali ponad ogrodem i całym miastem. I zaczynamy rozumieć, że może to nie przypadek, że spacerując po Brnie, początkowo nie zauważaliśmy niektórych z arcydzieł modernizmu. Elegancki minimalizm nie rzuca się w oczy, ale warto dostrzec jego piękno. ■

Bartek Kaftan
– dziennikarz, redaktor, tłumacz. Lubi wracać do tych samych miejsc, szczególnie do Gwatemali i Meksyku, a także do Hiszpanii, na Morawy i na Podlasie.

Julia Zabrodzka
– fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

© JULIA ZABRODZKA, ARCHIWUM PRYWATNE (3), TOMEK MĘDREK

eprasa.pl 13db1c51da

To pozornie prosta sałatka, ale trudno oprzeć się perspektywie kolejnej dokładki.

Wiosenna micha

Czemu Polacy nie zakochali się w puszystych ziemniakach podawanych z dodatkami i wyrazistym dressingiem? Tego nie wiem, ale jest szansa, że sałatka ziemniaczana według mojego pomysłu sprawi, że choć część naszych rodaków odkryje ten rarytas na nowo. Dla mnie w tym zestawieniu chodzi przede wszystkim o balans – sałatka musi być słona, tłusta, ale przy okazji lekko kwaskowa, by wyważyć ciężkie smaki.

Wiosenną michę przygotowuję więc z piklowaną czerwoną cebulą (która sprawdzi się nie tylko tutaj) i pieczonymi ziemniakami, które najpierw podgotowuję z dodatkiem sody oczyszczonej – w zasadowej wodzie wnętrze ziemniaka pozostaje twardawe, a brzegi stają się poszarpane. Po upieczeniu skorupka uzyskana dzięki sodzie utrzymuje świeżość ziemniaka na dłużej. O to, byśmy nie zanudzili się jednostajną teksturą, dbają także czerwona cebula i mielone z tofu. Do tego moc ziół, dosyć klasyczny dressing i już, mamy to!

Sałatka ziemniaczana po mojemu (micha sałatki na grilla, święta, imprezę czy dla siebie)

Na ziemniaki:

- 1 kg ziemniaków (przed obraniem)
- 1/2 łyżki soli
- łyżeczka sody oczyszczonej
- 2 łyżki oliwy
- duża szczypta soli
- marynowana czerwona cebula:
- 2 średnie czerwone cebule 250–300 g
- łyżeczka soli
- 250 ml (szklanka) wody
- 125 ml (1/2 szklanki) octu – może być jabłkowy
- 2–3 łyżki cukru kryształu
- 4 ziela angielskie (można dodać inne przyprawy: kolendra, gorczyca, liść laurowy)

Na tofu:

- 2 kostki tofu naturalnego (2 x 180 g)
- łyżeczka papryki wędzonej
- 2–3 łyżki sosu sojowego (zależnie od tego, ile soli ma sos)
- 2 łyżki oliwy

Na sałatkę:

- 3–4 łyżki majonezu
- 2–3 łyżki wody spod marynowanej cebuli
- łyżka dobrej musztardy
- po jednym pęczku: koperku, pietruszki, szczypiorku
- sporo świeżo mielonego pieprzu

Tomek Mędrek – bloger, influencer specjalizujący się w roślinnych przepisach z pogranicza kuchni polskiej i comfort food. Wspólnie z żoną publikuje na blogu veganhigh.pl oraz profilu na Instagramie: @tomek.medrek.

Wykonanie (ok. 1 godz. 15 min):

- Cebulę obieramy, przecinamy wzdłuż na pół i kroimy w półkrążki.
- Wszystkie składniki marynaty umieszczamy w rondelku i podgrzewamy, aż ledwie co się zagotują i zdejmujemy z ognia.
- Cebulę umieszczamy w słoiku (500–600 ml się sprawdzi).
- Zalewamy gorącym płynem i zakręcamy słoik.
- Odstawiamy. Będzie gotowa akurat, gdy skończymy z pozostałymi składnikami.
- Ziemniaki obieramy i kroimy w średnią kostkę.
- Do 2 litrów wody dodajemy sól i sodę.
- Mieszamy i wrzucamy ziemniaki.
- Podgrzewamy, aż się zagotują.
- Gotujemy maksymalnie 8–10 min na wolnym ogniu.
- Czekamy, aż ziemniaki z zewnątrz będą już lekko rozgotowane (soda w tym pomaga), a wewnątrz jeszcze lekko twardawe.
- W czasie gotowania ziemniaków do piekarnika wstawiamy blachę z papierem do pieczenia lub bez.
- Nagrzewamy ją wraz z piekarnikiem do 210 st. C (góra – dół termoobieg).
- Ziemniaki odcedzamy.
- Wykładamy jedną warstwę w odstępach na rozgrzaną blachę.
- Lekko polewamy oliwą i posypujemy solą.
- Pieczemy 15–20 min, aż ziemniaki staną się chrupiące z zewnątrz.
- Następnie je studzimy (kilka możemy schrupać – policzyłem na zapas).

- Tofu rozcieramy w dłoniach dosyć drobno do miski.
- Dodajemy sos sojowy, oliwę i paprykę wędzoną.
- Mieszamy dokładnie.
- Wykładamy na blachę z papierem do pieczenia.
- Pieczemy w piekarniku nagrzanym do 200 st. C przez 13–15 min.
- Celujemy w lekko przesuszone, ale niewysuszone granulki.
- Tofu również studzimy.
- Siekamy średnio po pęczku wszystkich ziół.
- Składamy sałatkę.
- W dużej misce umieszczamy: majonez, wodę spod cebuli, musztardę, 2–3 porządne widelce piklowanej cebuli, pieprz, zioła, ziemniaki i tofu.
- Nieco ziół i tofu zostawiamy do dekoracji.
- Mieszamy dokładnie, ale nie za długo, i gotowe!
- Podajemy posypane zachowanymi ziołami i tofu. Smacznego!

Wskazówki:

- Cebuli jeszcze sporo zostanie, można wykorzystać ją do sałatek, kanapek czy burgerów.
- Można użyć gotowanych ziemniaków, ale upieczone nie mają sobie równych.

eprasa.pl 13db1c51da

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Uratuje nas atom?

W podkaście „Polskie demo" rozmawiamy o kryzysie energetycznym wywołanym wojną w Iranie. Jakub Wiech, nasz gość, ekspert w tym obszarze, wyjaśnia, dlaczego rosną ceny paliw, ale i prądu. Ocenia też ustawę CPN regulującą ceny na stacjach („plasterek na gorejącą ranę"), analizuje przypadki Ukrainy i Chin oraz tłumaczy, jaki jest sens budowy pierwszej polskiej elektrowni. Jedno jest pewne: nie takie sroze to OZE.

Świątek ma nowego trenera

Plotki się potwierdziły: w boksie Igi Świątek zasiądzie Francisco Roig, 58-letni Hiszpan znany głównie ze współpracy z Rafaelem Nadalem. Na polityka.pl piszemy, czego dokonał i jaki ma styl pracy. Sama Iga wyznała niedawno publicznie, że znów chce być „jak ściana" dla rywalek i odzyskać pewność gry. Roig ma w tym pomóc. Najbliższy sprawdzian: Stuttgart w połowie kwietnia, potem Rzym, Madryt i Paryż.

Jak znaleźć miłość

Czy miłość jeszcze istnieje? Jak znaleźć kogoś do pary? W Polsce jest ok. 9 mln singli i singielek, aplikacje randkowe w roli swatek sprawdzają się rzadko. **„Zapomnij o księciu na białym koniu albo w Mercedesie. Nikt taki nie nadjedzie" – mówi prof. Tomasz Szlendak, gość naszego podkastu psychologicznego.** Ale marzeń o miłości nie przekreśla. Rozmowa Joanny Cieśli do wysłuchania i obejrzenia m.in. na polityka.pl i YouTube.

Encyklopedia brzydkiej mody

Wydłużone do granic absurdu noski średniowiecznych butów, watowane saczki, fryzury przypominające klatki dla ptaków – dlaczego ludzie to sobie robili? Wyjaśnia w podkaście historycznym Karolina Żebrowska, autorka książki „Ugly. Encyklopedia brzydkiej mody". Kanał Agnieszki Krzemińskiej i Marcina Zaremby na YouTube śledzi już 10 tys. osób. Dziękujemy! Mody mijają, a historia ciągle cieszy się zainteresowaniem. Co nas cieszy.

Jak nas słychać?

Z dumą ogłaszamy, że od kwietnia teksty POLITYKI są czytane przez lektorów ElevenLabs, firmy, która nie ma sobie równych w branży, a w swojej pracy wykorzystuje techniki AI. Do słuchania są zarówno artykuły z tygodnika, jak i komentarze publikowane codziennie na polityka.pl. Możecie przerwać i kontynuować na dowolnym urządzeniu, przyspieszać i zwalniać. Testujcie, komentujcie, do usłyszenia!

© LESZEK ZYCH (3), INSTAGRAM.COM/IGA.SWIATEK, ARCHIWUM POLITYKI

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 13db1c51da

POLITYKA słuchaj i oglądaj

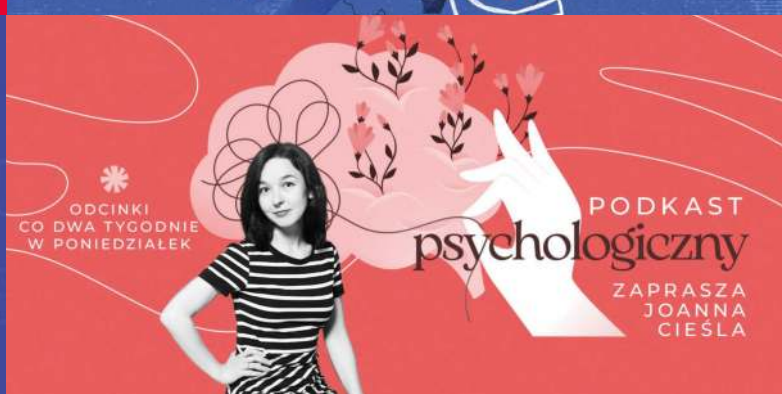

Rozmawiamy nie tylko o polityce.
Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.
Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

youtube.com/@Tygodnik_Polityka **polityka.pl/podkasty**

eprasa.pl 13db1c51da

KOLOROWE OBIETNICE NAJNTISÓW

KUP TERAZ

W sprzedaży

132 strony

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 13db1c51da